wieści 2251.

POWIEŚCI

NAŚLADOWANE Z ANGIELSKIEGO

PRZEZ

M. J. Zaleską.

KSIĘŻNICZKA KATARZYNA.

BOHATER.

WARSZAWA.
W DRUKARNI NOSK[illegible]WSKIEGO,
Mazowiecka Nr. 11.

1883.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 7 Декабря 1882 г.

POWIEŚCI

NAŚLADOWANE Z ANGIELSKIEGO.

KSIĘŻNICZKA KATARZYNA.

POWIEŚĆ

(z angielskiego).

I.

Niespodziewana wiadomość.

— O, mój Boże, już pierwsza godzina bije.

— Ależ nie, Kasiu, to dopiéro pół do pierwszéj.

— A ja ci mówię, że pierwsza. Ach, Sylwio, jakaż to nudna rzecz, nie będziemy miały i godzinki rekreacyi przed obiadem. Nie pojmuję, gdzie ta Marynia może tak długo siedziéć; przecież lekcye w szkółce wiejskiéj kończą się o dwunastéj.

— Ba! musiała spotkać jaką biedną kobietę, która jéj się w czemś potrzebuje poradzić, a może kto zachorował na wsi, to już tam bez Maryni się nie obejdzie. To pewna, że ją coś ważnego zatrzymało; wiesz dobrze, jak nasza starsza siostrzyczka jest akuratna we wszystkiém.

— Wiem, wiem, moja Sylwio; ale to doprawdy smutno, że my jesteśmy tacy ubodzy i biedna Marynia musi być nauczycielką wiejską i zarazem naszéj nauki pilnować. Pókiśmy były młodsze i także do szkółki chodziły, było jeszcze pół biedy, ale teraz to doprawdy nieznośna rzecz; musimy się uczyć same przez cały ranek i czekać aż Marynia powróci, przesłucha nas lekcyj i nowe pozadaje, a tymczasem godziny rekreacyi upływają.

— Możemy przecież bawić się i przed nadejściem Maryni, gdy nauczymy się lekcyj. Tobie, Kasiu, zawsze się Bóg wie czego zachciewa.

— Już mów ty sobie co chcesz, rozsądna moja Sylwio, ja wiem, że byłoby nam daleko, daleko lepiéj, gdyby ojczulek miał trochę więcéj pieniędzy i przyjął prawdziwą nauczycielkę dla nas i nauczyciela rysunków i nakupił dużo ładnych książek. Marynia mogłaby sobie odpocząć, ona biedaczka tak pracuje.

— Marynia nigdy na pracę nie narzeka, a i my powinnyśmy poprzestać na tém, co mamy. Wszakże na niczém nam nie zbywa, żadna obca nauczycielka nie uczyłaby nas lepiéj od kochanej naszéj siostrzyczki, a co do rysunków, czyż nie słyszałaś co mówił ojczulek, że gdyby która z nas miała rzeczywiście wielki talent, to jeszcze i za lat kilka nie będzie za późno porządną naukę rozpocząć.

— Ty, Sylwio, już takie masz szczęśliwe usposobienie, że jesteś zadowolniona ze wszystkiego i nie żądasz nic nad to, co masz. Ja tak nie mogę, zawsze sobie myślę, jakieby to było szczęście, gdybyśmy mieli wielki majątek. Najpierw każda z nas miałaby ślicznego konika i Karolek także, codzienniebyśmy jeździły konno na spacer z Karolkiem. Miałybyśmy dużo sukienek, nie potrzebowałybyśmy ciągle zaszywać i cerować odzienia. Ach! nic nie może być nieznośniejszego, jak to łatanie i cerowanie.

— Dajże pokój, Kasiu, przypomnij sobie, co mówił wczoraj ojczulek, że nie potrzeba nigdy pragnąć bogactw, bo one szczęścia nie dają.

— Ach, moja Sylwio, tak się to mówi... ale dajmy już temu pokój, témbardziéj, że pragnienia nie mogą nas wzbogacić. Żeby nam czas prędzéj przeszedł, wyrysujmy sobie coś ładnego, bo Maryni jak niéma, tak niéma.

Obie dziewczynki umilkły, zabierając się do rysunku, a my skorzystamy z tego i bliżej się im pzypatrzymy. Sylwia i Kasia siedziały przy stole, zarzuconym książkami, papierami i różnemi przyborami do nauki; wyglądały obie na

lat mniéj więcéj dwanaście; pierwsza miała włosy jasne, jedwabiste i oczy niebieskie, łagodny i spokojny wyraz twarzy, druga ciemne, kręcone kędziory i czarne, niezmiernie żywe oczki, żywość téż przebijała we wszystkich jéj ruchach. Było jednak pomiędzy niemi wielkie podobieństwo rysów ubiór miały prawie zupełnie jednakowy, z popielatego płócienka, z tą różnicą, że sukienka Sylwii przybrana była pąsowemi tasiemeczkami, a Kasi czarną szeroką lamówką. Patrząc na nie, można je było śmiało wziąć za siostry bliźniaczki,a jednak dwie te dziewczynki były tylko ciotecznemi siostrami, ale Kasia zapomniała o tém zupełnie, że doktór Wardor ojciec Sylwii, był tylko jéj wujaszkiem i nazywała go zawsze ojczulkiem, tak samo, jak własne jego dzieci.

Kasia nie pamiętała swoich rodziców, którzy ją odumarli, gdy jeszcze roku nie miała, wychowała się od kolébki u wuja, brata rodzonego swéj matki, pod troskliwą opieką najstarszéj jego córki Maryi, gdyż dr. Wardor był wdowcem. Nie był on wcale bogaty i gorliwie pracować musiał, aby utrzymać i wychować rodzinę; nie mógł wiele zarobić, mieszkając w ubogiéj wiosce szkockiéj, témbardziéj że tylko od zamożniejszych pacyentów brał zapłatę, uboższych leczył darmo i często jeszcze do rady lekarskiéj dodawał i pieniężną pomoc, gdy spostrzegł, że niedostatek był główną przyczyną choroby. Zacny ten człowiek powtarzał zawsze, że majątek szczęścia nie stanowi i starał się dzieci swoje tak wychować, ażeby umiały poprzestać na małém i własną pracą sobie wystarczyć. Najstarszy syn jego, Ryszard, sposobił się na adwokata i od roku już pracował w biurze prawnika w poblizkiém mieście, córka Marya objęła posadę nauczycielki wiejskiéj, co jéj nie przeszkadzało zajmować się gospodarstwem domowem i nauką dwóch młodszych dziewczynek; Karolek, o rok starszy od Sylwii, chodził do szkoły.

W domu doktora nie było zbytku, ale téż i niedostatku nie znano; każdy od dzieciństwa nawykał do pracy, nikt się nie nudził i wszyscy byli zadowoleni ze swego losu, je-

dna Kasia, jak widzieliśmy przed chwilą, marzyła czasem o bogactwach, o których wiedziała tyle, co wyczytała w książkach. Ale były to zwyczajne dziecinne rojenia; wzdychała do bogactw tak samo, jak przed kilku laty, gdy jeszcze malutką była, pragnęła się dostać do zaczarowanych podziemi, do kryształowych pałaców i obaczyć dobrą wróżkę. Dziewczynka miała z natury usposobienie niezmiernie żywe, skłonna téż była do wszelkich gwałtownych porywów i zapędów, ale powstrzymywało ją w tém rozsądne i łagodne postępowanie Maryni; jedyną jéj wadą było roztrzepanie, ale i z téj starała się wyleczyć, aby nie czynić przykrości starszej siostrzyczce i ojczulkowi, których kochała niezmiernie.

— Patrzno, Sylwio—odezwała się znów Kasia — jakie ja tu śliczne rzeczy wyrysowałam. Czy widzisz tę panienkę?

— Oho! to musi być jakaś wielka pani—rzekła Sylwia, przypatrując się wspaniałéj postaci na rysunku. Bogactwo widoczne tu było w stroju, suknią pokrywały całkowicie falbany, koronki, frenzle, bo wszystko to odgadnąć było można w rozmaitych gzygzakach, na które się wysilił ołówek Kasi, szyję i ramiona téj fantastycznéj osoby zdobiło mnóstwo pereł, bransoletek, wieszadeł wszelkiego rodzaju, na głowie powiewały pióra.

— Widzisz, Sylwio, ta panienka jest księżniczką, mieszka w prześlicznym pałacu, posiada ogromny majątek, nazywa się księżniczka Etelinda. Nieprawdaż, że to piękne imię? Gdybym ja była taką wielką panią, tobym się nazywała księżniczką Katarzyną. A tu daléj, patrz, to brat starszy księżniczki Etelindy, który jest adwokatem, trzyma wielki pugilares pod pachą.

— Tak zupełnie jak Ryszard. Ależ Kasiu, brat księżniczki, to chyba także musi być książę.

— Ach, prawda; ale to nic, wszak to tylko bajka. Patrzno, patrz, co tu daléj będzie—i Kasia rysowała szybko, opowiadając zarazem. Najmilsza to była jéj zabawa takie *rysowanie bajek*, jak mówiła i wszystkie czyste kartki w jéj

kajetach zabazgrane były fantastycznemi takiemi obrazami. Kasia miała nadzwyczaj bujną wybraźnię.

— Widzisz, Sylwio—mówiła—wieś się pali!—tu ołówek szybko się poruszał, liczne zakręty wyobrażać miały ogromny pożar—pogorzelcy chronią się do pałacu, księżniczka Etelinda dobywa kilka worków z pieniędzmi, rozdaje złote dukaty tym biednym ludziom, oni dziękują, ręce podnoszą do góry, błogosławią dobroczynną księżniczkę. A tu znów przyjeżdżają krewni księżniczki Etelindy, którzy nie są bogaci; cóż to za radość dla niéj, że może ich darami obsypać!

— Któż tam znów darami obsypuje i kogo?—Słowa te wymówił doktór Wardor, który w téj chwili wszedł do pokoju razem z córką swoją Maryą.

— O, ojczulku—rzekła Kasia trochę zawstydzona—to tylko bajka o księżniczce Etelindzie.

— Już dawno przygotowałyśmy wszystkie lekcye—odezwała się Sylwia—nie mogłyśmy się doczekać Maryni i...

— Ach, to już po pierwszéj— rzekła Marya—zapomniałam zupełnie o waszych lekcyach, siedziałam w pokoju ojca.

Dziewczynki spojrzały z podziwieniem na starszą siostrę; nigdy jeszcze nie zdarzyło się nic podobnego, cóż to mogło znaczyć, że Marynia o lekcyach zapomniała? Ojciec także wyglądał niezwykle, jakby miał smutek jaki, lub kłopot na sercu.

— Cóż to znów za księżniczka Etelreda? — zapytał z uśmiechem.

— Ależ nie Etelreda, ojczulku—zawołała Kasia, uszczęśliwiona, że doktór zwrócił uwagę na jéj koncepta—to księżniczka Etelinda. Ona jest młodą panienką, taką jak ja, ale ma ogromny majątek, mieszka w pałacu, wśpiera ubogich i sieroty, i krewnych obsypuje darami. Patrz ojczulku... Kasia urwała nagle, gdyż pomimo całego swego roztrzepania spostrzegła, że doktór patrzał na nią z niezwykłém rozrzewnieniem, a Marynia łzy miała w oczach i dziwnie się uśmiechała zarazem.

— Co to jest, czy się co stało?—zawołała dziewczynka.

Doktór nic zrazu nie odpowiedział, tylko usiadł, przyciągnął ją do siebie, posadził na kolanach i wpatrywał się w nią z tym samym wyrazem czułości i rozrzewnienia. Po chwili dopiéro odezwał się w te słowa.

— Moje dziecko; otrzymałem listy, w których są ważne i dziwne wiadomości, tyczące się ciebie i przyszłego twojego losu. Niespokojny jestem i wzruszony, bo trudno przewidzieć, czy zmiana ta wyjdzie na dobre i szczęście ci przyniesie. Jąk wiesz, moja Kasiu, wczoraj wyczytaliśmy w dziennikach wiadomość o śmierci twojego stryja.

— Wiem, wiem; toż dla tego Marynia kazała mi poodparać czerwone tasiemeczki od mojéj sukienki i musiałem przyszyć tę czarną lamówkę; oj, dobrze sobie przecież palców nakłułam przy téj robocie; chociaż mówiłam Maryni, że kiedy ten stryjaszek był takim wielkim panem i nigdy nie chciał widzieć swojéj ubogiéj synowicy i wstydził się jéj, to niema wielkiéj potrzeby nosić po nim żałoby. Ja nawet nie wiem, jak on się nazywał i nic a nic o nim nie słyszałam; wczoraj dopiéro Marynia mi to wszystko opowiadała, a ja co prawda nie bardzo byłam ciekawa.

— Nie wspominaliśmy ci o tym stryju, moje dziecko— mówił doktór poważnie—gdyż w rzeczy saméj nie chciał on słyszeć o tobie; był to człowiek bardzo dumny i wyrzekł się twojego biednego ojca za to, że się ożenił z matką twoją, ukochaną moją siostrą, która nie była wielką panią. Gdyś została sierotą po śmierci obojga rodziców, bogata rodzina twojego ojca wcale się o los twój nie troszczyła i dla tego w ubogim moim domu znalazłaś schronienie.

— Ojczulku—rzekła Kasia, tuląc się czule do niego—to bardzo dobrze się stało; cobym ja tam robiła u tych dumnych ludzi, a tu mi tak dobrze z Marynią, Sylwią i Karolkiem, ja was tak kocham wszystkich.

Doktór przycisnął ją do piersi i mówił daléj:

— Kochanko moja, i my także przywiązaliśmy się do ciebie bardzo i teraz... ale muszę ci wszystko powiedzieć

porządkiem. Otóż dowiedziawszy się o śmierci twojego stryja, ani mi na myśl nie przyszło, żeby to miało na los twój wpłynąć; sądziłem, że spadek przejdzie na dalszych krewnych, ale pokazuje się, że według prawa wielkie te bogactwa i tytuły, w braku innych spadkobierców, przechodzą na ciebie, Kasiu.

— Bogactwa, tytuły, na mnie!—wykrzyknęła dziewczynka, zeskakując z kolan doktora i biegając jak szalona naokoło pokoju. Słyszysz, Sylwio, będę bogata, bardzo bogata, jak księżniczka Etelinda! A jaki ja będę miała tytuł, ojczulku?

— Twój stryj nazywał się książe Kerwent.

— O, mój Boże—zawołała Sylwia, która w milczeniu słuchała tych dziwnych wieści—więc ty naprawdę, Kasiu, będziesz się nazywała księżniczka Katarzyna!

— Ale dla nas się przecież nie zmienisz — mówiła Marya, obejmując wyskakującą księżniczkę i ściskając ją czule—dla nas pozostaniesz kochaną Kasieńką, nieprawdaż chociaż się rozstać musimy — i znowu łza w jéj oku błysnęła.

— Rozstać się? co ty mówisz, Maryniu!—i Kasia naraz przestała skakać i szaleć.—Pocóżbyśmy się mieli rozstawać? Jeżeli ja jestem księżniczką, to będę miała zapewne piękny pałac i tam się pomieścimy wszyscy. Ty, Maryniu, będziesz miała prześliczne suknie i mnóstwo drogich kamieni my z Sylwią i Karolkiem codziennie będziemy jeździli konno na ładnych siwych konikach, a ojczulkowi kupimy ogromne stosy książek. Ach, zapomniałam, trzeba będzie księdzu proboszczowi dać dużo pieniędzy na odnowienie kościoła i na przebudowanie szkółki. Ale czemuż Marynia taka jakaś smutna i ojczulek także? nie cieszycie się, że ja będę księżniczką i taką bogatą?

— Moje drogie dziecko—rzekł doktór—bogactwo nie zawsze daje szczęście, a co do twoich planów na przyszłość, musisz się najpierw dowiedzieć, że najbogatsza księżniczka, a nawet królewna, nie może ani sobą, ani majątkiem swoim rozporządzać póki jest małoletnią. Dziedzictwo to, moja

Kasiu, spadło na ciebie zupełnie niespodziewanie. Stryj twój miał dwóch synów dorosłych, z tych jeden był już żonaty i miał także kilkoro dzieci. Straszne klęski spadały raz po raz na tę rodzinę, stryj twój utracił wnuków, obu synów i sam zgnębiony rozpaczą dostał napadu apopleksyi. Pozostały jednak dwie rodzone siostry twojego ojca, które także słyszeć o tobie nie chciały, póki była, ubogą sierotką, ale teraz, gdy według prawa spada na ciebie książęcy tytuł i dobra rodzinne, lady Barbara i lady Joanna chcą być twojemi opiekunkami i rada familijna przesłała mi dziś właśnie zlecenie, abym cię oddał niezwłocznie w ich ręce. Jutro, moja mało księżniczka, muszę cię odwieźć do Londynu i zamieszkasz przy ciotkach.

— A czy te moje ciocie mieszkają w pięknym pałacu, i mają karetę? — zapytała Kasia, a Marynia westchnęła z cicha, widząc, że dziewczynka tak prędko pogodziła się z myślą rozstania z niemi.

— Zapewne, moje dziecko—rzekł doktór—są to wielkie panie, a zajmując się twojém wychowaniem, będą pobierały na to dochody z twojego majątku. Ale oto jest list pisany do ciebie przez ciotkę twoję, lady Barbarę.

— List do mnie!—lecz nim go otworzyła Kasia, obie z Sylwią przypatrywały się z zachwyceniem, najpierw pieczątce z herbem, a potém adresowi:

„Do rąk własnych księżniczki Katarzyny Kerwent.“

Nakoniec Kasia drżącą rączką rozłamała pieczątkę i czytała co następuje: „Moja najdroższa synowico!“—a co! teraz jestem najdroższą synowicą, a wczoraj przecież nie wiedziałam nawet, że mam na świecie jaką ciotkę. — „Nie mając twojego adresu, nie mogłam cię wcześniej uwiadomić o bolesnéj stracie, którąśmy ponieśli, wskutek czego na ciebie obecnie spływają wszystkie humory naszéj rodziny...“

— Co, co, jak możesz tak wypłatać, Kasiu — przerwała Marya.

dzić cały dzień w sukni z ogonem, to nie musi być bardzo wygodnie.

Cudnaż to była suknia. Nie jaśniała wprawdzie jaskrawą barwą, bo Kasia musiała jeszcze przez czas jakiś nosić żałobę po stryju, po którym odziedziczyła zaszczyty i bogactwa, ale popielata jedwabna materya ślicznie błyszczała i szeleściła, a ozdoby z przezroczystéj krepy wspaniale wyglądały. Małgorzata uczesała jéj włosy, zburzone w czasie podróży, przewiązała je czarną aksamitką, a gdy strój był skończony, Kasia, spojrzawszy na siebie w zwierciedle, o mało nie wykrzyknęła z podziwu, jak gdyby obaczyła jakąś obcą osobę. Dla przekonania się, że to ona sama, nie kto inny, pokazała język przed zwierciadłem i różne pocieszne miny robiła sama do siebie, na co wszystko Małgorzata patrzała bardzo poważnie, w uroczystém milczeniu.

Nacieszywszy się swoim strojem, Kasia zabrała się z zapałem do czytania jakiéjś podróży z obrazkami, która się nadzwyczaj ciekawie zaczynała, Małgorzata wysunęła się cichutko z pokoju, zapytawszy wprzód, czy księżniczka nic więcéj nie rozkaże. Wtém w drugich drzwiach ukazał się lokaj w galonowanéj liberyi i oznajmił: „Że lady Barbara czeka na jaśnie oświeconą księżniczkę w salonie, gdyż przybyła nauczycielka Jéj Książęcéj mości.“

Kasia zerwała się szybko, ciekawa była niezmiernie téj nauczycielki, ale biegnąc, zaczepiła się o klamkę we drzwiach i piękna falbana krepowa u rękawa rozerwała się w kawałki.

— O, mój Boże!—krzyknęła—że też mnie zawsze jakieś nieszczęście musi się przytrafić; już teraz doprawdy nie pojmuję, jakim sposobem się to stało.

Kasia zapomniała w téj chwili zupełnie, że jest księżniczką; w domu ojczulka doktora rzeczywiście ciągle jéj się podobne nieszczęścia zdarzały, bo strasznie była roztrzepana; zawsze też Marynia porządnie ją za to strofowała i za

karę musiała sama naprawiać wszystkie uszkodzenia podobne w sukienkach i fartuszkach.

Na krzyk księżniczki weszła czujna Małgorzata, a obaczywszy, co się stało, pobiegła po igłę i jedwab. Kasia stała zakłopotana, szczególnie ją żenowała uroczysta mina lokaja, który nie śmiał powracać do salonu bez Jéj Książęcéj mości, ale Małgorzata powróciwszy z igłą odprawiła go i dała zlecenie, aby oznajmił, że księżniczka nie ukończyła jeszcze toalety, ale za pięć minut zejdzie. Kasi nie bardzo się to podobało, bo była niezmiernie prawdomowna, a takie oznajmienie zakrawało na wykręt. To też dała sobie słowo w duszy, że jeśli która z ciotek zapyta ją, dla czego się spóźniła, opowie z całą otwartością o swojém nieszczęściu.

Ale nikomu nie przyszło na myśl dopytywać się o takie drobiazgi. W salonie, w przyzwoitém oddaleniu od kanapy, siedziała osoba już nie pierwszéj młodości, ubrana w grubą żałobę, w czepcu wdowim, taka blada, znękana, że niepodobna było patrzeć na nią bez smutku. Kasia, marząc niegdyś o nauczycielce, któraby nie kazała na siebie tak długo czekać, jak Marynia i cały dzień się nią zajmowała, nie wyobrażała jéj sobie nigdy pod taką bolejącą postacią. Mistress Lassy, któréj powierzone być miało wychowanie młodéj księżniczki, straciła męża i dla utrzymania dwojga małych dzieci musiała szukać miejsca nauczycielki. Gdyby Kasia wiedziała o tém wszystkiém, gdyby zresztą umiała się troszkę zastanawiać, byłaby pewnie więcéj współczucia okazała biednéj wdowie. Ale dziewczynka myślała tylko o tém, jaka to będzie rzecz straszliwie nudna przebywać ciągle w towarzystwie takiéj smutnéj osoby, a mistress Lassy, widząc księżniczkę nadąsaną i widocznie niezadowoloną, musiała sobie znów pomyśleć, że obowiązki jéj zapewne będą bardzo ciężkie.

Nie będziemy tu opowiadali szczegółowo wszystkich przejść naszéj bohaterki w tym dniu pamiętnym, pierwszym dniu jéj wielkości. Obiad, pomimo całéj wystawy, licznych potraw, postrojonych lokajów, snujących się uroczyście przy

stole, wydał jéj się okropnie nudny. Mistress Lassy, która obok niéj siedziała, co chwila przypominała jéj, i wskazywała, jak ma trzymać łyżkę, nóż i widelec, a gdy nierozważnie chciała pochwycić karafkę, ażeby sobie wody nalać, takie powstało ogólne zgorszenie, że biedna księżniczka byłaby się chętnie wyrzekła nawet i w tym dniu zaszczytu zasiadania do ogólnego stołu. Znowu uszu jéj doleciały złowrogie wyrazy: *gminne nawyknienia* i serce wezbrało żalem i gniewem.

Wieczorem nowe ją czekało zmartwienie. Dowiedziała się bowiem, że musi nocować sama jedna w pięknym swoim pokoju sypialnym. Mistress Lassy zastrzegła sobie przy umowie, że będzie miała dla siebie osobny pokój; biedna wdowa chciała przynajmniéj wieczorem mieć parę godzin swobody, ażeby się wypłakać do woli. Żadna zaś ze sług nie mogła dostąpić takiego zaszczytu, aby wnieść swoje łóżko do pokoju księżniczki. Kasia, zrzuciwszy pychę z serca, błagała na wszystko Małgorzaty, ażeby przynajmniéj świecy nie gasiła odchodząc, ale panna służąca oświadczyła z wielkiém uszanowaniem, że ma pod tym względem wyraźny rozkaz lady Barbary.

Na to nie było żadnéj rady; biedna mała księżniczka pozostała sama wśród ciemności. Kasia zanadto była rozsądna, ażeby się bała strachów w nocy, ale nawykła biedaczka usypiać w małym pokoiku, gdzie stały przy sobie dwa łóżeczka jéj i Sylwii, a tuż zaraz przezedrzwi, jakby w jednym pokoju, nocowała Marya i wieczorem, przed uśnięciem, zwykle toczyła się tam wesoła, ożywiona rozmowa. Trudno się dziwić, że dzisiejsze osamotnienie w książęcym pałacu wydało jéj się czemś przerażającém, i że zaczęła szlochać, jak małe dziecko, usiłując jednak jaknajciszéj się sprawiać. Nikt też jéj nie usłyszał, nikt nie przybył na pomoc. Na szczęście Kasia przypomniała sobie, że w każdéj trosce, w każdém niebezpieczeństwie, najlepszém pokrzepieniem jest modlitwa. Tu wprawdzie nie było żadnego niebezpieczeństwa, ale troska rzeczywista tłoczyła serce dziew-

czynki. Zaczęła więc odmawiać z przejęciem psalm: *Kto się w Opiekę poda Panu swemu*, i uspokojona usnęła wkrótce, zapominając i o wielkościach i o smutkach swoich.

III.

Ciężary książęcéj godności.

Po kilku dniach Kasia oswoiła się zupełnie ze zmianą swojego losu. Życie jéj płynęło tak jednostajnie, że dość będzie opisać jeden dzień, ażeby czytelnicy mieli wyobrażenie o wszystkich. Rano o godzinie siódméj wchodziła Małgorzata i z należném uszanowaniem oświadczała księżniczce, że już pora wstawać, podawała jéj pończochy i trzewiki, a jeżeli dziewczynka nie śpieszyła się, chcąc jeszcze troszkę się wyciągnąć w łóżeczku, służąca, która miała zapewne stosowne rozporządzenie, dodawała zawsze z wielką uniżonością jakąś wzmiankę o tém, jak lady Barbara nie lubi wszelkich nieporządków w domu. Raz jeden nasza Kasia nie zważała na to i pomimo pokornego gderania Małgorzaty odwróciła się do ściany i zasnęła o półgodzinki dłużéj, ale nie wyszło jéj to na dobre. Wszedłszy do pokoju, gdzie podawano śniadanie dla niéj i mistress Lassy, zastała herbatę jak zwykle nalaną w filiżankę i zupełnie zimną. Mistress Lassy siedziała pod oknem, widocznie już dawno była po śniadaniu, a widząc skrzywioną minkę Kasi, powiedziała dość obojętnie, że ciotka Barbara nie kazała herbaty odgrzewać, bo wszyscy w domu powinni się stosować do przyjętego zwyczaju.

Biedna księżniczka nie śmiała się uskarżać, ale z westchnieniem przypomniała sobie, jak dobra Marynia, która także musiała przestrzegać porządku w domu, bo sama przyrządzała śniadanie, zawsze jednak ile razy Kasia lub Sylwia troszkę zaspały, lub się poleniły, stawiała imbryk na ogień i połajawszy je za lenistwo, nalewała im pomimo to świe-

żutkiéj, gorącéj herbaty. Po śniadaniu rozpoczynały się lekcye. Ach, jakże to smutno było uczyć się saméj jednéj! Najprzyjemniejsze jeszcze były lekcye rysunków; Kasia miała do tego niepospolite zdolności i wielką ochotę, ciotka Barbara umówiła jéj bardzo dobrego nauczyciela, nie zbywało jéj też na wzorach i przyborach najdoskonalszych, ołówkach, kredkach, farbach; cóżby to była za rozkosz, gdyby mogła pochwalić się tém wszystkiém przed Sylwią i Karolkiem! Ale niestety, nikt nigdy nie spojrzał na najpiękniejsze rysunki Kasi. Mistress Lassy, zawsze smutna i zamyślona, odbywszy lekcye, które do niéj należały, o inne się nie troszczyła, Małgorzata nie znała się na tém, zresztą podrzędne jéj stanowisko nie pozwalało na poufalsze rozmowy z księżniczką. Do ciotki Barbary Kasia nigdy odezwać się nie śmiała, ciotka Joanna, dobra i łagodna, była daleko przystępniejsza, ale na nieszczęście ciągle chora, rzadko kiedy z łóżka się podnosiła, najmniejszy hałas ją drażnił, a nasza roztrzepana księżniczka wiele z tego powodu doznawała przykrości. Codziennie w pewnych godzinach, po ukończeniu lekcyj, musiała schodzić do salonu i uczyć się w towarzystwie ciotek światowego ułożenia. Pozwalano jéj oglądać piękne albumy i książki z rycinami porozkładane na stołach, ale niechże broń Boże coś upuściła, czémśkolwiek stuknęła, a nawet głośniéj przemówiła, zapytując się o coś, ciotka Joanna nie mogła się powstrzymać od przestrachu.— Ach, ach! co się stało!—wołała biedaczka, nawykła do wiecznéj ciszy i niczém nie zamąconego spokoju, a ciotka Barbara groźnie spoglądała na siostrzenicę, czasem nawet mruknęła z cicha:

— Ta mała ją dobije.

Wprawdzie dobra ciotka Joanna zawsze się wstawiała za winowajczynią, a czasem ją przywoływała do siebie i pieściła, przemawiając łagodnie, niemniéj jednak nasza Kasia doznawała takiego wrażenia, jak gdyby ciężkie jakieś więzienie odsiadywała w tym pięknym salonie. Zawsze jeszcze najlepiéj i najswobodniéj jéj było, gdy mogła godziny re-

kreacyj spędzać samotnie w swoim pokoiku. Miała tam zbiór prześlicznych książek, czytała więc z zapałem ciekawe powieści i opisy podróży, nie zaniedbała także ulubionéj swojéj rozrywki, to jest rysowania różnych historyj, tak obie z Sylwią nazywały owe malownicze obrazki, do których dorabiały ciekawe opowiadania z wyobraźni. Przypominacie sobie zapewne, że w owym dniu pamiętnym, gdy tytuł książęcy spadł niespodzianie na Kasię, zajęta była odtwarzaniem historyi urojonéj księżniczki Etelindy.

Rzecz dziwna, odkiedy sama została wielką panią, nie rysowała już nigdy obrazków podobnych. Zamiast świetnéj Etelindy w sukni z ogonem, w klejnotach i piórach, wyobraźnia Kasi przedstawiała jéj różne skromne dziewczynki w krótkich sukienkach, córki doktorów lub innych ludzi bardzo zwyczajnych, dziewczynki, nie noszące żadnych tytułów, ale wesołe, swobodne, bawiące się w ślepą babkę, lub inne podobne gry hałaśliwe z dziećmi swojego wieku.

Nie sądźcie jednak, ażeby Kasia przez cały dzień zamknięta była w bogatych pokojach i nigdy nie używała przechadzki na świeżém powietrzu. Przeciwnie, ciotka Barbara, która we wszystkiém ściśle przestrzegała porządku, zapowiedziała jéj, że codziennie wychodzić ma do publicznego ogrodu w towarzystwie nauczycielki. Mistress Lassy o naznaczonéj godzinie prowadziła ją do parku, gdzie widziała mnóstwo dzieci młodszych i starszych; wszystkie prawie trzymały się gromadkami, urządzały sobie różne gry i zabawy, a Kasia w pierwszych dniach wielką miała ochotę poszukać sobie pomiędzy niemi stosownego towarzystwa. Zdawało jéj się, że nie trudno będzie zaznajomić się z panienkami tegoż samego wieku, niektóre nawet tak życzliwie i przyjaźnie na nią spoglądały. Ale na pierwszą wzmiankę o tém, mistress Lassy oświadczyła stanowczo, że bez wiedzy i pozwolenia lady Barbary nie wolno księżniczce zbliżać się do nikogo, łatwo bowiem mogłaby natrafić na niestosowne towarzystwo, zaznajomić się z dziećmi niższego stanu, z któremi spoufalać się nie powinna.

Musiała więc biedna dziewczynka przechadzać się mierzonym krokiem obok milczącéj i wzdychającéj nauczycielki; sama też niemniéj żałośnie wzdychała, patrząc na wesołą zabawę dziewczątek, na których nie ciężył ten niewygodny tytuł książęcy. W dni słotne zaprzęgano konie do karety, pięknéj herbowéj karety, wyłożonéj atłasem i aksamitem, Kasia przejeżdżała się z nauczycielką po parku. Bardzo jéj się to zrazu podobało, ale potém zaczęła sobie przypominać rozkoszne majówki, jakie dawniéj odbywała w towarzystwie przybranéj swojéj rodziny i przejażdżka karetą wydawała jéj się nieznośnie nudną. Ach, jakże to było wesoło, gdy wózek doktora, pyszny wózek jednokonny, do którego można było napakować niewiém ile koszyków i pakunków przeróżnych, zajeżdżał przed ganek i wszyscy, ojczulek, Marynia, Sylwia, Karolek i Kasia, zasiadali cisnąc się i tłocząc, jak można, byle tylko się zmieścić i dojechać do poblizkiego lasku. Ojczulek sam powoził, bo dla woźnicy nie było już miejsca, a Kasia zwykle wpraszała się na kozioł, dobry Karolek sprzeczał się trochę, ale zawsze w końcu ustąpił. Ach, co tam było uciechy, śmiechu i żartów! przypominając sobie te dobre, szczęśliwe chwile, smutna nasza księżniczka żałowała bardzo, że już minęły czasy wróżek i czarów; cóżby to było za szczęście, gdyby świetne jéj losy, tytuły i bogactwa, były tylko złudzeniem, gdyby się pokazało, że to jakaś niedobra wróżka ją oczarowała, a ona przebudziła się niespodzianie w tym ukochanym domku doktora, w swojém łóżeczku, tuż obok Sylwii, i usłyszała miły głos Maryi w drugim pokoju.

Ale niestety, Kasia nie była już małém dzieckiem, aby wierzyła w czarodziejskie powiastki. Wiedziała dobrze, że musi pozostać księżniczką rada nie rada. Gdyby Kasia była rozsądniejsza, byłaby zapewne i w tém położeniu znalazła niejednę pociechę. Najpierw powinna była się starać o pozyskanie serca swojéj nauczycielki. Mistress Lassy wiele nieszczęść przebyła, złamana cierpieniem nie mogła być przyjemną towarzyszką dla roztrzepanéj dziewczynki, ale

gdyby Kasia okazała jéj choć trochę współczucia, gdyby pragnęła szczerze osłodzić jéj czémkolwiek uciążliwe obowiązki, uczenia obcego dziecka, byłyby obie na tém dobrze wyszły. Musimy jednak wyznać ze wstydem, że nasza Kasia nigdy o tém nie pomyślała, przeciwnie, ustawiczny smutek biednéj nauczycielki nudził ją i nie kryła się z tém wcale, a niechętną i nadąsaną swą minką odstręczała od siebie coraz więcéj mistress Lassy. Nigdy też nie przyszło pomiędzy niemi do szczerszéj, poufalszéj rozmowy, pozostały obce dla siebie, chociaż obie potrzebowały pociechy. Mistres Lassy wyobraziła sobie nawet, że młoda księżniczka jest bardzo dumna ze swoich tytułów i bogactw, nie chciała też jéj się narzucać ze swoją przychylnością.

Z ciotką Barbarą Kasia także niewłaściwie i nierozsądnie postępowała, czém sobie wiele przyczyniała przykrości. Jeżeli ciotka ją za co strofowała, nie śmiała wprawdzie zuchwale odpowiadać, ale zawsze próbowała się tłómaczyć i usprawiedliwiać bardzo niedorzecznie. Gdy lady Barbara mówiła naprzykład:

— Jak ty siedzisz, Katarzyno. Panienka dobrze wychowana nie zakłada nóg jednę na drugą i nie garbi się nad stołem.

Kasia musiała zaraz odburknąć z cicha:

— Nigdy mnie *w domu* nie łajali za to. Ojczulek mówił, że to śmieszne, żeby mała dziewczyna siedziała wyprostowana, jak sztywna lalka, jak gdyby kij połknęła.

Doktór Wardor powiedział to kiedyś rzeczywiście żartem przy jednéj dziewczynce, którą chciał ośmielić i zachęcić do zabawy; ale lady Barbara nie mogła tych okoliczności łagodzących odgadnąć i wyobraziła sobie, że dawny opiekun Kasi nie miał żadnego pojęcia o przyzwoitém ułożeniu młodych panienek i najgorsze rady dawać jéj musiał pod tym względem. Zaraz też wołała z oburzeniem:

— Najpierw powinnaś o tém pamiętać, że *dom* dla ciebie jest tu, a nie u ludzi obcych, z którymi nie będziesz już miała nigdy bliższych stosunków. Zapomniałaś, że zabro-

minało się o tém. Ja szczególnie, to już jakieś nieszczęście miałam, na każdym kroku się musiałam obedrzeć. Teraz mogłabym sobie pozwolić, bo naprawianie to przecież rzecz Małgorzaty, ale cóż, kiedy tu nawet do szaleństwa niéma ochoty.

Tym razem westchnęły obie, i ciotka i siostrzenica, chociaż myśli ich w téj chwili musiały być bardzo odmienne. Kasia jednak niedługo milczała, zaraz znów paplać zaczęła w najlepsze:

— A kiedyś inną razą na majówce chciałyśmy z Sylwią udawać rybki, bo tam był strumyczek.

— Ach, mój Boże!--przerwała lady Joanna z mimowolnym przestrachem, gdyż wyobraźnia przedstawiła jéj siostrzenicę, tarzającą się w strumieniu, nakształt tych czworonożnych zwierzątek, które wcale do ryb nie są podobne.

— Niechże się ciocia tak nie przestrasza—uspokajała ją Kasia—nic nam się nie stało, bośmy miały dnia tego stare sukienki płócienkowe, bardzo króciutkie, więc zdjęłyśmy tylko trzewiki i pończochy, a strumyczek był płytki i taki czyściutki, widać było wszystkie muszelki i kamyczki na dnie; więc spacerowałyśmy sobie wzdłuż i w szerz, a Karolek z Ryszardem stali na brzegu i zarzucali nam na wędkach to jabłuszka, to pierniki. Wszystko było bardzo spokojnie, póki mnie znów nie przyszło do głowy tańczyć w wodzie i bryzgać na wszystkie strony; oblałam się cała i oblałam Sylwią, ale nic się nam nie stało, tak było gorąco, żeśmy prędko obeschły,

— A panna Marya nic na to nie mówiła?—zapytała lady Joanna półgłosem.

— A cóż jéj to szkodziło? ja pewna jestem, że ona sama miała nieraz ochotę udawać ptaszka albo rybkę razem z nami. Ciocia myśli, że Marynia, to taka jakaś londyńska dama salonowa.

Kasia miała w tém słuczność, Marya Wardor nie była damą salonową, ale to pewna, że potrafiłaby się znaleść

w najwykwintniejszym salonie londyńskim, gdyby tego było potrzeba.

Ani się spodziewała młoda nasza księżniczka, że jéj się nadarzy tak prędko sposobność pokazania ciotkom, co to znaczy zabawa z chłopcami. Dnia pewnego około południa wezwano ją do salonu, gdzie oprócz lady Bazbary zastała nieznajomego pana, niezbyt młodego i chłopca swojego wieku.

— Oto jest księżniczka Katarzyna—rzekła lady Barbara, przedstawiając siostrzenicę, a zwracając się do niéj, dodała:—Lord Power, krewny twojego ojca, przybył tu umyślnie, aby się z tobą poznać. A to jest syn jego, Ernest, twój kuzyn.

Kasia stała zakłopotana, sama nie wiedziała, czy ma się rzucić na szyję tego pana i nazwać go wujaszkiem, czy też wykonać ukłon ceremonialny, którego ją nauczyciel tańca wyuczył. Musiała też bardzo śmiesznie wyglądać, gdyż lady Barbara uważała za stosowne wyjaśnić gościowi to dziwne jéj zachowanie się.

— Wybacz, mylordzie — rzekła, mierząc ją surowym wzrokiem — jak widzisz, biedna mała jest niezmiernie zaniedbana.

Słowa te nie mogły dodać odwagi naszéj księżniczce, która wielką już miała ochotę do płaczu, ale lord Power nie zdawał się wcale zważać na przemowę lady Barbary, uśmiechnął się dobrotliwie i tak serdecznie wyciągnął rękę do zakłopotanéj dziewczynki, jakgdyby nie był wcale dostojnym lordem, tylko zwyczajnym człowiekiem, pobłażliwym dla dzieci.

— Spodziewam się, że prędko się z sobą zapoznamy i zaprzyjaźnimy—rzekł głosem łagodnym i miłym—za dni parę cała moja rodzina przyjedzie do Londynu na kilka miesięcy, córeczki moje cieszą się już zawczasu, że będą miały nową towarzyszkę. Erneście, przywitajże się z kuzynką.

Z Ernestem przywitanie poszło daleko łatwiéj, Kasia zapomniała zupełnie, że ma do czynienia z synem lorda, sam

widok téj młodéj twarzy ją uszczęśliwiał, od tak dawna była pozbawiona towarzystwa młodzieży swojego wieku. Tylko obecność ciotki Barbary powstrzymała ją od jawniejszych wybuchów radości, możecie więc sobie wyobrazić, jak się ucieszyła, gdy lord Power rzekł do syna:

— Wiesz co, Erneście, wam obojgu będzie daleko przyjemniéj w tym drugim saloniku, zapoznacie się i zabawicie, a ja tu mam do pomówienia z lady Barbarą w ważnym interesie.

Lady Barbara nie śmiała się sprzeciwiać, ale niespokojnie spojrzała na Kasię, która wcale na to nie zważając, czém prędzéj pociągnęła Ernesta do drugiego pokoju i drzwi za sobą zamknęła. Oboje teraz niewiele potrzebowali czasu na to, aby się zaznajomić, a nawet zaprzyjaźnić, bo młody chłopiec, w szkołach publicznych wychowany, nie ustępował wcale Karolkowi w wesołości i ochocie do figlów. Kasia zwyczajem swoim zaraz się rozgadała, opowiadając kuzynkowi różne ważne zdarzenia z dawniejszego swojego życia; o dzisiejszém nie wiele było do powiedzenia.

— A teraz ty mi opowiedz, Erneście, jak wy się w domu bawicie, bo wam musi być bardzo wesoło w takiéj licznéj gromadce. Cztery siostry i dwóch braci, a toż można najrozmaitsze gry i zabawy urządzać i szaleć, jak nie wiem co. A spodziewam się, że twoje siostrzyczki nie są ślamazarne i mazgajowate; ciotka Joanna utrzymuje, że to należy do dobrego wychowania, ale ja temu nie wierzę. Czy wy urządzacie czasem przedstawienia i żywe obrazy? Ach, jakie to zabawne. Najprzyjemniéj jest, gdy do przedstawienia wchodzą zwierzęta i trzeba różne głosy udawać. Możemy zaraz sprobować; wszak chcesz, nieprawdaż, Erneście?

Chłopiec nic nie miał przeciwko temu i Kasia uszczęśliwiona na początek wybrała scenę z jakiéjś bajki, gdzie lew i niedźwiedź strzegą zaczarowanéj księżniczki. Ona sama z wielkiém przejęciem odgrywała rolę téj biednéj ofiary, któréj losy tak wiele miały podobieństwa z jéj własném

położeniem, nie ręczymy nawet za to, czy w głębi duszy nie porównywała lwa lub niedźwiedzia do lady Barbary. Ernest znów doskonale udawał i ryk i mruczenie tych drapieżnych zwierząt. Odgłosy te, pomimo drzwi zamkniętych, doszły do salonu i zaniepokoiły ciotkę Barbarę, chciała nawet podnieść się z kanapy, ale lord Power ją powstrzymał.

— Pozwólmy im trochę się zabawić — rzekł dobrotliwie — ta biedna dziewczynka musi się nudzić sama jedna; dzieci potrzebują koniecznie stosownego towarzystwa, ruchu i wesołości. Tu w pokoju nic im się przecież złego stać nie może.

Lady Barbara wzruszyła z lekka ramionami, nie wypadało powiedzieć otwarcie mylordowi, że mężczyźni nie znają się na tém, co jest stosowne lub niestosowne dla młodéj osoby szlachetnego rodu, ale siedziała jak na szpilkach, nasłuchując co chwila; dla niéj ruch i wesołość było to coś bardzo blizko graniczącego z nieprzyzwoitością.

Zabawa tymczasem szła w najlepsze w drugim pokoju, Kasia nie chciała poprzestać na jednéj scenie; przypomniała sobie, jak bogate pole dla sztuki dramatycznéj przedstawia mitologia.

— Ach Erneście!—wołała z zapałem, cała zarumieniona—czy ty znasz historyą Pygmaliona? ale znasz niezawodnie, wy przecież w szkołach uczycie się więcéj od nas o starożytnej Grecyi. Otóż my kiedyś z Karolkiem przedstawialiśmy Pygmaliona, wiesz, tego rzeźbiarza, co to wykuł posąg i nadał mu życie. Ja byłam posągiem, stałam tak równo, bez najmniejszego ruchu, jak kamień, a Karolek, jako Pygmalion, chodził dokoła, wygładzał mi głowę i ramiona jakiémś drewienkiem, niby to rylcem, potém robił jakieś różne zabawne miny, co miało znaczyć, że zaklina bogów, aby dali życie posągowi. A trzeba wiedzieć, że ja stałam na stołeczku i raptem schodziłam ze swojego piedestału, ale nie skakałam, nie biegałam, jak szalona, bo to byłoby niestosowne dla takiéj mitologicznéj osoby, tylko chodziłam sobie poważnie po pokoju.

— To ślicznie być musiało—rzekł Ernest—zróbmy i my Pygmaliona. Ale gdzieżby tu ciebie ustawić? niéma tu takiego stołeczka, na stole za wysoko, nie mogłabyś zejść.

— Czemużbym nie mogła, przystawiłbyś mi krzesło. Ale poczekaj, ja mam lepszy pomysł, zdejmiemy ten posążek i ja stanę na jego miejscu, będę przepysznie wyglądała, zupełnie jak posąg prawdziwy.

Ernest przyklasnął z zapałem dowcipnemu pomysłowi i zabrali się zaraz do zdjęcia bronzowego posążku z małego postumenciku, przytwierdzonego do ściany. Podczas tych przygotowań taka przykładna cisza zapanowała w pokoju, że lady Barbara uspokoiła się zupełnie i prowadziła ożywioną rozmowę z mylordem. Kasia z pomocą Ernesta wdrapała się na stół, a ztamtąd na postumencik i stanęła na nim, przybierając wdzięczną pozę posągu. Wszystko szło wybornie, gdy naraz coś zatrzeszczało i postumencik zachwiał się pod nogami Kasi. Dziewczynka była znacznie cięższa od małej bronzowéj figurki, zresztą posąg ożywiony potrzebuje zawsze pewniejszéj podstawy od zwyczajnego, martwego. Ernest przestraszony pochwycił dziewczynkę za rękę, ale tém przyspieszył tylko katastrofę, postumencik się obłamał zupełnie i posąg runął na stół, a ztamtąd na podłogę, pociągając za sobą Pygmaliona.

Możecie sobie wyobrazić, jaki ztąd powstał hałas, bo i Kasia i jéj towarzysz nie mogli się od krzyku powstrzymać. Lord Power przestraszony wbiegł do pokoju, drugiemi drzwiami wpadła lady Joanna, która krzyczała głośniéj od Kasi i natychmiast dostała silnego ataku nerwowego. Lady Barbara naprzód do niéj rzuciła się na ratunek, tymczasem lord Power z wielką pociechą przekonał się, że ani Kasia, ani syn jego, oprócz przestrachu żadnego szwanku nie ponieśli. Ernest prędko przyszedł do siebie i zaczął tłómaczyć ojcu półgłosem przyczyny katastrofy, lord Power chciał przybrać surową minę, ale nie mógł się od śmiechu powstrzymać.

Tymczasem mała księżniczka stała w kąciku z zaci-

śniętemi ustami i spuszczonemi oczyma, przeczuwała jaka straszliwa burza gotowała się wśród ogólnego milczenia. Lord Power zlitował się nad małą winowajczynią, wziął ją za rękę i przemówił z taką dobrocią, że biednéj dziewczynce łzy w oczach stanęły. Gdy lady Joanna uspokoiła się po zażyciu tzeźwiących kropel, poczciwy lord zbliżył się do groźnéj ciotki Barbary, nie wypuszczając drobnéj, drżącéj rączki ze swego opiekuńczego objęcia.

— Mylady — rzekł głosem proszącym — pozwól mi się wstawić za młodą osóbką, która niezawodnie serdecznie jest zmartwiona, że przyczyniła cierpienia lady Joannie.

— O tak, bardzo, bardzo ciocię przepraszam—zawołała Kasia, okrywając pocałunkami wychudłe ręce ciotki Joanny.

— Proszę cię, droga Barbaro, nie gniewaj się na nią, niech to już wszystko będzie zapomniane. Dziecko ma dobre serce, cóż ono temu winno....—niedokończyła lady Joanna, a Kasia mimowolnie się cofnęła, bo domyśliła się, co to miało znaczyć; lady Joanna chciała ją uniewinnić kosztem tych ukochanych osób, którym tyle zawdzięczała, a serce Kasi oburzało się na tę niesprawiedliwość i chętka ją brała zawołać na głos, tak, jak kiedyś w obec aptekarzowéj: To moja własna wina, niczyja, tylko moja! ale nie śmiała ust otworzyć, chociaż bolało ją to niewymownie, że tém milczeniem zdawała się potwierdzać fałsz.

Lady Barbara nie mówiła ani słowa, ale usta jéj zaciśnięte i brwi groźnie namarszczone nie wróżyły nic dobrego. Lord Power odezwał się po raz drugi:

— Mylady, daj się przebłagać; ja także przepraszam za mojego syna, który tu jest pewnie najwinniejszy...

— O, nie, nie — przerwała Kasia, nie mogąc się już powstrzymać i wybuchając płaczem –Ernest nic tu nie winien, nikt nie winien, tylko ja. To ja tę zabawę obmyśliłam, ja namówiłam Ernesta, żeby był Pygmalionem...

— Dość tego, Katarzyno—przerwała lady Barbara zi-

mno i poważnie—nie zapominaj, że nie jesteśmy sami, p gościach trzeba umieć panować nad sobą.

Lady Barbara sama w wysokim stopniu posiadała tę sztukę panowania nad sobą. Nie wspomniała już więcéj o tym przedmiocie, przeszła do salonu i rozpoczęła z mylordem jakąś obojętną rozmowę. Kasia siedziała milcząca i nieporuszona przy ciotce Joannie, Ernest także nie odzyskał dobrego humoru i wkrótce odjechał z ojcem. Pożegnanie było bardzo ceremonialne, pomimo usiłowań mylorda, który starał się ożywić towarzystwo.

Lady Barbara i po wyjeździe gości nie czyniła żadnych wymówek siostrzenicy, ale biedna Kasia pomyślała z westchnieniem o tych błogich czasach, kiedy to bywało ojczulek lub Marynia porządnie ją wystrofowali i uściskali potém, gdy okazała żal szczery; ten gniew milczący ciotki Barbary sto razy był dla niéj przykrzejszy od kar i napomnień.

VI.

Dalsze występy księżniczki na wielkim świecie.

Godzina wesołéj zabawy z Ernestem, pomimo smutnego zakończenia, rozbudziła w naszéj Kasi gwałtowną ochotę do życia towarzyskiego, o niczém też nie marzyła teraz we śnie i na jawie, tylko o wspólnéj zabawie z młodzieżą swojego wieku. Gdyby miała prawo wybierać, nie pragnęłaby nigdy innego towarzystwa, jak Sylwii i Karolka, ale o tém myśleć już nawet nie śmiała, więc pocieszała się nadzieją, że wkrótce przybędzie do Londynu rodzina lorda Powera, a lady Barbara nie będzie mogła jéj zabronić stosunków z dziećmi tak dobrze urodzonemi, a przytém zpokrewnionemi z nią blizko.

Tymczasem samotna nasza księżniczka, zamknięta jak ptaszek w klatce, znowu zaczęła blednąć i mizernieć, a we-

zwany lekarz powtarzał ciągle, że nie jest wcale chora, tylko potrzebuje więcéj ruchu. Na to lady Barbara miała bardzo łatwe sposoby, rozporządziła więc niezwłocznie, aby przechadzka poranna księżniczki o pół godziny była przedłużona, a oprócz tego kupiła rakiety i wolanta i biedna mistress Lassy skazana była na całogodzinne ćwiczenia w téj grze z dostojną swoją uczennicą. Bolejąca nauczycielka brała rakietę zupełnie z taką miną, jak gdyby miała odbywać ciężką jakąś pokutę, a to jéj usposobienie nie mogło i Kasi dodać ochoty do zabawy. Ani jedna ani druga nie byłaby pewnie nigdy dobrowolnie dotknęła rakiety, ale lady Barbara postanowiła, aby gra w wolanta trwała godzinę i sama pilnowała codziennie spełnienia swojego rozkazu. Nie było więc rady i w porze oznaczonéj mistress Lassy i młoda nasza księżniczka, jak dwie winowajczynie na srogą karę skazane, podrzucały w takt wolanta, a jednostajne uderzenia korka o rakietę przez całą godzinę drażniły nerwy nauczycielki i do rozpaczy doprowadzały biedną Kasię. Dziewczynka nasza, chociaż nie była wcale niezgrabna, nie mogła jakoś nabyć wprawy w podrzucaniu wolanta, co znów niecierpliwiło ciotkę Barbarę, która kiedyś w młodych latach słynęła z nadzwyczajnéj zręczności w téj grze. Raz Kasia przypadkiem wyrzuciła wolant za okno, a lady Barbara przekonana była, że to zrobiła umyślnie i nie chciała uwierzyć żadnym upewnieniom. Kasia obok wielu wad miała tę cnotę, że nigdy nie kłamała i nigdy nie ukrywała prawdy, to też największą przykrością i upokorzeniem dla niéj było, gdy ją o coś podobnego oskarżano.

Wolant wypadł na ulicę i nie mógł być odnaleziony, i dziewczynka już w duszy pocieszała się, że przypadek ten, choć jéj trochę przykrości przyczynił, w końcu jednak na dobre wyjdzie, uwalniając ją od ciężkiéj pokuty, ale jeszcze tegoż samego dnia „nowe narzędzie tortur“ jak nazywała nieszczęsny swój wolant, zostało sprowadzone ze sklepu przez troskliwą ciotkę, dbałą o jéj zdrowie.

Dnia pewnego, po drugiém śniadaniu, służący przy-

szedł oznajmić, że lady Barbara czeka na Jéj Książęcą Mość, którą chce zabrać z sobą na wizytę. Kasia podskoczyła w górę, jakby na sprężynach, była pewna, że ciotka nie mogła jéj brać z sobą gdzie indziej, tylko do dzieci lorda Powera. Małgórzata nie mało miała kłopotu dnia tego z ubraniem swojéj pani, która co chwila wyrywała się z jéj rąk, podskakiwała, szarpiąc przytém niemiłosiernie lekkie muśliny i koronki, w których miała wystąpić stosownie do swéj godności. Kasia miała szczególniejszy dar niszczenia sukien; gdy jeszcze była ubogą dziewczynką i chodziła w skromnych płócienkach, Ryszard powtarzał nieraz żartem, że gdyby był na miejscu Maryni, toby jéj zrobił sukienkę z mocnéj derki, albo z worka, a Marynia utrzymywała że i taką potrafiłaby podrzeć za parę dni. Możecie sobie wyobrazić, w jakiém niebezpieczeństwie były teraz powiewne stroje w chwilach wesołości młodéj księżniczki.

Nie omyliła się Kasia w domysłach swoich, ciotka Barbara, wsiadłszy z nią do karety, oznajmiła, że jadą do mieszkania lorda Powera, który już sprowadził rodzinę do miasta.

— Ale pamiętaj, Katarzyno,—mówiła lady Barbara surowym tonem—pamiętaj, żebyś mi nie narobiła wstydu. Lady Power jest damą wielkiego świata i za nic nie pozwoli swoim córkom zadawać się z dziewczyną źle wychowaną, nie bacząc nawet na tytuł i pokrewieństwo. Bądź pewna, że jeśli popełnisz w tym domu coś nieprzyzwoitego, nie przestąpisz już nigdy jego progów.

— A przecież lord Power mię bardzo uprzejmie do siebie zapraszał i mówił, że córki jego życzą sobie poznać się ze mną i zaprzyjaźnić—odrzekła Kasia z nadąsaną minką.

— Lord Power jest mężczyzną—powiedziała lady Barbara pogardliwie—nie może on tego pojmować, co przystoi lub nieprzystoi panienkom dobrze urodzonym; bądź pewna, że jego żona daleko więcéj jest wymagająca. Staraj się

dobre wrażenie na niéj uczynić, bo inaczéj nie będziesz mogła korzystać z towarzystwa jéj córek.

Nasza Kasia zamyśliła się nad temi słowami ciotki.

— Pocóż ja mam koniecznie jakieś wrażenia czyni swojém przybyciem?—mówiła sobie w duszy. Gdybym dajmy na to, zaczęła zaraz wchodząc do salonu koziołki przewracać, albo coś podobnego, toby zapewne sprawiło wielkie wrażenie. Ale jeżeli wejdę spokojnie, tak jak wszyscy ludzie... Albo gdyby nas konie uniosły i przewróciły karetę przed samym gankiem, a młoda księżniczka okazała przytém nadzwyczajną przytomność umysłu... Ja tam nie pragnę żadnych wrażeń wywoływać, po co mam na siebie uwagę zwracać.

Trzeba przyznać, że tym razem myśli naszéj Kasi wcale były rozsądne i nieźleby była zrobiła gdyby się do téj zasady stosowała.

Rodzina lorda Powera zgromadzona była w salonie, panienki po ukończeniu lekcyj porannych, zwykle parę godzin przed obiadem spędzały z rodzicami. Ernesta nie było w domu, gdyż po wakacyach odjechał do szkoły w Etonie, gdzie się wychowuje zwykle bogatsza młodzież angielska, młodszy braciszek który jeszcze nie mógł się uczyć, bo nawet mówić dobrze nie umiał, siedział na kolanach ojca. Dziewczątka skupione przy stoliku, zajęte były jakąś robotą. Liczna ta gromadka zachowywała się tak spokojnie, że jéj wcale nie było słychać w salonie. Lady Barbara miała zupełną słuszność mówiąc, że dzieci te bardzo dobrze były wychowane; nawet malutki chłopaczek na ręku ojca, chociaż miał dopiéro półtora roku, już umiał się znaleść w obec gości, podał grzecznie pulchną swą rączkę lady Barbarze i pozwolił się pocałować bez żadnych grymasów. Cztery dziewczynki ukłoniły się z wdziękiem sędziwéj pani, potém zbliżyły się do Kasi i z wielką uprzejmością zaprosiły ją do stoliczka, przy którym siedziały. Najstarsza Frania podbiegła na skinienie ojca, wzięła na ręce małego braciszka i wyniosła go do dziecinnego pokoju. Trzy pozosta-

łe zaczęły zaraz poufale rozmawiać z Kasią. Jedna z nich Marynia, była zupełnie w tym samym wieku co ona, a dwie znacznie młodsze. Księżniczka tak była uszczęśliwiona, że zapomniała zupełnie o obecności ciotki i rozgadała się na dobre, rozpytując ciekawie o wszystko, co widziała na stoliku i o zajęcia dziewczynek.

— Widzisz, za tydzień będą imieniny miss Oswald, naszéj nauczycielki i my dla niéj przygotowujemy niespodziankę, wyklejamy ładny koszyczek do roboty. Mama kupiła nam kolorowego papieru, a ojciec pokazał jak mamy to zrobić. Korzystamy zawsze z chwili, kiedy miss Oswald wychodzi z domu, co bardzo rzadko się zdarza. Jak tylko powraca, chowamy koszyk do szuflady i bierzemy się do innéj roboty. Może i tę chcesz zobaczyć?

Kasi ta druga robota właśnie się podobała niezmiernie, zobaczyła farbę rozrobioną w miseczce, różne jakieś przyrządy, liście poukładane na kolorowym papierze.

— Pokażcież mi, jak to się robi!—wołała zachwycona, bo nic tak nie lubiła jak porać się z farbami a nauczyciel rysunku zabronił jéj malować, tylko ołówkami kazał różne wzory przerysowywać.

Wróciła tymczasem najstarsza Frania, dorastająca panienka, która się już po trochu opiekowała młodszém rodzeństwem, a widząc, że Kasia chwyta miseczkę z farbą:

— Ostrożnie—rzekła z uśmiechem—bo tą robotą bardzo łatwo się powalać, my zawsze do tego bierzemy ceratowe fartuszki.

— O, proszę was—mówiła Kasia—pokażcie mi, jak wy te śliczne deseniki robicie, ja muszę się koniecznie tego nauczyć.

— Patrz—rzekła uprzejma Frania—liść prawdziwy, czy to paproć, czy inny listeczek, kładzie się równiuteńko na papierze, przyciska się mocno i szpileczkami przypina; potém się ta miękka szczoteczka macza w farbie i trzymając nad papierem, rozczesuje się ją ostrożnie grzebyczkiem. Farba bryzga drobnemi kropelkami na papier i całe tło robi

się pstre, tylko miejsce przykryte liściem pozostaje czyste. Wtenczas liść się odejmuje i tylko żyłki się dorabia od ręki.

— O, cóż to za przepyszna robota!—mówiła Kasia z uniesieniem. Proszę was, pozwólcie mi sprobować choć jeden listeczek zrobić. Ja potrafię, doskonale zrozumiałam wszystko.

— Ale zawalasz się—perswadowała Frania—taką masz ładną sukienkę; poczekaj, włóż przynajmniej mój fartuszek— i pomimo zapewnień Kasi, że się nie powala, że wszystko zrobi z największą ostrożnością, włożyła jéj długi ceratowy fartuszek i rękawki strojnéj sukienki starannie odwinęła. Kasia tak była rozradowana, że wpadła w jakiś rodzaj szału, zaczęła coraz głośniéj deklamować, pletła różne niedorzeczności, jak naprzykład:

— O! patrzcie, patrzcie wszyscy! Zaraz będzie deszczyk padał, już chmury się zbierają... straszna burza... grzmoty brr! a teraz lu-lu-lu—deszcz leje... uciekajcie, uciekajcie!

Młodsze dziewczątka udawały, że się boją, bo ich to bawiło niezmiernie i powstała radość ogólna i śmiechy. Ale trzeba i to dodać, że dzieci domowe miały chwalebny zwyczaj pod tym względem, śmiały się cichutko, chociaż serdecznie, nasza zaś księżniczka, gdy już raz była w wesołém usposobieniu, nie umiała się śmiać inaczéj, tylko do rozpuku i z największym hałasem, a jéj wrzaskliwe cha-cha-cha zaniepokoiło lady Barbarę na kanapie.

— Katarzyno!—ozwał się głos dostojnéj pani, ale Kasia rozbawiona nic nie słyszała, na nic nie zwracała uwagi, śmiech jéj i wykrzykniki brzmiały coraz głośniej, aż w końcu lady Barbara, nie mogąc wytrzymać, zerwała się z kanapy i podeszła do stolika, gdzie się rozkoszna zabawa odbywała.

Nieszczęśliwa ciotka stanęła jak wryta na widok swéj siostrzenicy, która wyglądała w téj chwili, jak dzika jakaś kobieta umalowana najdziwaczniéj. Fartuszek ceratowy ochraniał sukienkę, ale nasza księżniczka w zapale poetyckim co

chwila odgartywała włosy z czoła i twarzy palcami umaczanemi w szafirową farbę, możecie więc sobie wyobrazić, w jakim stanie przedstawiła się przerażonym oczom lady Barbary. Młodsze dziewczynki, patrząc na to, a nie przewidując żadnych smutnych następstw, pokładały się od śmiechu, zawsze jednak cichutko i przyzwoicie się śmiały, Kasia zaś nie wiedziała nawet, o co chodzi i ze zdumieniem patrzała na oburzoną minę ciotki, bo nic a nic sobie nie miała do wyrzucenia.

— Patrz!—zawołała nakoniec lady Barbara, chwytając ją za ramię i prowadząc do wielkiego zwierciadła—patrz, jak ty wyglądasz!

— Ależ to tylko twarz i ręce—pocieszała dobra Frania, widząc, że na coś niedobrego się zanosi—na sukience niéma ani jednéj plamki, umyje się i będzie po wszystkiém. Ja ją dobrze osłoniłam fartuszkiem.

— Zawsze to wasza wina—odezwała się matka—pocóżeście teraz tę zabawę rozpoczęły przy gościu.

— Nie, nie!—wołała Kasia zaperzona—one nic temu nie winne, ja sama się naparłam farby i szczoteczki, Frania mi perswadowała, że się zawalam, a ja jéj słuchać nie chciałam.

— Paradnie wygląda, paradnie! powtarzał lord Power, zanosząc się od śmiechu—co to za wąsy, co za faworyty! Zupełnie teraz do mnie jesteś podobna, moja panienko.

Lady Barbara wzruszyła pogardliwie ramionami, a Frania uprowadziła czémprędzéj zawstydzoną księżniczkę do swego pokoju, ażeby jéj umyć twarz i ręce. Gdy drzwi się za niemi zamknęły, lord Power rzekł poważniejszym tonem.

— To dziecko ma wielką cnotę, miłuje prawdę; ludzie, którzy je wychowali, muszą być zacni i prawi, a to jest ważniejsze daleko od wykwintnych zwyczajów.

Kasia tymczasem w pokoju panienek starała się wynagrodzić sobie nawet tę odrobinę przymusu, jaki sobie musiała zadawać w obecności ciotki i zaczęła pleść zwyczajem swoim bez najmniejszéj rozwagi.

— Powiedźcie mi—pytała—czy wasza mama naprawdę

jest taka wymagająca i takie wielkie znaczenie przywiązuje do światowego ułożenia? Ciotka Barbara straszyła mię jeszcze w domu, że jeżeli nie będę się u was sprawiała przyzwoicie, to jest, jeżeli nie będę siedziała jak drewniana lalka i jak mruk, to wasza mama nie pozwoli mi bywać w swoim domu i bawić się z wami. Czy to być może, żeby wszystkie wielkie panie były takie nieznośne dziwaczki jak moja ciotka?

— Ależ nie, wcale nie—wołała mała Gracya—przeciwnie, mama bardzo lubi wesołość, a o tobie nieraz już z ojcem mówiła i zawsze nazywali ciebie: to biedne dziecko, nie wiém doprawdy dla czego, bo przecież na niczém ci nie zbywa.

Starsza Frania spostrzegła, że rozmowa wkracza na drogę niewłaściwą i chciała zagadać czém inném, ale Kasia zaczęła jeszcze żwawiej i głośniéj rozprawiać.

— O, niezawodnie wasz dobry ojciec pożałował mnie, jak był u nas z Ernestem, wstawiał się nawet za mną do ciotki, bo ona najmniejszą rzecz zaraz za zbrodnię uważa.

— Opowiadał nam Ernest całe to zdarzenie z postumencikiem i Pygmalionem—mówiła znów druga siostrzyczka, Adelcia—a muszę ci powiedzieć, że podobałaś się bardzo Ernestowi, przez cały wieczór mówiliśmy tylko o tobie i niezmiernie byłyśmy ciekawe ciebie poznać.

— Ernest mówił—szczebiotała dalej mała Gracya—że się z tobą zaprzyjaźnił odrazu, jakby z najlepszym koleżką. Ja też pomyślałam sobie: musi ta Kasia być bardzo swawolna i wesoła, bo już wiem, co to znaczy, kiedy Ernest kogo tak zachwala.

Gdyby Kasia była rozsądna, nie wzbiłyby jéj w zbytnią pychę te pochwały Ernesta, ale my wiemy, że nasza księżniczka nie odznaczała się wielkim rozsądkiem. Ciotka, powracając z nią do domu, ostro ją wystrofowała za to, że jéj takiego wstydu narobiła swojém niewłaściwém zachowaniem, ale Kasia, chociaż nieodważyła się nic na to odpowiedzieć, pogardliwie wydęła usta i w duszy powtarzała:

— Niech tam sobie ciotka gderze, nie muszę ja być tak źle wychowana, skoro się podobałam Ernestowi; a już nie ulega wątpliwości, że jestem bardzo nieszczęśliwa i wielką niesprawiedliwość cierpię, bo i dla czegóżby mię lord i lady Power nazywali biedną dziewczynką? Tak więc, zamiast się zgadzać ze swoim losem i wszelkich usiłowań dokładać, aby ciotce dogodzić, Kasia buntowała się tylko przeciw niéj, i przéjmowała się żalem i goryczą.

VI.

Księżniczka przyjmuje gości.

Po téj pierwszéj wizycie Kasia widywała się często z córkami lorda Powera, spotykała je prawie codziennie w publicznym ogrodzie, gdzie dawniéj tak jéj było nudno przechadzać się poważnie w towarzystwie smutnéj mistress Lassy. Nauczycielka tych panienek, nazwiskiem miss Oswald, była to osoba młoda, bardzo łagodna i miła, a nawet wesoła i Kasia nieraz z westchnieniem rozmyślała nad dziwną niesprawiedliwością losu, który tym dzieciom, obok dobrych rodziców, dał taką nieocenioną nauczycielkę, a ją skazał na posiadanie ciotki Barbary i płaczliwéj mistress Lasy. Na przechadzkach w ogrodzie nigdy się nic nadzwyczajnego nie wydarzało, czasem tylko Kasia wpadała w zbytni zapał, zaczynała opowiadać różne śmieszne rzeczy tak głośno i z tak gwałtownemi gestami, że wszystkie oczy zwracała na siebie; wówczas przerażona mistress Lassy usiłowała ją powstrzymać, ale najczęściej brała to na siebie miss Oswald albo Frania, najstarsza z siostrzyczek, bardzo rozsądna panienka. Łagodna, żartobliwa uwaga, daleko łatwiéj uspokajała rozszalałą księżniczkę, od żałosnych ubolewań mistress Lassy.

Dnia pewnego nasza Kasia zdobyła się na wielką odwagę zaprosiła panienki do siebie na herbatę. Lady Bar-

bara przyzwoliła na to łaskawie, kazała zastawić stół ciastkami i różnemi przysmakami, oczekiwani goście pzybyli na godzinę oznaczoną, towarzyszyła im miss Oswald, Frania tylko została w domu, gdyż miała ważne jakieś zajęcie. Było to bardzo nieszczęśliwie dla Kasi, gdyż dobra Frania umiała zawsze i ją i młodsze swoje siostrzyczki powstrzymać od zbytniéj swawoli.

Herbatę podano dla dzieci osobno w małym saloniku, przytykającym do pokoju Kasi, dziewczynka nie posiadała się z radości, przypominała sobie dawne błogie czasy, herbatki i majówki w towarzystwie Sylwii i Karolka, nie mogła tylko odżałować, że Ernesta nie było, bo zawsze zabawa z chłopcami najwięcéj dla niéj miała uroku. Po herbacie młoda księżniczka, jako gospodyni domu, zaczęła obmyślać różne zabawy, dobierając najhałaśliwsze. Miss Oswald, która swoich panienek nie potrzebowała pilnować, jak małych dzieci, usiadła w zagłębieniu okna i rozmawiała ze smętną mistress Lassy; Marynia byłaby chętnie przeglądała piękne książki z rycinami, i albumy porozkładane na stolikach, ale Kasia gorliwie się zajęła zabawieniem dwóch młodszych dziewczynek, Gracyi i Adelci. Ponieważ sama niezmiernie lubiła żywe obrazy i wszelkie przedstawienia dramatyczne, więc zaproponowała, żeby się przebrać za dzikich ludzi i odprawić jakiś pochód wojenny. Gracya słyszała niedawno, jak ojciec czytał w dziennikach o wojnie Francuzów z Arabami w Algerze, i wielką miała ochotę przebrać się za arabskiego szeika w białym burnusie. Kasia chętnie na to przystała, burnusy znalazły się z łatwością, w jednéj chwili sfastrygowano kaptury z białych chustek od nosa, a ponieważ Arabowie na koniach występują do boju, więc lekka kawalerya usadowiła się na krzesłach. Nie było komu przedstawiać francuzkiego wojska, Arabowie musieli więc rozpocząć bratobójczą wojnę pomiędzy sobą, Kasia pierwsza przypuściła gwałtowny atak, Gracya i Adelcia, uszczęśiiwione z takiéj gratki, broniły się dzielnie, nawet spokojna Marynia, porwana szałem ogólnym, wykrzyki-

wała niby po arabsku coraz głośniéj; obie nauczycielki, nie spodziewając się żadnych nadzwyczajnych przygód, odeszły do pokoju mistress Lassy, obejrzeć jakąś robotę, bitwa tymczasem wrzała w najlepsze i jak to zwykle bywa w wojennym zapale, zapaśnicy stracili zupełnie panowanie nad sobą. Mała Gracya, napastowana ze wszystkich stron, krzycząc w niebogłosy zaczęła uciekać, wpadła tak aż na wschody, a trzymając w ręku wyciągniętą włócznię, to jest parasolik, z kapturem zapuszczonym na oczy, biegła jak szalona i wpadła nakształt bomby na ciotkę Barbarę, która aż na dole posłyszała nadzwyczajny hałas i szła się dowiedzieć co się stało. Za Gracyą i reszta Arabów pędziła po wschodach z okrzykami tryumfu, nadeszły wreszcie i strwożone nauczycielki, nie łatwo było jednak spokój przywrócić. Dziewczynki powróciły na górę, poszła tam za niemi ciotka, oburzona i zgorszona do najwyższego stopnia. Marynia wprawdzie na pierwsze słowo miss Oswald zdjęła burnus i kaptur, i przeprosiła lady Barbarę za hałaśliwą zabawę, ale dwie małe nie miały ochoty przerywać bitwy, przed rozstrzygnięciem zwycięztwa, a Kasia zaperzóna, zarumieniona, biegała po pokoju, wołając głosem rozpaczliwym, że to trzeba nie mieć już żadnéj litości, żadnego miłosierdzia, ażeby jéj bronić niewinnéj zabawy, gdy raz przecież, po tylu dniach nieznośnych nudów, rozweseliła się trochę. Nareszcie, gdy zobaczyła, że już i Gracya i Adelcia dały się spokojnie rozebrać i siedziały jak trusie przy nauczycielce, a lady Barbara stała i spoglądała na nią z groźną miną, wybuchła gwałtownym płaczem, szlochała na głos, jak małe dziecko, narzekając na swoje nieszczęście, na straszną niesprawiedliwość, której się stała niewinną ofiarą.

Dziewczynki patrzały na nią wystraszone, mistress Lassy straciła zupełnie głowę i tylko ręce łamała i wzdychała raz po raz, ciotka Barbara wyglądała, jak posąg kamienny, nakoniec miss Oswald zbliżyła się do rozpaczającej księżniczki i łagodnie ją uspokajać zaczęła. Po chwili objęła

ją wpół i gwałtem prawie odprowadziła do jéj sypialnego pokoju. Tu dopiero Kasia przyszła powoli do siebie, nie przestała płakać rzewnie, ale żałość jéj stała się mniéj gwałtowną; miss Oswald tak serdecznie przemawiała do niéj, że po raz pierwszy, od kiedy była księżniczką, biedna dziewczynka szczerze wynurzyła się przed nią ze swojemi cierpieniami.

— O, droga miss Oswald—mówiła przerywanym głosem — ja tak byłam szczęśliwa, tak mi dobrze było w domu, tak mię tam wszyscy kochali, nikt mi nie mówił, że jestem zła, źle wychowana, że jestem zawadą, karą bożą, jak to nieraz ciotka Barbara mówi do ciotki Joanny. Poco oni mnie zrobili księżniczką, kiedy ja muszę być koniecznie złą księżniczką, bo nie jestem stworzona na wielką panią. To nie moja wina, że ciotka Barbara chce mnie gwałtem przerobić; ja lubię się bawić, lubię hałasować, niech sobie zabiorą moje nieznośne księztwo, a mnie odeślą do domu.

— Moje dziecko—mówiła miss Oswald, pocieszając ją—narzekania nie mogą zmienić naszego losu, na wszelkie przykrości niema lepszego sposobu, jak cierpliwość. Z wolą Bożą zgodzić się potrzeba, a gdybyś się starała dogodzić ciotce...

— To niepodobna, miss Oswald, ciotka jest nadto wymagająca, ja nigdy jéj dogodzić nie potrafię.

— Przyznaj jednak—mówiła miss Oswald,—że dziś troszkę przebrałaś miarę i nawet moje spokojne dziewczątka doprowadziłaś do takiéj swawoli, jakiéj nigdy się jeszcze nie dopuściły i to w obcym domu.

— O miss Oswald, to okropne, ja doprawdy jestem bardzo nieszczęśliwa; lady Power nie pozwoli już pewnie swoim córkom widywać się ze mną, jak to ciotka Barbara nieraz przepowiadała.

— Nie obawiaj się, moje dziecko, lady Power jest bardzo dobra i pobłażliwa. Najlepiéj obetrzyj oczy i pójdź pożegnać się z mojemi dziewczątkami, bo muszę je do domu odprowadzić, już pora.

— O nie, nie, miss Oswald—wołała Kasia, ukrywając twarz w dłoniach—ja nie mogę wyjść taka zapłakana, mnie wstyd strasznie, ja się z niemi widzieć nie mogę. Co one myślą o mnie, jakże to okropnie, że ja się od tego płaczu i krzyku wstrzymać nie mogłam!

I Kasia przypomniała sobie, że raz jeden *w domu*, jak mówiła, zdarzyło jéj się wybuchnąć takim gwałtownym i hałaśliwym płaczem, gdy Karolek jéj zrobił jakąś przykrość, a Marynia, zamiast wyłajać Karolka, zaczęła ją strofować i przedstawiać, że sama sobie winna, bo dziewczynka powinna być zawsze cierpliwsza i łagodniejsza od chłopca. Ta niesprawiedliwość Maryni tak ją zabolała, że uderzyła w płacz i krzyk okropny, aż doktór wybiegł ze swego gabinetu, a dowiedziawszy się o co idzie, kiwał głową ze smutkiem i ubolewał nad biedną Marynią, która tyle ma kłopotów i przykrości z niesforną dziatwą. Ją to tak zawstydziło i rozrzewniło, że rzuciła się na szyję Maryni, przepraszała ją i przepraszała ojczulka, przyrzekając być cierpliwszą i łagodniejszą. A potém wszyscy się ściskali i zgoda była ogólna i wesołość, a ona starała się naprawdę być dobrą i cierpliwą, nie martwić Maryni, która jéj zastępowała matkę i nauczycielkę. Ale teraz Kasia nie przeprosiłaby za nic ciotki Barbary, choćby najsroższe kary spaść na nią miały.

— Dobranoc, moje dziecko—rzekła miss Oswald, całując ją w czoło—muszę odwieźć dziewczątka, bo łady Power byłaby niespokojna—i odeszła, a Kasia uczuła się strasznie osamotniona i nieszczęśliwa. Potém ją znowu wstyd ogarnął, nie chciała, ażeby ją Małgorzata zobaczyła w takim stanie, więc rozebrała się prędko, położyła się do łóżka i ukryła głowę w poduszki.

Po chwili usłyszała stąpanie w drugim pokoju i dobrze znany szelest jedwabnéj sukni, drzwi się otworzyły i Kasia z bijącém sercem słyszała, jak lady Barbara, któréj kroki dobrze poznała, zbliżyła się i stanęła nad jéj łóżeczkiem. Ale dziewczynka wstrzymywała oddech, leżała cichuteńko

i udawała, że śpi. Przychodziło jéj wprawdzie na myśl podnieść się i przeprosić ciotkę, ale odpychała tę myśl i powtarzała sobie w duszy uparcie:—Za nic, za nic! Lady Barbara postała chwilkę i odeszła, a Kasia zaczęła znów żałować, że jéj nie przeprosiła, bo tak wszystkoby się już raz skończyło, nie obawiałaby się przynajmniéj rano stanąć przed ciotką.

Leżała spokojnie, pogrążona w myślach, a po upływie chwil kilku drzwi otworzyły się znowu i weszła na palcach Małgorzata. Służąca młodéj księżniczki miała zwyczamówić głośno sama do siebie, więc zbierając porozrzucane po podłodze części ubrania szeptała półgłosem, tak, że Kasia doskonale słyszała:

— Ach, cóż to za złośnica, ta mała; zupełnie ma tęż samę naturę, co lady Barbara.

Kasia miała wielką ochotę wyskoczyć z łóżka i wykrzyknąć, że niéma w niéj najmniejszego podobieństwa do lady Barbary, a zarazem zawstydzić Małgorzatę, która z takiém uniżeniem zawsze przemawiała do niéj, tak słodziutko zachwycała się miłemi przymiotami księżniczki, a poza oczyma nazywała ją złośnicą. Powstrzymała się jednak, myśląc sobie w duszy:

— A więc i ja także, jak wszyscy możni świata tego, otoczona jestem pochlebstwem. Niegodziwa Małgorzato, teraz już wiem, co mam myśléć o twojéj przychylności. Mogłabym to powiedzieć ciotce i żądać, żeby cię odprawiła, bo i mnie i jéj uchybiłaś, ale nie chcę się mścić, przebaczam ci.

Te wspaniałomyślne uczucia przyniosły jéj niejaką ulgę, sen już naprawdę zaczynał sklejać jej powieki, bo biedaczka była zmęczona płaczem; gdy wtém znów posłyszała szelest jedwabnéj sukni i kroki lżejsze, powolniejsze, zbliżyły się do łóżeczka. Chociaż zamknięte miała oczy i udawała znowu śpiącą, Kasia słyszała dobrze, że dwie osoby weszły do pokoju i poznała odrazu ciotkę Joannę i mistress Lassy.

— Biedne dziecko—mówiła z cicha ciotka Joanna, po-

chylając się nad nią—biedne dziecko, usnęło z wielkiego płaczu. Ach, jak mi przykro, bo to wszystko stało się przezemnie; ja jestem taka nieszczęśliwa, mam tak słabe nerwy, przelękłam się tego strasznego hałasu i dla tego to Barbara przerwała tym dzieciom zabawę.

— Ale bo też księżniczka zanadto jest żywa i roztrzepana—mówiła mistress Lassy—tak trudno sobie z nią dać rady.

— Ach, mistress Lassy—rzekła znów ciotka Joanna — mnie się zdaje, że to dziecko jest nieszczęśliwe u nas. Ja jestem chora i znękana, a Barbara zanadto dba o moje zdrowie i mój spokój, nie ma żadnego pobłażania dla téj biednéj dziewczynki, która przywykła do innego życia. Mój Boże, gdybym ja była zdrowsza, wszystko poszłoby inaczéj.

Tu już Kasia nie mogła się powstrzymać, zerwała się na równe nogi, chwyciła za szyję ciotkę Joannę, która znów o mało nie zemdlała ze strachu i wzruszenia.

— Przebacz, o przebacz, moja dobra ciociu!—wołała ze skruchą prawdziwą—ja jestem taka szalona, taka roztrzepana, tyle ci robię ciągle przykrości; ale ja się będę starała poprawić.

To wynurzenie uczuć wielką ulgę przyniosło dziewczynce, a gdy ciotka odeszła, usnęła spokojnie i z lekkiém sercem; wielkie to jest szczęście, że w młodym wieku smutki i troski tak prędko przemijają, żadnych śladów nie pozostawiając po sobie. Dobra ciotka Joanna sama, nieproszona, przyrzekła pomówić z siostrą i wyprosić jéj przebaczenie.

VII.

Wycieczka po mieście.

Nazajutrz po przebudzeniu Kasia z wielkim wstydem zaczęła rozpamiętywać smutne przygody dnia poprzedniego.

Dziewczynka miała minę tak strapioną i upokorzoną, że nawet ciotka Barbara ulitowała się nad nią i przemówiła do niéj łaskawie.

— Widzę, że żałujesz nierozsądnego swego postępowania—odezwała się tak łagodnym głosem, jakiego Kasia jeszcze nie słyszała—będę się starała zapomnieć o tém i szczerze pragnę, aby i towarzyszki twoje zapomniały.

Westchnęła biedna księżniczka, bo czuła w duszy, że ani ciotka, ani te miłe dziewczątka, których przyjaźń tak ceniła, nie potrafią zapomnieć o téj strasznéj scenie. Nie wątpiła, że musiały wszystko opowiedzieć rodzicom, powróciwszy do domu, bo nasza Kasia, sama niezmiernie prawdomowna, nie przypuszczała nawet, aby można było cośkolwiek ukryć przed rodzicami. Czuła więc, że smutne z tego wszystkiego wyniknąć mogły następstwa; lady Power zapewne odtąd nie pozwoli córkom widywać się z dziewczyną tak źle wychowaną i tak popędliwą. Jéj saméj wstyd było spotkać się z niémi po tém, co zaszło, postanowiła więc prosić mistress Lassy, aby nie chodziła z nią na przechadzkę do publicznego ogrodu, tylko na skwer, ażeby uniknąć tego spotkania, które jéj przedtém taką radość sprawiało. Przygoda ta wpłynęła bardzo na usposobienie Kasi, stała się daleko spokojniejszą, cichszą, uwierzyła już nawet po części, że na wielkim świecie trzeba było zupełnie przemienić dawne swoje nawyknienia. Tak minęło dni kilka, smutnych i nudnych dni.

Pewnego rana po śniadaniu Kasia siedziała w jadalnéj sali w towarzystwie ciotki i nauczycielki, gdy powóz zatrzymał się przed domem, a po chwili dał się słyszeć odgłos dzwonka w przedpokoju. Wyraz zdziwienia ukazał się na twarzy lady Barbary, nie spodziewała się gości o téj porze, nie domyślała się, ktoby to mógł być, Kasia ciekawie spoglądała na drzwi, rada była, że jakiekolwiek odwiedziny przerwać miały jednostajność i nudy teraźniejszego jéj życia. Drzwi się otworzyły i wszedł lord Power z Adelcią, a Kasia przypomniała sobie w téj chwili, że to był dzień

imienin Adelci, więc poskoczyła do niéj z serdecznemi życzeniami. Serce jéj biło gwałtownie, przeczuwała jakąś wielką radość.

Przeczucie to nie omyliło jéj wcale, lord Power, przywitawszy się z lady Barbarą powiedział jéj zaraz po co przyjechał; Kasia niezmiernie wzruszona z bijącem sercem słuchała téj rozmowy. Lord Power oznajmił, że dla sprawienia przyjemności solenizantce, cała rodzina miała się udać dnia dzisiejszego do Sydenhamu *) dla obejrzenia kryształowego pałacu. Lady Power z innemi dziewczątkami pojechała naprzód, a on wstąpił po Kasię i prosił o pozwolenie zabrania jéj z sobą.

Nasza księżniczka cała poczerwieniała i drżącą ręką pochwyciła Adelcię za ramię, spoglądała niespokojnie na ciotkę i czekała z jéj ust wyroku, który ją miał uszczęśliwić, lub pogrążyć w otchłań smutku.

— Co, czy miałabyś ochotę pojechać z nami?—zapytał lord Power z uśmiechem, spotkawszy rozogniony wzrok Kasi.

— O, chciałabym bardzo!—rzekła, składając ręce w zachwyceniu—nigdy jeszcze nie widziałam żadnéj wystawy. Czy ciocia pozwoli?—dodała głosem błagalnym.

— Wielka to dobroć ze strony twojéj, mylordzie—mówiła lady Barbara, cedząc słówka—wielka dobroć naprawdę, po tém co się stało...

— O, nie wspominajmy już żadnych niemiłych rzeczy zwłaszcza dziś, w dniu imienin mojéj córeczki—rzekł lord Power proszącym tonem.

— A czy to już późno?—mówiła ciotka, spoglądając na zegarek—może mistress Lassy odwiezie Katarzynę, ażeby państwu oszczędzić kłopotu.

— Ale nam właśnie o to idzie, aby mistress Lassy za-

---

*) Przedmieście Londynu, gdzie jest wspaniały pałac kryształowy, pobudowany na wystawę powszechną w r. 1851, a dziś mieszczący w sobie różne zbiory naukowe, okazy sztuki i przemysłu.

dnego sobie kłopotu nie zadawała—rzekł lord Power.— Jestem pewny, że będzie wołała odpocząć w domu i wcale nie jest spragniona téj przejażdżki.

Dość było spojrzeć na znękaną twarz biednéj nauczycielki, aby odgadnąć odpowiedź, nim jeszcze wyszeptała z westchnieniem:

— Bardzo byłabym wdzięczną...

— Wszystko to dobrze—odezwała się znowu lady Barbara—gdyby Katarzynie można było zaufać.

— A to chyba i ja także nie zasługuję na zaufanie— rzekł lord Power, śmiejąc się—gotów jestem wziąć tę małą osóbkę na własną odpowiedzialność.

— Oho, nie sądź, pan, że to tak łatwo dać sobie z nią rady—szepnęła lady Barbara,

— W każdym razie nie możesz pani przypuszczać, ażebyśmy wszyscy razem, ja, żona moja i starsza córka, nie byli w stanie dopilnować księżniczki Katarzyny. To byłoby prawdziwie upokarzające dla nas.

— Ja tego wcale nie mówię...—mowiła lady Barbara zakłopotana—gdyby Katarzyna podobna była do pańskich córek, tobym ani słowa nie powiedziała, ale na nieszczęście... jednak, jeżeli już nie może być inaczéj i jeżeli ona sama mi przyrzeknie, że będzie się sprawowała rozsądnie...

— O, ciociu, przyrzekam—wołała Kasia uszczęśliwiona.

— No, no, resztę ja już biorę na siebie—rzekł lord Power —a teraz, moja panienko, śpiesz się, bo nie mamy czasu do stracenia, czekają na nas.

Kasia nie dała sobie tego powtarzać, chwyciła za rękę Adelcię i jak szalona puściła się na wschody, wpadła jak bomba do swojego pokoju, o mało nie urwała dzwonka, tak gwałtownie zadzwoniła na Małgorzatę, a gdy służąca nie przychodziła, porwała Adelcię wpół i zaczęła z nią tańczyć po pokoju, śpiewając i wykrzykując w niebogłosy. Potém padła znużona na kanapkę:

— Ach, moja Adelciu—mówiła—nie uwierzysz, w ja-

kim byłam strachu. Wyobrażałam sobie, że ja jestem Eurydyką, a twój ojciec to Orfeusz przychodzi po mnie; ciocia wyglądała zupełnie, jak Prozerpina, broniąca śmiertelnikom przystępu do swojego państwa.

— Jakaż ty jesteś zabawna, moja Kasiu, żeby tatkę porównywać do Orfeusza! — i Adelcia, śmiała się do rozpuku z tego konceptu.

— Ja tak kocham lorda Powera—wołała Kasia—nikogo w świecie tak nie kocham, oprócz jednego tylko ojczulka doktora. Ale co to znaczy, że Małgorzata nie przychodzi?—i szarpnęła znów dzwonkiem z całéj siły, potém stanęła na progu i zaczęła wołać w niebogłosy:

— Małgorzato! Małgorzato, przychodźże prędzéj!

— Pocóż ci koniecznie Małgorzata—rzekła Adelcia—czy nie możesz sama znaleźć kapelusza i rękawiczek? My zwykle same się na przechadzkę ubieramy, pocóż zaraz wołać służącéj.

Kasia byłaby chętnie ubrała się sama, ale nie mogła znaleźć swoich rzeczy; od kiedy została księżniczką, jeszcze mniéj była porządną niż dawniéj, darmo więc obie przewracały z Adelcią wszystkie szuflady, szukając kapelusza i rękawiczek. Tymczasem zamiast Małgorzaty weszła kobieta niemłoda, dawna i zasłużona garderobiana lady Joanny, która zwyczajem sług zaufanych pozwalała sobie czasem nawet i księżniczkę strofować:

— Na miłość Boga, jakteż Wasza Książęca Mość możesz tak hałasować. Lady Joanna zdrzemnęła się właśnie przed chwilą, a usłyszawszy takie przeraźliwe krzyki, sądziła, że się jakie straszne nieszczęście stało.

— Żadne nieszczęście się nie stało—mówiła Kasia zawstydzona—tylko potrzebuję natychmiast kapelusza i rękawiczek, a bez Małgorzaty nic odszukać nie mogę.

— A to czemuż księżniczka nie powie po ludzku, czego żąda, przecież i ja potrafię zastąpić Małgorzatę, która na chwilkę oddaliła się z domu; pocóż zaraz takie wrzaski wyprawiać—mówiła poważnie garderobiana, otwierając szafę bez

najmniejszego pośpiechu i podając Kasi płaszczyk, kapelusz, i rękawiczki z uroczystą miną, a ciągle przytém mrucząc pod nosem:

— Odkiedy żyję nie widziałam, ażeby pańskie dziecko tak nieprzystojnie się sprawowało...—i tym podobne uwagi, których Kasia musiała słuchać cierpliwie i w milczeniu, póki nareszcie nie ukończyła toalety i nie zbiegła pędem ze wschodów wraz z Adelcią. Pokazało się, że się wcale nie spóźniła; lord Power zajęty był rozmową z lady Barbarą i dziewczynki jeszcze kilka minut czekać musiały na niego. Powstał nakoniec i zaczął się żegnać, a Kasia cała drżąca, jak przez sen słyszała słowa ciotki:

— Pamiętaj, Katarzyno, czuwaj nad sobą – i jak przez sen, zupełnie bezmyślnie odpowiedziała: — Będę pamiętała, ciociu.—Potém wyszli z salonu i obie dziewczątka, jak sarenki wskoczyły do karety, za niemi wsiadł lord Power i Kasia teraz dopiéro uwierzyła, że rozpoczyna się dla niéj szereg uciech rozlicznych. Lord Power przez całą drogę żartował i dziewczątka pobudzał do wesołości; gdyby lady Barbara była obecna, powiedziałaby niezawodnie, że mężczyzni nie wiedzą, co jest stosowne dla panienek dobrego urodzenia, ale nasza księżniczka czuła się w swoim żywiole, śmiała się, szczebiotała, zapomniała o wszystkich troskach, a zapewne i o przestrogach ciotki Barbary.

Lady Power z trzema dziewczątkami czekała na męża w sali wstępnéj, powitano Kasię bardzo serdecznie i całe towarzystwo ruszyło z miejsca; tyle było ciekawych rzeczy do obejrzenia w kryształowym pałacu, że nie mieli czasu do stracenia. Dziewczątka, które tu już nieraz były z rodzicami, pokazywały Kasi i tłómaczyły wszystkie osobliwoci; najpierw zatrzymały się przy sadzawce, z której wyzierały ogromne, straszne potwory wodne, okazy przedpotopowych zwierząt, sztucznie zrobione według szczątków znalezionych w ziemi.

— Patrz, patrz, Kasiu—mówiła mała Gracya—co to za ja-

szczureczka, żeby taką żywą spotkać! albo ten drugi potwór, podobny do żaby, co za straszydło!

— A co to za ogromna kijanka musiała być z téj żaby!— dodała Marynia i dziewczątka opowiadały Kasi, jak kiedyś z nauczycielką nałapały kijanek i trzymały je w słoiku, w wodzie, ażeby zobaczyć na własne oczy, jak się z nich porobią żabki. Kasia westchnęła i pomyślała sobie, że mistres Lassy nigdy w świecie nie dałaby się namówić na łapanie kijanek.

Dzień był cudny, szklane kopuły pałacu błyszczały w promieniach słońca, mnóstwo osób przechadzało się, oglądając piękne rzeczy nagromadzone w gmachu i w dziedzińcach. Frania miała ochotę zatrzymać się dłużéj w sali rzeźb i posągów, została więc z matką w tyle, ale młodsze dziewczątka nie mogły na miejscu usiedzieć i poszły daléj w towarzystwie lorda Powera, który ze szczególną uprzejmością zajmował się Kasią, jako gościem. Nasza mała księżniczka była bardzo roztropna i dużo na swéj wiek umiała, przydały jéj się teraz wiadomości nabyte, gdyż rozumiała wszystko, na co patrzyła. Podobała jéj się niezmiernie sala maurytańska, przedstawiająca najznakomitsze dzieła sztuk Maurów, pałac Alhambrę, wspaniałe kolumnady, wodotryski a wszystko przyozdobione pomarańczowemi i cytrynowem drzewami, tak, jak było w rzeczywistości w Hiszpanii, gdzie Maurowie panowali.

Kasia była uszczęśliwiona, że się mogła wygadać, a lubiła bardzo pochwalić się swojemi wiadomościami, chociaż dawniéj, w domu doktora, nieraz jéj przedstawiano, jak śmieszną jest taka próżność. Rozprawiała więc o Maurach, o walkach kalifów w Hiszpanami i umyślnie głos podnosiła, aby ją więcéj osób mogło słyszeć; tymczasem niektóre panie, zwiedzające wystawę, zaczęły się na nią oglądać z podziwieniem, a lord Power, który sobie wcale nie życzył, aby jego małe towarzyszki zwracały na siebie uwagę publiczności, musiał ją zreflektować, pomimo całéj swéj dobroci i rzekł półgłosem, dotykając jéj ramienia:

— Ciszéj moje dziecko.

Zawstydziła się nasza gadulska i umilkła, nie na długo jednak, bo to było nad jéj siły. Po chwili wygłosiła nieśmiało uwagę, że religia mahometańska zabrania przedstawiania postaci zwierzęcych w rzeźbach i malowidłach, i dziwiła się, jakteż ten wspaniały wodotrysk Alhambry mógł być ozdobiony figurami lwów.

— Dobrze mówisz—rzekł lord Power—w rzeczy saméj zabobonni mahometanie wyobrażają sobie, iż rzeźbione lub malowane zwierzęta w dniu sądu ostatecznego upominać się będą o duszę żyjącą u malarzy i rzeźbiarzy. Ale trzeba wiedzieć, że Maurowie hiszpańscy byli bardzo oświeceni i nie mogli mieć tak niedorzecznych przesądów, jak inni muzułmanie. Jednak i u nich postaci zwierząt tylko wyjątkowo były przedstawiane w dziełach sztuki, a te lwy, chociaż okazale wyglądają, widocznie niewprawną ręką były rzeźbione; artysta po raz pierwszy zapewne porwał się na przedmiot podobny. Widzisz, Adelciu—dodał, zwracając się do córeczki—jak to dobrze uważnie się uczyć historyi; Kasia z większą daleko przyjemnością ogląda te wszystkie piękne rzeczy, znając dobrze ich znaczenie.

Dobry lord powiedział to dla tego, aby wynagrodzić dziewczynce zawstydzenie, jakiego doznała przed chwilą, gdy jéj musiał przypomnieć, że za głośno mówiła, chciał też zarazem zachęcić małą Adelcię do pilności w nauce, ale Kasia nie zrozumiała tych pobudek i wyobrażała sobie, że dała dowód niepospolitego rozumu i wielkiéj nauki, co ją wbiło w dumę ogromną. Gdy weszli do sali, zawierającéj starożytne zabytki Pompei, chciała się zaraz popisać ze swojemi wiadomościami i już miała na ustach różne szczegóły o wulkanach, a najpierw chciała uwiadomić wszystkich, że to wybuch Etny zagrzebał te miasta; szczęściem uprzedził ją lord Power, zapytując o to Gracyą, a ona bez zająknienia odpowiedziała, że katastrofa ta nastąpiła w skutek wybuchu Wezuwiusza. Kasia ukąsiła się w język, bo w téj chwili do-

piéro przypomniała sobie, gdzie jest Etna, a gdzie Wezuwiusz i postanowiła być mniéj zarozumiałą na przyszłość.

Trudniéj jéj było powstrzymać się od zbytniéj wesołości; gdy przestała rozprawiać o poważnych przedmiotach, zaczęła podskakiwać, wymachywać rękami i różne dziwne rzeczy wyrabiać, a widok ten przeraził znowu lorda Powera, i lżéj dopiéro odetchnął, gdy ujrzał żonę zbliżającą się do nich z rozsądną Franią, która zawsze najlepiéj umiała sobie poradzić z rozbawioną księżniczką. Całe towarzystwo było już nieco znużone, potrzebowało odpocząć i posilić się, właśnie też ukazała się w pobliżu ozdobna altanka, gdzie można było zjeść śniadanie. O jakże smakowały naszéj księżniczce wyborne kurczęta z sałatą i poziomki ze śmietanką. Ruch na świeżém powietrzu dodaje zawsze apetytu, a dobry humor, żarty i śmiechy, najlepszą są przyprawą przy jedzeniu.

Na nieszczęście nasza księżniczka w niczém nie umiała zachować miary, zaczęła więc głośno paplać, nie dając nikomu przyjść do słowa, powtarzała różne odgrzewane koncepta i śmiała się sama najgłośniéj z własnych dowcipów. Przytém zapominała o tém, że nie należy nadużywać grzeczności i uprzejmości niczyjéj, ani też pozwalać sobie żartów ze starszymi.

Frania była bardzo pobłażliwa, nigdy też, ani od siostrzyczek ani od Kasi nie wymagała żadnych względów z powodu swego starszeństwa, jak to nieraz czynią panienki w jéj wieku; zawsze jednak ze strony Kasi niestosownie było stroić z niéj żarty i wszyscy ze zdziwieniem na nią spojrzeli, gdy odezwała się chichocąc:

— Ty, Franiu, musiałaś się nastraszyć tych ogromnych byków assyryjskich, co tam stały w sali starożytności, bo tak ostrożnie koło nich przechodziłaś. Nieprawdaż? przyznaj się, że ci straszno było, co?

— Bywają czasem małe gąski straszniejsze od wielkich byków—rzekł żartobliwie lord Power—i nie dziwiłbym się

Frani, gdyby nie umiała na razie dać sobie rady z taką natarczywą gąską.

Ale Kasia nie zrozumiała przymówki, a natomiast nowy koncept przyszedł jéj do głowy i wykrzyknęła głośniéj jeszcze.

— A cóż to za tchórz z téj Frani, nawet i gęsi się boi! Wyobrażam sobie coby to było, gdyby ją napadł wielki gąsior z takim strasznym krzykiem; ge, ge, ge! go, go go!

— Jak, jak! powtórz jeszcze raz!—wołały obie małe, Gracya i Adelcia, pokładając się od śmiechu, zawsze jednak cichutko i przyzwoicie.—Powtórz, Kasiu, jak gąsior mówi.

— Dajcie pokój—rzekła lady Power poważnie — to wcale nie ciekawe i wcale nie ładne.

Tą razą Kasia zrozumiała i poczerwieniała po same uszy, ucichła też odrazu i przez chwil kilka panowało milczenie przy stoliku, aż dobry lord Power zlitował się nad zawstydzoną księżniczką i usiłował ją znowu rozweselić, zapytując, czy woli owocowe czy wanilowe lody? Młode dziewczątka zawsze o tém pamiętać powinny, że trzeba czuwać nad sobą więcéj niż zwykle, kiedy się jest pomiędzy osobami obcemi, bo to rzecz bardzo niemiła dla starszych, dawać przestrogi dzieciom w zastępstwie rodziców lub nauczycieli. Nie należałoby więc nikogo na tę nieprzyjemność narażać.

Lady Power rada była, gdy już wstano od stołu, bo sądziła, że łatwiéj będzie powstrzymać Kasię od zbytnich wybryków, przy oglądaniu różnych zajmujących rzeczy. Udano się teraz do ogrodu, gdzie właśnie przed chwilą puszczono wszystkie wodotryski. Towarzystwo zaczęło się przechadzać po uliczkach, w ogrodzie było pełno osób, Kasia zapatrzona dość spokojnie się zachowywała, gdy wtém ciemna chmura przysłoniła słońce i wiatr się zerwał dość silny.

— Będzie niezawodnie deszcz—rzekł lord Power, ale to nic nie szkodzi, przejdziemy do salonów.

— O, to dobrze, niech sobie pada, odświeży się trochę powietrze—odezwała się Marynia—tak strasznie gorąco.

— Byle tylko nie było burzy i piorunów! — zawołała Kasia—ja się strasznie boję piorunów.

Nikt nie miał czasu odpowiedzieć, gdy nagle błyskawica przeleciała w powietrzu i zahuczał grom oddalony. Kasia wrzasnęła przeraźliwie, zakryła sobie oczy obiema rękami i poskoczyła jak szalona.

— Co się stało! co się stało! czy piorun w nią uderzył! —wołała mała Adelcia przestraszona, nie widząc Kasi przy sobie.

Piorun był nadto oddalony, aby mógł w nią ugodzić, ale dziewczynka, poddając się nierozsądnéj trwodze, wpadła w sadzawkę, przy któréj właśnie stało całe towarzystwo w téj chwili. Sadzawka nie była głęboka, nie groziło jéj żadne niebezpieczeństwo, zresztą Frania, stojącą tuż za nią, pochwyciła ją za sukienkę, a w téjże saméj chwili nadbiegł lord Power, wyciągnął biedną księżniczkę z wody i postawił na nogi. Nic jéj się złego nie stało, tylko się porządnie skąpała.

Ale tymczasem zrobił się straszny rozruch w ogrodzie, publiczność zaczęła się gromadzić około naszych znajomych, panie przestraszone zapytywały, czy się Kasia nie uderzyła, czy nic sobie nie zrobiła, a wszystko to niezbyt było przyjemne.

— Nie uderzyłam się i nic mi się złego nie stało—odpowiadała Kasia—tylko wszystko na mnie przemokło okropnie i tak mi niewygodnie.

— Ale jakim sposobem wpadłaś do wody? — zapytała lady Power—co ci się stało?

— Przestraszyłam się i chciałam uciekać od piorunów—odpowiedziała Kasia.

W téj chwili jakaś niemłoda pani zbliżyła się do lady Power, mówiąc, że mieszka tuż obok kryształowego pałacu i prosiła bardzo uprzejmie, żeby dziewczynka poszła z nią do jéj domu, rozebrała się i osuszyła, bo mogła się zakatarzyć po takim wypadku. Lady Power przystała na to

z wdzięcznością i natychmiast odeszła z uprzejmą panią, prowadząc z sobą obmokłą dziewczynkę, córki zaś zostawiła pod opieką ojca.

Pochód naszéj księżniczki wcale na tryumfalny nie wyglądał, sukienki na niéj ociężały, woda z nich ściekała strumieniami, wstępując na schody kamienne, mokre ślady pozostawiała za sobą, piękny kapelusik z piórem, zupełnie nowy, zniszczył się na nic i wyglądał jak jakiś stary strzępek. Trudno jéj było się poruszać w obmokłém ubraniu, które do niéj lgnęło i obie panie musiały ją wlec za sobą, trzymając mocno za ręce. Szczęściem deszcz nie padał jeszcze, tylko błysnęło po raz drugi, ale opiekunki Kasi trzymały ją dobrze i nie mogła się dopuścić żadnego wybryku.

Dom uprzejméj pani był bardzo blizko, wprowadzono Kasię do jéj sypialnego pokoju, rozebrano z przemoczonego ubrania, otulono w jakiś obszerny negliż gospodyni domu i położono do łóżka. Potém musiała wypić filiżankę herbaty i leżeć spokojnie, czekając na rzeczy, które służąca zabrała do osuszenia. Obie panie odeszły do drugiego pokoju i tam rozmawiały z cicha, a Kasia została sama z myślami swemi. Nie miłe to były myśli; czuła biedaczka, że zamiast okazać wdzięczność osobom, które tak dobre były dla niéj, popsuła im całą przyjemność dnia tego, a i sama teraz pokutowała za wszystkie swoje niedorzeczności. Najpierw wstyd jéj było i przykro, a potém sama myśl o tém, co powie ciotka Barbara, przejmowała ją dreszczem. Bardzo jéj było jednak wygodnie na miękkiem, ciepłem posłaniu i wzdychając, a rozpamiętywając wszystkie przygody dnia tego, który tak pięknie się zapowiadał, a tak smutnie zakończył, przejmując się żalem serdecznym i skruchą, mała nasza księżniczka przymknęła oczy, zaczęła się coraz więcéj rozmarzać i w końcu usnęła snem smacznym i spokojnym.

VIII.

Przebudzenie i powrót do domu.

Gdy Kasia otworzyła oczy, spostrzegła najpierw wesołe promienie słońca, zaglądające w okna pokoju, potém obaczyła, że lady Power siedziała na kanapce i czytała jakiś dziennik. Dziewczynka zaczęła sobie przypominać wszystko, co się stało i zawołała:

— Biedne rybki w sadzawce musiały się okropnie postraszyć.

— Co mówisz, moje dziecko?—rzekła lady Power zdziwiona.

— Ach pani—mówiła Kasia, podnosząc się i siadając na łóżku—jak mi przykro, że tyle złego zrobiłam, tyle przykrości sprawiłam wszystkim. Postraszyłam rybki w sadzawce, połamałam prześliczne lilie wodne. Ale nie może sobie pani wyobrazić, jakie to brzydkie te długie, lepkie łodygi wodnych lilij. Zdawało mi się, że jakieś ogromne gąsienice mnie oblazły. Ale kwiateczków mi bardzo żal, jeżeli się połamały.

— Nie masz się o co tak troszczyć—odrzekła lady Power z uśmiechem—rybki musiały prędko przyjść do siebie po chwilowym przestrachu, a i kwiatkom nic się złego nie stało. Dobrze, że sama przynajmniéj wyszłaś cało z téj przygody.

— O, mnie się nic a nic nie stało—mówiła Kasia—tylko co powie ciotka Barbara?... ale mniejsza już o mnie, najbardziéj mi przykro, że tyle kłopotu sprawiłam państwu, a dziewczynkom zepsułam zabawę, i to jeszcze w dniu imienin Adelci. O, doprawdy, bardzo, bardzo mi żal.

Mówiąc to Kasia miała minkę tak strapioną, że lady Power zlitowała się nad nią i zbliżając się do łóżka szczerze ją uściskała i rzekła:

— Bądź spokojna, dziewczynki bawią się doskonale z ojcem, a ja rada jestem, że mogłam odpocząć.

Kasia pochwyciła rękę, która ją łaskawie obejmowała i całować ją zaczęła z uczuciem, ale zamiast powiedzieć coś rozsądnego, odezwała się raptem:

— Ja nie wiem, dla czego ja taka jestem nieszczęśliwa; wszystko zawsze przeciw mnie się sprzysięga.

— Mylisz się, moje dziecko—mówiła lady Power—sami, najczęściej własnym nierozsądkiem sprowadzamy na siebie różne kłopoty. Gdybyśmy chcieli zawsze czuwać nad sobą zastanawiać się nad każdą czynnością, uniknęlibyśmy wielu nieprzyjemności, na które narzekamy.

— O, ja to wiem dobrze, że jestem nierozsądna—rzekła dziewczynka z żywością—ojczulek mówił mi to często i ciotka Barbara powtarza nieustannie; ale sama już nie wiem, co na to poradzić.

— Jakto, taka roztropna dziewczynka, jak ty, żeby sobie na to poradzić nie umiała?

Pochlebiło to Kasi, że ją lady Power nazwała roztropną, zaczęła też rozmyślać nad jéj słowami. Rada byłaby zapewne uniknąć kłopotów, ale z drugiéj strony, czuwać ustawicznie nad sobą, zastanawiać się nad każdą czynnością, jak mówiła ta pani, nie łatwa to rzecz była dla naszéj księżniczki. Westchnęła więc i probowała się wytłómaczyć:

— Ale cóżem ja winna, że się obawiam błyskawic i piorunów i że stałam w téj chwili przy saméj sadzawce? Toż nawet i ciotka Joanna, jak tylko burza się zerwie i pioruny bić zaczynają, woła zaraz ratunku i chowa się w najciemniejszy kącik i spazmów dostaje.

— To zupełnie co innego, moja Kasiu—odrzekła lady Power—ciotka Joanna jest chora, osłabiona i nie może wzruszeń swoich pokonać; ale czyż to nie wstyd, ażeby młoda i silna dziewczynka nie umiała panować nad sobą? Nie przeczę, że pioruny są niebezpieczne i mogą każdego przerażać; niepodobna jednak od tego niebezpieczeństwa uratować się ucieczką. Pojmujesz to przecież, nieprawdaż?

— O, pojmuję, ale...

A gdybyś uciekając wpadła była do głębokiéj rzeki, zamiast do téj sadzawki?

W téj chwili drzwi się odchyliły i służąca zajrzała do pokoju, mówiąc, że rzeczy *panienki* już osuszone i odprasowane. Lady Power podziękowała grzecznie i prosiła służącéj, żeby je przyniosła.

— Panienki! - powtórzyła Kasia, trochę niezadowolona—gdyż nawykła już do swojego książęcego tytułu, ta służąca widać nie wie, kto ja jestem.

— Nie widzę żadnéj potrzeby uwiadamiać ją o tém— rzekła lady Power śmiejąc się—ta cała przygoda nie przynosi ci przecież tak wiele zaszczytu, ażeby warto było ją rozgłaszać i zawiadamiać wszystkich o twojém nazwisku i dostojeństwie.

Zawstydziła się Kasia swéj nierozsądnéj próżności i umilkła na kilka minut, a lady Power skorzystała z téj chwilowéj ciszy, aby ją ubrać i uczesać. Potém Kasi przyszło na myśl zapytać, co się stało z gospodynią domu, która je tak uprzejmie zaprosiła do siebie, a teraz wcale się nie troszczyła o swoich gości.

— Ta pani powróciła do ogrodu, bo zostawiła tam swoję siostrzenicę — odpowiedziała lady Power — zapewne jeszcze się z nią spotkamy, bo musimy także poszukać naszego towarzystwa.

— Ciekawa jestem, czy ta siostrzenica jest młodą dziewczynką—rzekła Kasia.

— Nie sądzę, bo ciotka byłaby o tém wspomniała, zapraszając ciebie, albo dała ci do przebrania którą z jéj sukienek. Musi to być osoba dorosła.

— A no, to mniejsza już o to.

— O czémże to myślałaś, moje dziecko.

— Widzi pani—rzekła Kasia—przyszło mi do głowy, że my obie z Sylwią, dawniéj kiedyś, marzyłyśmy o tém nieraz, jak o największém szczęściu, ażeby zobaczyć zblizka prawdziwą księżniczkę. Gdyby tu była jaka mała dziew-

czynka, toby jéj to może zrobiło przyjemność... ale nie, lepiéj już, żeby nikt o tém nie wiedział, bo taka obmokła księżniczka wydałaby się ludziom bardzo śmieszna.

— Lady Power nie mogła się od śmiechu powstrzymać, słuchając tych niedorzeczności, a Kasia znowu spiekła raka i schyliła się udając, że buciki poprawia na nogach.

— Brakuje jeszcze, żebyśmy ciebie pokazywali na wystawie w kryształowym pałacu, wraz z innemi ciekawemi przedmiotami—rzekła lady Power—Przypomniałaś mi anegdotę, którą czytałam kiedyś o pani Campan. Była ona nauczycielką sióstr Napoleona I, a gdy późniéj odwiedzała uczennice swoje w czasach ich wielkości, jedna z nich zapytała, czy widok tylu koronowanych głów jéj nie przestraszył. „Takie królowe, którym kiedyś dawałam klapsy, nie mogą mi bardzo zaimponować“ odpowiedziała pani Campan. Świetne położenie w świecie ma jednę niedogodność, o któréj zawsze pamiętać powinnaś, moje dziecko. Ludzie stojący na widowni narażeni są na to, że wady ich i wszystkie słabe strony więcéj zwracają uwagę powszechną, i więcéj też mogą zaszkodzić im samym i bliźnim. Ale nie traćmy czasu, wkładaj kapelusz bo tam czekają na nas.

Ale z tym kapeluszem właśnie najgorsza była sprawa. Biała muślinowa sukienka dała się odprasować doskonale i prawie nie znać było na niéj smutnego wypadku; lecz wykwintny kapelusik zniszczył się straszliwie, niebieska wstążeczka zbladła i przybrała jakąś nieokreśloną barwę, a ładne piórko wyglądało tak zupełnie, jak gdyby je wyrwano z ogona jakiéjś obmokłéj kury. Kasia przypomniała sobie, jak dawniéj, gdy jeszcze mieszkała na wsi, u ojczulka doktora, widywała w kościołku wiejskim starą pannę Amelią Matyldę, która miała takie obmokłe pióro przy kapeluszu i bardzo śmiesznie wyglądała w tym stroju. Przyszło jéj także na myśl, że nieszczęsny ten kapelusz od pierwszego wejrzenia wyda całą przygodę przed ciotką Barbarą i zadrżała na tę myśl sam.ę

— Ach, mój Boże, co powie ciotka—szepnęła mimowoli z ciężkiém westchnieniem.

— Na to już niéma rady—odrzekła lady Power—cóż robić; nic ci to zresztą nie zaszkodzi, że troszkę odpokutujesz ten nierozsądek.

Idąc obok lady Power, która ją trzymała za rękę Kasia ciągle sobie wyobrażała, że wszyscy na nią patrzą z takiém szyderstwem, jak niegdyś ona sama z innymi pa, trzała na pannę Amelią Matyldę; kapelusz ten popsuł jéj zupełnie humor, nie mogła już dnia tego wesołości odzyskać. Gdy ją lord Power zapytał łagodnie, czy czuje się zupełnie zdrową, czy nic sobie złego nie zrobiła, odpowiedziała półgłosem, tak sucho, jak gdyby się dąsała na wszystkich, chociaż nic podobnego do głowy jéj nawet nie przyszło; przeciwnie radaby była przeprosić każdego z osobna za wszystkie swoje niedorzeczności.

Lord Power wziął małą księżniczkę za rękę i nie puścił jéj ani na chwilkę, widocznie wyrzucał sobie, że jej lepiéj nie dopilnował po tylu uroczystych przyrzeczeniach, które mu pozyskały zaufanie srogiéj ciotki Barbary. Ach ta ciotka! teraz już biedna Kasia o niczém myśleć nie mogła tylko o tém spotkaniu, które ją podobno więcéj trwożyło od błyskawic i piorunów.

Nareszcie wybiła godzina powrotu, nasza księżniczka usiadła cichuteńko w kącie wagonu; darmo dobra Frania usiłowała ją rozruszać, odpowiadała półsłówkami i jedném uchem tylko jéj słuchała, drugiém usiłowała podchwycić wątek rozmowy lorda Powera z żoną, a to co usłyszała nie mogło jéj uspokoić i dodać odwagi.

— A ja żartowałem sobie z téj odpowiedzialności — mówił lord Power—pokazuje się, że nigdy nie trzeba być nadto zarozumiałym, a nadewszystko nie ręczyć za nikogo. Już ja drugi raz pewnie takiego głupstwa nie zrobię. I jak tu teraz pokazać się jéj na oczy.

— Lepiéj mnie to zostaw, ja załatwię tę sprawę—odpowiedziała półgłosem lady Power.

— Ależ nie sądź, żebym już takim był tchórzem—mówił znów lord, śmiejąc się bardzo złośliwie, jak się Kasi zdawało—nie, ja się nie myślę cofać przed nieprzyjacielem w żadnym razie.

— Niezbyt jednak odważnie wyglądasz w téj chwili—rzekła żona, uśmiechając się także, a lord zrobił taką minę, jak mały chłopczyk, zasłaniający się od klapsa—zresztą ręczę cię, że lady Barbara uważa ciebie za wspólnika winy, a na mnie z pewnością będzie łaskawsza.

— Dobrze, dobrze, rób już co chcesz, powiedz jéj, że gotów jestem nawet przyjąć pokutę, jaką mi sama naznaczy za moje niedbalstwo, ale doprawdy wolałbym się z nią nie spotykać dzisiaj.

Biedna Kasia nie dziwiła się temu wcale i z rozpaczą pomyślała, że jéj położenie było odmienne; wylękłym wzrokiem spojrzała na swoich opiekunów, jak gdyby ich błagała o litość.

— Nie bój się, moja panienko—rzekł lord Power, który wyczytał widać te myśli na jéj twarzyczce—moja żona odwiezie cię sama i wszelkich starań dołoży, aby ciocię udobruchać.

— O, dziękuję pani—zawołała dziewczynka, całując rękę lady Power.

— No, no, jakoś to będzie—rzekła dobra pani—spodziewam się, że lady Barbara da się zmiękczyć i nie będzie się bardzo gniewała.

— O, ciocia prawie nigdy się nie gniewa—rzekła Kasia—i taraz się pewnie nie rozgniewa.

— A to czegóż się tak obawiasz, cóż ci zrobić może?

— O, nic, tylko... tylko ona taka straszna!—szepnęła Kasia i wstrzęsła się cała...

Lord Power rozśmiał się na głos.

— A ty znów, moja panno, jesteś za nadto tchórzliwego serca. Gdybyś się tak łatwo nie przestraszała, nie byłabyś tak niespodzianie dała nurka. A możeś ty chciała nastraszyć Franię, udając gąskę, bo właśnie z niéj żartowałaś...

Lady Power nie dała mu dokończyć, bo sądziła, że ta-

ki żart przykrość sprawi Kasi, ale nasza księżniczka wcale się nie obraziła i zwróciła się do Frani, mówiąc:

— To bardzo było nierozsądnie i niegrzecznie z mojéj strony; bardzo cię przepraszam, moja Franiu, nie powinnam była z ciebie żartować. A ty taka dobra i nie gniewałaś się na mnie i tyle miałaś przytomności umysłu, żeś mię za sukienkę przytrzymała. Bez ciebie możebym się była potłukła.

— Widzisz, widzisz, niéma złego, coby na dobre nie wyszło—rzekł lord Power—ta nieprzyjemna przygoda nasunęła ci tyle dobrych myśli. No, no, uspokój się, księżniczko, wszystko będzie dobrze.

W téj chwili pociąg się zatrzymał, nastąpiło serdeczne pożegnanie, uściski, wykrzykniki dziewcząték, potém lord Power ze swoją gromadką udał się wprost do siebie, a mylady wsiadła do powozu z Kasią i odwiozła ją do mieszkania ciotki. Księżniczka milczała przez całą drogę, tuląc się do swojéj opiekunki, a gdy powóz się zatrzymał, w milczeniu wysiadła, nie śpiesząc się wcale i nie podskakiwała, ani na ganku, ani na wschodach. Z niepokojem spojrzała w oczy służącemu, który drzwi otwierał, chcąc odgadnąć, czy spostrzegł, jak wyglądał jéj kapelusz, a wchodząc do przedpokoju, nie mogła się powstrzymać, zdjęła go z głowy i położyła na ławeczce w kąciku. Nie dla tego to jednak uczyniła, aby chciała prawdę ukryć, o nie, nasza Kasia, jak wiemy, była niezmiernie szczerą i brzydziła się wszelkim fałszem; zresztą wejście jéj z głową obnażoną było równie wymowne, jak widok zniszczonego kapelusza.

Lady Power zagaiła tę sprawę z wielką przytomnością umysłu, nie dała lady Barbarze przyjść do słowa, ale zaczęła od tego, że oboje z mężem zawinili niedopilnowaniem Kasi, która się przestraszyła i nieprzewidzianym przypadkiem wpadła do wody, na szczęście jednak uniknęła wszelkiego niebezpieczeństwa. Na to ciotka Barbara odpowiedziała, przepraszając pokorniéj jeszcze, że naraziła ich na tyle przykrości, i narzuciła im takie stworze-

nie szalone i niepohamowane; nie powinna była pozwalać na to, aby osoby, nie mające wyobrażenia o wadach i narowach jéj siostrzenicy, brały ją na swoję odpowiedzialność.

— Ależ, nie, wcale nie—przerwała lady Power—Kasia jest bardzo dobra i miła dziewczynka, wszyscyśmy ją niezmiernie polubili; to był przypadek, nastraszyła się biedaczka piorunów.

— I nic dziwnego—odezwała się lady Joanna, która także była w téj chwili w salonie — bo też to doprawdy straszna była burza. Ja sama przelękłam się tak, kiedy pioruny bić zaczęły, że o mało nie dostałam nerwowego ataku. Moja Barbaro, a toż chyba i o mnie powiesz, że jestem szalona i niepohamowana. Proszę cię, kochana siostrzyczko, przebacz biednemu dziecku dla mojéj miłości. Prawdziwa to łaska Boga, że się niebożątko nie utopiło. Czy to nie bywało takich wypadków.

I dobra ciotka Joanna objęła czule ramieniem siostrzenicę, może przypomniała sobie w téj chwili, jak płacząca dziewczynka rzuciła się jéj na szyję owego pamiętnego wieczora i postanowiła sobie bronić jéj w każdéj przygodzie. Ale prawdomowna Kasia nie mogła na to pozwolić, aby się nad nią rozżalano, gdyż czuła, że na to wcale nie zasługuje.

— Nie, ciociu, nie—zawołała z żywością—ja się nie mogłam utopić, bo sadzawka jest bardzo płytka, a potém Frania zatrzymała mnie za sukienkę i lord Power wyciągnął mię w jednéj chwili. Wszyscy tak troskliwie czuwali nademną.

— Pięknieś się im wywdzięczyła za to, niéma co mówić—rzekła surowo lady Barbara.—Inna na twojém miejscu spaliłaby się ze wstydu; ale czyżby to inna zrobiła!

Lady Power teraz dopiero zrozumiała to, co Kasia powiedziała o swojéj ciotce: „Ona taka straszna!“ Szczerze jéj żal było biednéj dziewczynki i starała się znowu łagodnemi słowami ją tłómaczyć.

— Nic to dziwnego—że panią takie rzeczy drażnią;

my matki nawykłyśmy już do różnych podobnych przygód; czy to nasze dziewczątka mało nam czasem przyczyniają kłopotu.

— O, wiem ja dobrze, że dzieci pani zupełnie inaczéj są wychowane—odrzekła lady Barbara z goryczą—i wyznaję, łudziłam się nadzieją, że Katarzyna przykład z nich brać będzie.

— O, gdybyś je pani lepiéj znała—mówiła lady Power z uśmiechem—nie trzeba nigdy sądzić z pozoru. Ale w każdym razie, chciéj pani przebaczyć Kasi, przez wzgląd na nas; mój mąż jest w rozpaczy prawdziwéj, że tak zawiódł zaufanie pani, nie śmiał się tu pokazać.

— Ależ ja się nie gniewam, wcale się nie gniewam—mówiła lady Barbara tym samym surowym tonem—zresztą gdybyż mój gniew mógł się na co przydać—i wzruszyła ramionami.

— Najlepiéj zrobisz, moje dziecko, idąc spać jaknajwcześniéj—rzekła dobra ciotka Joanna—każę ci dać zaraz filiżankę ciepłéj herbaty, ogrzéj się i odpocznij, bo musiałaś się przeziębić. Chodź, chodź, ja cię sama odprowadzę.

Lady Power uściskała czule Kasię, rada, że się już ta niemiła scena skończyła, pozostała jednak na chwil kilka po jéj odejściu i starała się trafić do przekonania surowéj ciotki. Zwracała jèj uwagę na przymioty Kasi, na szczerość jéj, prawdomowność, roztropność, upewniała, że z takich dzieci żywych wyrastają zawsze najrozumniejsze i najlepsze kobiety; ale ciotka Barbara, wysłuchawszy wszystkiego cierpliwie i grzecznie, zaczęła ze swojéj strony wyliczać wady siostrzenicy, krnąbrność, nieposłuszeństwo, upór, roztrzepanie, a nadewszystko ubolewała nad strasznem zaniedbaniem, w jakiém dziewczyna spędziła dzieciństwo pośród ludzi nizkiego stanu i źle wychowanych... Obie panie rozstały się bardzo grzecznie, ale każda zachowała własne przekonanie.

Kasia tymczasem usłuchała rady ciotki Joanny i położyła się do łóżka, rozmyślając nad tém, czy też naprawdę

nie była w niebezpieczeństwie? Probowała nawet zakaszlać parę razy i wyobrażała sobie z pewnym rodzajem zadowolenia, coby było, gdyby dostała rzeczywiście zapalenia płuc, albo zapalenia mózgu. Ciotka Barbara musiałaby się przecież nad nią rozczulić. Co chwila chwytała się za głowę, czy nie gorąca, ale żadne nadzwyczajne symptomata się nie objawiły, natomiast sen ją zmorzył i wkrótce skleił jéj powieki.

IX.

Smutne skutki nierozwagi.

Ciotka Barbara nie łajała już więcéj Kasi, nie wspominała nawet nigdy owéj nieszczęsnéj przygody, niemniéj jednak biedna księżniczka ciężko odpokutowała swoję nierozwagę. Ile razy dobra lady Power zapraszała ją do siebie, ciotka stanowczo się temu sprzeciwiała, bez gniewu, bez uniesień, ale z taką miną, że nawet lord Power odstąpić musiał ze wstydem, jak sam się wyrażał, od niezdobytéj twierdzy. Zaczęły się znowu dla naszéj dziewczynki straszliwe nudy; przechadzała się wprawdzie mierzonym krokiem ze smutną swoją nauczycielką po ogrodzie i skwerze, ale umyślnie wybierano do tego godziny, w których nie mogły się spotkać z rodziną Powerów. Samotność zaciążyła więc na niéj w całéj swéj grozie.

Nastały tymczasem upały, wszyscy wyjeżdżali z miasta na świeże powietrze; darmo jednak lady Power błagała i zaklinała srogą ciotkę, aby jéj pozwoliła zabrać Kasię do pięknéj rezydencyi wiejskiéj, gdzie cała rodzina wyjeżdżała na lato, darmo ciocia Joanna wstawiała się za siostrzenicą, którą coraz więcéj kochała, lady Barbara pozostała jak głaz niewzruszona.

— Wszak pani to doskonale rozumie mówiła—że nie dla siebie to czynię. Byłoby mi zapewne daleko dogodniéj

pozbyć się takiego kłopotu na całe lato. Byłybyśmy tu obie spokojne i szczęśliwe z siostrą Joanną, o ile takie biedne opuszczone kobiety szczęśliwe być mogą; ale ja to czynię dla dobra tego dziecka, za które przecież odpowiadać muszę przed Bogiem i ludźmi. Dziwię się bardzo, że doświadczenie, jakieście państwo raz przebyli, nie przekonało was jeszcze, jak trudną jest do prowadzenia ta niesforna dziewczyna. Tymczasem położenie społeczne wkłada na ludzi pewne obowiązki; to, coby uszło od biedy ubogiéj wiejskiéj dziewczynie, nie może być stosowne dla przedstawicielki książęcego rodu. Muszę więc rada nie rada stać na straży honoru domu naszego i wszelkich starań dołożyć, aby Katarzyna z wiekiem mogła zająć stanowisko, które jéj przypadło w udziale.

Obie ciotki postanowiły zrazu całe lato spędzić w Londynie. Dawniéj co rok wyjeżdżały na parę miesięcy do pięknego zamku Kerwent, leżącego w malowniczéj górskiéj okolicy, który obecnie spadł prawem dziedzictwa na młodą księżniczkę Katarzynę, ale tam dawniéj podejmował je gościnnie brat ukochany wraz z rodziną swoją, teraz zaś tyle smutnych wspomnień wiązało się z tym domem, że za nic w świecie nie chciały jechać do téj pustki.

Nawet i mistress Lassy wyprosiła się na wakacye do krewnych, mieszkających na wsi, Kasia więc została sama z ciotkami, pozbawiona była nawet owych nudnych przechadzek w ogrodzie publicznym, lub na skwerze. Lady Barbara nie lubiła chodzić piechoto, codziennie jednak przejeżdżała się z Kasią karetą po ulicach i po parku, zawsze też kazała jéj bardzo starannie odbywać w pokoju ćwiczenia gimnastyczne; nie zapominała i o nauce, pilnowała aby Kasia egzercytowała się na fortepianie, musiała dziewczynka w godzinach oznaczonych czytywać głośno przy niéj po angielsku i po francuzku, jednem słowem ciotka bardzo sumiennie spełniała swoje obowiązki opiekunki.

Czemuż jednak biedna mała księżniczka tak źle na téj opiece wychodziła? Twarzyczka jéj mizerniała i bladła,

schudła tak, że sukienki wisiały na niéj, mniéj teraz co prawda dokuczała ciotkom, bo nie miała już ochoty do hałaśliwéj zabawy i po całych dniach siedziała nad czytaniem różnych podróży i powieści.

Lady Barbara i teraz spełniła swój obowiązek, wezwała lekarza w przekonaniu, że jakaś recepta odrazu na to poradzi, nie zmieniając tak pożądanego trybu życia. Ale znowu usłyszała zdanie, które jéj lekarz powtarzał zawsze, ile razy żądała jego rady dla siostrzenicy: że dziecko potrzebowało ruchu i rozrywki, a tą razą dodał jeszcze do tego i potrzebę wiejskiego powietrza, zalecił koniecznie wyjazd z Londynu.

Przepisy lekarza nie bywały nigdy lekceważone, stanęło więc na tém, że obie ciotki wyjadą na kilka tygodni do morskich kąpieli z dziewczynką. Możecie sobie wyobrazić uszczęśliwienie Kasi. Już same przygotowania do podróży powróciły jéj dawny dobry humor i ożywiły niezmiernie; zaczęła zaraz swoim zwyczajem rysować różne historye, opowiadając sobie półgłosem najdziwniejsze przygody na lądzie i morzu, które ją spotkać mogły w czasie pobytu w miejscu kąpielowém.

Cóż dopiéro, gdy tam przybyła, gdy ciotka pozwoliła jéj pójść w towarzystwie Małgorzaty na wybrzeże morskie, gdzie sobie nazbierała różnych ładnych kamyczków i muszelek. Po téj przechadzce wróciła do domu taka zarumieniona, tak wyborny miała apetyt, że ciotka Joanna zwróciła na to uwagę z wielką radością, a lady Barbara rzekła półgłosem:

— Lekarz miał słuszność.

Wiele jednak jeszcze brakowało do zupełnego szczęścia księżniczki. Ciotka Barbara zapowiedziała zawczasu, że dla uniknienia najpierw złego towarzystwa, a potém różnych nieprzyjemności, których wyraźniéj nie określała, nie życzyła sobie, ażeby Kasia wchodziła w jakiekolwiek stosunki z gośćmi kąpielowymi. Musiała więc dziewczynka dać jéj słowo, że będzie unikała starannie wszelkiéj rozmowy z pa-

nienkami, które spotka w czasie przechadzki, nigdy nie da się wciągnąć do żadnéj wspólnéj zabawy i zachowa się zawsze stosownie do swojego wysokiego stanowiska; co nasza Kasia tłómaczyła sobie w myśli po swojemu; że będzie wyglądała obok wesołych dzieci, jak mazgaj najnieznośniejszy.

Nie było jednak rady na to, a biedna księżniczka raz związana słowem, nigdy nawet nie pomyślała o tém, aby go mogła niedotrzymać. Przechadzała się krokiem powolnym, wyprzedzając trochę Małgorzatę; sznurowała usta, ile razy która dziewczynka na nią spojrzała, a jeśli kto nieświadomy jéj wielkości, odważył się do niéj przemówić, odpowiadała sucho *tak*, lub *nie*.

Nieraz jednak często przy tém wzdychała; ach, cóżby dała była za to, gdyby jéj wolno było zbliżyć się do tych szczęśliwych dzieci, na których nie ciężyły brzemiona żadnych tytułów, gdyby mogła choć raz nagadać się i naśmiać z niemi do woli; czuła, że z prawdziwą przyjemnością byłaby się nawet tarzała w piasku z młodszą dziatwą. Raz zobaczyła, jak kilku chłopczyków i parę małych dziewczynek zdjęło buciki i pończoszki, i śmiało weszło w mokry piasek nadbrzeżny, szukając muszelek; serce jéj uderzyło na ten widok; o, czemuż godność książęca nie pozwalała jéj użyć podobnéj rozkoszy!

Ubolewała nad tém niezmiernie, że nie mogła raz tylko, raz tylko jeden przemówić do tych dzieci; czasem nawet układała w myśli mówkę, którąby w takim razie wypowiedziała. Były to mniéj więcéj następujące słowa:

— Nie pożądajcie nigdy bogactw i tytułów. Nie domyślacie się nawet, jakie gorycze przywiązane są do dóbr ziemskich, nie umiecie dziś ocenić waszego szczęścia, ale wierzajcie memu doświadczeniu, dziękujcie Bogu, że nie spadło na was jakie księztwo lub hrabstwo w dziedzictwie.

Dnia pewnego nasza Kasia odebrała list od Sylwii, list, który w pierwszéj chwili wzbudził w niéj uczucie najwyższéj radości, a późniéj wprawił ją w stan niepokoju i trwogi. Sylwia donosiła jéj, że mistress Wardor, bratowa do-

ktora, a jéj stryjenka, wyjeżdżała za dni kilka do tego samego miejsca kąpielowego, gdzie obecnie Kasia przebywała. Pani ta mało była znana naszéj księżniczce, a wiadomość o jéj przybyciu byłaby na niéj pewnie nie wywarła wielkiego wrażenia, gdyby nie ten dodatek niespodziewany w liście Sylwii: „Stryjenka zabiera z sobą siostrzenicę swoję, Joasię, panienkę naszego wieku, któréj nie widziałaś nigdy. Ja się z nią teraz poznałam, pokochałyśmy się odrazu i pewna jestem, że i Tobie Joasia się podoba. Ona bardzo się tém cieszy, że się zaprzyjaźni z księżniczką. Mówiłam jéj dużo o Tobie, śmiałam się bardzo, gdy wyraziła powątpiewanie, czy ta księżniczka nie jest czasem dumna i czy zechcie się bawić z tak skromnie ubraną dziewczynką.“

Biedna Kasia zamyśliła się nad tym listem; Sylwia miała słuszność, ona wcale dumną nie była i bawiłaby się chętnie, nietylko z tą Joasią, ale i z temi wszystkiemi dziewczątkami, które spotykała na wybrzeżu morskiém, byle tylko ciotka Barbara pozwoliła. Ale czy pozwoli? ta niepewność była okropna i Kasia postanowiła bądź co bądź przemówić niezwłocznie do ciotki i dowiedzieć się, co ją czeka. A w tym razie nie szło jéj o to jedynie, aby pozyskać towarzyszkę swojego wieku, inne jeszcze względy boleśnie ją wzruszały na myśl, że ciotka może jéj zabronić zbliżenia się z Joasią. Biorąc więc odrazu na odwagę, Kasia pobiegła do pokoju ciotki Barbary, chociaż nigdy tam nie wchodziła bez wyraźnego rozkazu.

— Ciociu—rzekła, pokazując jéj list przed chwilą odebrany—Sylwia pisze do mnie, że jéj stryjenka przyjedzie tu za dni kilka i przywiezie z sobą swoję siostrzenicę, przyjaciółkę i krewną Sylwii. Ach, ciociu, gdybym ja nie mogła się zbliżyć do téj dziewczynki, to byłoby okropne. Mistress Wardor i ta Joasia gotowe pomyśleć, że ja jestem dumna i pogardzam niémi. Sylwia zapewne temu nie uwierzy, ale gdyby uwierzyła... mój Boże!...—Kasia nie mogła wymówić nic więcéj, nie mogła się powstrzymać i wybuchła gwałtownym płaczem. Głośne jéj szlochanie doszło aż do trzecie-

go pokoju, gdzie siedziała lady Joanna; po chwili drzwi się otworzyły i biedna dziewczynka uczuła obejmujące ją czule ramiona i usłyszała ładgodny głos téj dobréj cioci:

— Moja droga Barbaro, jak możesz, jak możesz...

— O nie, nie—zawołała Kasia z żywością—ja nie dla tego płaczę, żeby mnie ciocia Barbara połajała; ale mam do niéj taką wielką prośbę i boję się, bardzo się boję...

— To dziecko jest zupełnie takie nerwowe, jak ja — mówiła lady Joanna—tuląc do łona płaczącą Kasię—przypomnij sobie, Barbaro, jak zawsze doktór zalecał, ażeby mi się nie sprzeciwiać i nie drażnić mnie bez potrzeby.

— I ja tak sądzę—odrzekła lady Barbara—dziewczyna nie jest zła z natury, tylko źle prowadzona, i nie ma już dziś siły panować nad sobą...

— Ale ja przecież nie byłam źle prowadzona, siostrzyczko—zauważyła lady Joanna.

— Ty, siostrzyczko, nie mogłaś panować nad sobą z powodu słabości zdrowia; tu jednak musi być inna przyczyna.

Obie panie mówiły do siebie półgłosem, ale tuż przy uchu Kasi, nie mogły więc sobie wyobrażać, że ich dziewczynka nie słyszy; może sądziły, że nie zrozumie o co idzie, a najprędzéj zapomniały zupełnie o jéj obecności. W każdym razie Kasia zdumiona tém była i troszkę zgorszona, a pierwszą jéj myślą było pokazać ciotkom, iż potrafi nad sobą panować. Uspokoiła się, otarła łzy i zaczęła mówić zupełnie odmiennym tonem:

— Moja ciociu, rodzina Wardorów była dla mnie tak dobra, byłaby to wielka niewdzięczność z mojéj strony, gdybym uchybiła bratowéj ojczul... wujaszka doktora, albo jéj siostrzenicy. Jestem pewna, że ciocia nie będzie tego wymagała odemnie i pozwoli mi zapoznać się bliżéj z tą dziewczynką, a ja przyrzekam we wszystkiém do woli cioci się zastosować... byle... byle...

— Byle ta wola była zgodna z twoją, nieprawdaż? — rzekła lady Barbara z lekką ironią—ale nie obawiaj się, ja

wcale nie myślę wymagać od ciebie niewdzięczności, nie mam też nic przeciwko temu, abyś się zobaczyła i zapoznała z temi paniami, tylko zastrzegam sobie, że nim zezwolę na bliższe i częstsze stosunki, muszę je wprzód obaczyć i przekonać się, jakiego to rodzaju są osoby. W każdym razie za nic się na to nie zgodzę, aby ta dziewczyna nazywała cię po imieniu. Ty będziesz mówiła do niéj, moja panienko, a ona do ciebie, księżniczko. Większa poufałość byłaby tu zupełnie nie na miejscu.

Kasia miała wielką ochotę znowu wybuchnąć płaczem; toż piękna będzie zabawa; panienko, księżniczko! Ale w samę porę przypomniała sobie, co ciotki przed chwilą mówiły o panowaniu nad sobą, przezwyciężyła się więc i teraz, nie odpowiedziała już ani słowa, bo wiedziała, że toby się na nic nie przydało, i odeszła do swego pokoju. Tu zaczęła rozmyślać nad wypadkami dnia dzisiejszego i doszła do przekonania, że ciotka Barbara obchodziła się z nią zupełnie inaczéj, jak pan Wardor i Marynia.

Tam, *w domu*, jak dotąd w myśli nazywała mieszkanie wuja, gdyby była się czegóś domagała w taki gwałtowny sposób, z płaczem i lamentem, z pewnościąby się taka prośba na nic nie przydała, odpowiedzianoby jéj, że tylko małe dzieci mogą się tak nierozsądnie czegoś napierać. Tymczasem ciotka Barbara niezawodnie dla tego jedynie zgodziła sie na jéj żądanie, a przynajmniéj nie odmówiła stanowczo, że się musiała nastraszyć rozpaczliwego szlochania, które obie z ciotką Joanną nazywały nerwowém rozdraźnieniem. Przyszło nawet na myśl naszéj księżniczce, że inna dziewczynka na jéj miejscu potrafiłaby może z tego skorzystać i nieraz coś wymódz na srogiéj ciotce udawaniem spazmów i nerwowych ataków. Ani na chwilę jednak nie chciała przypuścić, że ona sama mogłaby to uczynić. Kasia miała charakter zanadto prawy i szlachetny, aby się miała uciekać do fałszu i wybiegu.

Minęło dni kilka, dziewczynka ze zwykłém swojém roztargnieniem zapomniała o liście Sylwii, gdy pewnego rana,

zaraz po drugiem śniadaniu, wszedł służący i oznajmił: mistress Wardor. Weszła osoba średnich lat, skromnéj i miłéj powierzchowności, a z nią młoda panienka wieku Kasi, ubrana bardzo starannie, a nawet strojnie. Widać, że chciała się przedstawić księżniczce w największéj paradzie. Lady Barbara przyjęła je dość uprzejmie, a Kasia z jakimś mimowolnym przestrachem odskoczyła w najdalszy kąt pokoju i stała tam nieruchoma z bijącém sercem.

— Przedstawiam pani moję synowicę, księżniczkę Kerwent — odezwała się ceremonialnie lady Barbara — Katarzyno, pójdź bliżéj i przywitaj bratową swojego wuja i tę panienkę.

Kasia zbliżyła się, ale tak sztywnie ukłoniła się gościom, z taką zakłopotaną minką podała rękę Joasi, że możnaby ją było posądzić rzeczywiście o jakąś nierozsądną dumę, chociaż wiemy, jak daleką była od uczuć podobnych. Był to skutek nadzwyczajnego wzruszenia.

— Przyrzekłam mojemu szwagrowi, że się obaczę z księżniczką i doniosę mu, jak się miewa — rzekła mistress Wardor — Joasia ma znów od Sylwii różne zlecenia do księżniczki Katarzyny.

— Zajmijże się tą panienką, Katarzyno — rzekła ciotka Barbara łaskawie — możecie sobie usiąść na tamtéj kanapce.

Kasia wzięła za rękę dziewczynkę, która nieśmiało na nią spoglądała i zaprowadziła ją na drugi koniec pokoju do małéj kanapki, usiadły obie przy sobie, ale rzecz dziwna, gadatliwa księżniczka naraz oniemiała; czy odwykła od towarzystwa dzieci swojego wieku, czy mimowolna jakaś bojaźń, ażeby Joasia nie wydała się ciotce źle wychowaną, odjęła jéj wszelką fantazyą, dość, że zupełnie, jak to mówią, języka w gębie zapomniała. Siedziała wyprostowana na kanapce, zabawne jakieś minki stroiła i półsłówkami odzywała się do Joasi.

Ale ta wcale jéj tego za złe nie wzięła, sama także czuła się troszkę zażenowaną w obec młodéj księżniczki,

przypatrywała jéj się z uwielbieniem i z uszanowaniem odpowiadała na krótkie pytania: Co porabia Sylwia? Czy poznała Karolka? Czy długo tu zabawi itd. Starsze panie prowadziły tymczasem mało co więcéj ożywioną rozmowę o pogodzie i innych obojętnych przedmiotach.

W pół godziny mistress Wardor powstała, tłómacząc się, że nie chce zabierać czasu paniom, pożegnanie odbyło się równie ceremonialnie, jak przywitanie i drzwi zamknęły się za gośćmi.

— Ta dziewczynka wydała mi się spokojną i dosyć przyzwoitą — rzekła lady Barbara do Kasi — sądzę, że mogę pozwolić na to, abyś się z nią spotykała na przechadzce kiedyniekiedy, a czasem ją zaprosiła do siebie... Stosunek ten zresztą nie potrwa długo...

— O, ciociu, dziękuję, dziękuję! — wołała Kasia w uniesieniu radości, całując ręce sędziwéj pani.

— Co za szczególna z ciebie dziewczyna — odrzekła lady Barbara wzruszając ramionami — Póki tu była ta mała, spoglądałaś na nią tak obojętdie, jak gdybyś jéj niezbyt była rada, a teraz wpadasz w taki zapał. Pamiętaj jednak Katarzyno, że nie ma żadnego pokrewieństwa pomiędzy tobą i tą dziewczyną, a jak już przedtém zastrzegłam, nie powinnaś się z nią spoufalać.

Kasia westchnęła na te słowa: jak tu bawić się wesoło bez spoufalenia? Postanowiła jednak otwarcie powiedzieć Joasi, że ciotka wymagała, aby pozostały na stopie ceremonialnéj. Wszak nie potrzebowała ukrywać prawdy, a za nic w świecie nie chciała uchodzić za dziewczynę dumną ze swojego książęcego tytułu, w obec przyjaciółki Sylwii.

Tegoż samego dnia, przed wieczorem, Kasia spotkała się na przechadzce z Joasią i pierwsza się do niéj zbliżyła. Rozmowa tą razą poszła daleko raźniéj, a ponieważ dziewczynka zarówno jak i jéj ciotka najmniejszéj nie okazywały chęci do spoufalenia się, więc i Kasia nie widziała potrzeby objawiać rozkazu ciotki Barbary; nawet zupełnie jéj się to naturalném zdawało, że ją tytułowano księżniczką,

czasem też oglądała się dokoła, czy słyszą to inne, obce dzieci, którym nie wolno było zadawać się z taką wielką damą. Słyszały nieraz i oglądały się z wielkiém uszanowaniem, jak sobie Kasia wyobrażała.

Po bliższém poznaniu z Joasią, nasza księżniczka doznała jednak pewnego rozczarowania; towarzystwo to nie sprawiło jéj tyle przyjemności, ile sobie obiecywała. Dziewczynka ta była uprzejma, ale nie miała tyle roztropności i nauki, co Sylwia, lub córki lorda Powera. Nieraz gdy Kasia chciała z nią przedstawiać obrazy z osób historycznych lub mitologicznych, ona nie mogła zrozumieć, o co idzie, bo nie znała dobrze ani historyi, ani mitologii. Trudno z nią było także mówić o podróżach, o dalekich krajach, o różnych zwierzętach i roślinach osobliwych, bo mało bardzo czytała i najczęściéj nie miała wyobrażenia o tém, co Kasię najwięcéj zajmowało. Joasia była ubogą sierotą, niedawno ją ciotka wzięła do siebie, nie otrzymała więc tak starannego wychowania, jak inne, szczęśliwsze panienki jéj wieku.

Spostrzeżenie to nie wbijało w dumę Kasi, nie zniechęcało jéj nawet do towarzyszki, ale czasem w duszy mówiła sobie, że w rzeczy samej przyjemniéj jest daleko przestawać z osobami dobrze wychowanemi. Przyznawała nawet, iż ciotka mogła mieć w gruncie słuszność, obawiając się niestosownego dla niéj towarzystwa, chociaż tę ostrożność troszkę za daleko posuwała.

X.

Powrót do Londynu.

Zbliżał się czas powrotu do miasta, goście kąpielowi, jedni po drugich, rozjeżdżali się do domów, ale mistress Wardor z porady lekarzy miała się udać jeszcze na parę

miesięcy do Londynu i zabierała z sobą Joasię. Wielka to była radość dla Kasi, która sobie obiecywała, że będzie mogła ją oprowadzać po mieście i pokazywać wszelkie osobliwości stolicy. Ale niespodziewana okoliczność wszystkie jéj plany pomieszała.

Mistress Lassy, która miała się zjechać z niemi w Londynie, napisała do lady Barbary, że zdrowie jéj znacznie się pogorszyło, nie może więc nadal zajmować się wychowaniem księżniczki.

— Przeczuwałam to — rzekła niechętnie lady Barbara, czytając list głośno siostrze, w obecności Kasi — biedna kobieta potrzebowała spokojnego zajęcia, a ta dziewczyna nie dawała jéj chwili odpoczynku. Pojmuję bardzo, że na to żelaznego zdrowia potrzeba, aby sobie dać rady z taką uczennicą.

Kasia poczerwieniała ze wstydu, a w części i z oburzenia, bo te słowa ciotki wydały jéj się straszną niesprawiedliwością, nie śmiała jednak się odezwać. Ale po chwili lekkomyślna dziewczynka, zamiast ubolewać nad chorobą mistress Lassy, uczuła się wielce zadowoloną z takiego obrotu rzeczy, bo przyszło jéj na myśl, że teraz może i ona dostanie na miejsce smutnéj i płaczącéj nauczycielki taką miłą i wesołą towarzyszkę, jak miss Oswald.

W téj nadziei jechała do Londynu w dobrym bardzo humorze, układając różne projekta na zimę. Za kilka tygodni miały być urodziny Joasi i dziewczynki umówiły się, że dnia tego pojadą razem do zoologicznego ogrodu, a może nawet do kryształowego pałacu. Lady Barbara, za wstawieniem się cioci Joanny, zawczasu się na to zgodziła.

Kasia długo przemyśliwała nad tém, jakiby podarunek ofiarować Joasi na wiązanie. Zrazu chciała kupić jakie cacko, miała na to dość pieniędzy, które jéj ciotka dawała na drobne wydatki, ale potém przyszło jéj na myśl, że lepiéj w takim razie dać jakąś własną robotę. Joasia zachwycała się jéj rysunkami, więc postanowiła wymalować różne piękne kwiaty w albumie, oprawnym w safian karmazyno-

wy, a na pierwszéj kartce umieścić cyfrę Joasi i swoję w wieńcu z niezapominajek.

Zaraz po przybyciu do Londynu zabrała się gorliwie do téj roboty. Lady Barbara rozpoczęła tymczasem poszukiwanie nauczycielki, co jednak okazało się dość trudną sprawa. Żadna z pań, które się zgłaszały na to miejsce, nie zdołała zadowolnić wszystkich wymagań; jedna była za młoda, druga niedość dobrze ułożona, trzecia miała minę zbyt potulną i według zdania lady Barbary, nie mogła mieć energii potrzebnéj do prowadzenia samowolnéj młodéj księżniczki; jednem słowem, w braku doskonałości, lady Barbara wolała się obejść bez nauczycielki i sama zaczęła się zajmować synowicą.

Biedna Kasia ani się spodziewała, że tak gorzko żałować jéj przyjdzie mistress Lassy. Ciotka umówiła kilku nauczycieli, którzy wykładali dziewczynce różne nauki na godziny, przy sobie zaś kazała jéj przygotowywać się do lekcyj. Te przygotowania, jak sobie łatwo wyobrazić możecie, daleko były uciążliwsze od lekcyj, bo ciotce nietyle może szło o naukę, co o przyzwoite zachowanie się młodéj księżniczki. Trzeba było przez cały czas siedzieć prosto, jak struna, nie marszczyć broń Boże brwi i ust nie wykrzywiać, ręce trzymać spokojniuteńko pod stołem, czuwać nad każdém poruszeniem, jak przystoi panience wysokiego rodu.

Gorzéj jeszcze było z godzinami rekracyi. Przechadzki w towarzystwie milczącéj i smętnéj nauczycielki nie wielką przyjemność sprawiały Kasi, ale teraz, gdy lady Barbara na krok prawie nie pozwalała jéj odchodzić od siebie, żałowała niezmiernie dawnéj swobody. Zwykle ciotka zabierała ją z sobą do karety wraz z Małgorzatą, zatrzymywała się na skwerze, kazała im obu wysiąść i przechadzać się po środkowéj uliczce, zalecając surowo Małgorzacie, aby się nie zatrzymywały ani na chwilkę, z nikim broń Boże nie rozmawiały i czekały jéj powrotu; sama zaś jechała z wizytami.

Zdarzało się jednak często, że Małgorzeta, spotkawszy się ze znajomymi, zapominała zupełnie o tych przestrogach

i zagadała się z nimi w najlepsze, oglądając się tylkò co chwila, czy kareta nie nadjeżdża. Kasia, która, jak wiemy, brzydziła się wszelkim fałszem, robiła jéj uwagi i przypominała rozkazy ciotki, ale Małgorzata odpowiadała, że w tém przecież nie było nic złego, a księżniczka zanadto jest dobra i szlachetna, aby biedną sługę chciała oskarżać. Kasia myślała nieraz, że nieszlachetnie właśnie było oszukiwać ciotkę i trapiła się tém niezmiernie, nie miała jednak odwagi wydać Małgorzaty.

Raz znowu Małgorzata zaczęła ją prosić, ażeby z nią poszła do sklepów, gdzie potrzebowała coś kupić koniecznie, a ponieważ lady Barbara zapowiedziała, że nie powróci prędzéj, jak za półtory godziny, więc aż nadto miały na to czasu. Kasia zrazu stanowczo odmówiła, ale służąca tak prosiła i nalegała, że w końcu dała się nakłonić. Powróciły na pół godziny przed przybyciem lady Barbary i Małgorzata powtórzyła kilka razy:

— A co, widzi księżniczka, czy nie miałam słusznosci? — co Kasię niezmiernie oburzało, bo według jéj przekonania, Małgorzata nie miała wcale słuszności, a to co uczyniła, było kłamstwem i oszustwem.

Tymczasem Joasia przybyła z ciotką swoją do Londynu, ale w obecnych okolicznościach o wspólnych przechadzkach i wycieczkach mowy być nie mogło. Mistress Wardor była z ceremonialną wizytą u lady Barbary, która jéj równie ceremonialnie tę wizytę oddała i na tém się skończyło.

Zbliżał się jednak dzień urodzin Joasi i naszéj księżniczce na myśl nawet nie przyszło, aby ciotka Barbara mogła cofnąć swoje zezwolenie, oczekiwała więc dnia tego z wielką niecierpliwością. Album było już w połowie wykończone, dziewczynka śpieszyła z robotą jak mogła, gdy zabrakło jéj kilku farb najpotrzebniejszych. Wsiadając z ciotką do karety na zwykłą przejażdżkę, Kasia prosiła jéj, aby z nią wstąpiła do sklepu, lecz lady Barbara odpowiedziała, że dziś nie ma czasu nigdzie wstępować, bo musi kilka pilnych in-

teresów załatwić. Dziewczynka zapytała nieśmiało, czy nie mogłaby pójść z Małgorzatą, ale ciotka ofuknęła z oburzeniem:

— Cóż ci znowu tak śpiesznego; kupisz jutro, pojutrze, jak będę miała czas zawieść cię do sklepu; sama tam iść nie możesz.

— Ależ, ciociu — mówiła Kasia płaczliwie — nie będę miała czasu dokończyć podarunku na urodziny Joasi.

— Wielkie nieszczęście! — odrzekła ciotka wzruszając ramionami i odwróciła się, a Kasia połykała łzy w milczeniu, bo wiedziała, że dalsze nalegania byłyby zupełnie bezużyteczne.

Na skwerze kareta zatrzymała się jak zwykle, Kasia wysiadła z Małgorzatą, a lady Barbara odjechała daléj.

— Niechże się księżniczka tak nie martwi — rzekła wówczas Małgorzata, która wysłuchała rozmowy Kasi z ciotką — mylady dziś pewnie nie prędko wróci, mamy czas pójść do sklepu i kupić farby, nikt wiedzieć nie będzie...

— Ach, Małgorzato! jak możesz mówić coś podobnego — przerwała Kasia, ale postanowienie jéj nie było bardzo silne, ochota kupienia farb i dokończenia pięknego podarunku przemogła, a gdy służąca coraz usilniéj namawiać zaczęła, upewniając, że żywa dusza widzieć tego nie będzie, że lady Barbara ani się domyśli, dziewczynka zgodziła się i nawet podziękowała Małgorzacie za jéj uprzejmość. Nie było zresztą czasu namyślać się długo, należało załatwić sie jak najśpieszniéj, i obie biegły prawie do sklepu, znajdującego się niezbyt daleko. Kasia z gorączkowym prawie pośpiechem i z bijącém sercem kupiła potrzebne farby i schowała je do kieszeni, powróciła w porę, z godzinę jeszcze czekała na skwerze na ciotkę, ale przez cały ten czas ani słowa nie przemówiła do Małgorzaty, tylko ponuro i jakby z żalem ukrytym na nią spoglądała.

Kasia po raz pierwszy w życiu popełniła rzecz nieuczciwą, dopuściła się fałszu, oszukała ciotkę. Sumienie wyrzucało jéj to ciężko i nie mogła czuć wdzięczności dla téj,

która ją do tego namówiła. Nadjechała wreszcie kareta lady Barbary; Kasia usiadła w milczeniu obok ciotki, nie śmiała się odezwać, nie śmiała nawet oczu podnieść, czuła się bardzo nieszczęśliwą. Ale ciotka musiała mieć daleko ważniejsze rzeczy na głowie, bo wcale na to nie zważała.

Po powrocie Kasia skorzystała z pierwszéj swobodnéj chwilki, ażeby zasiąść do malowania; miała już wszystkie upragnione farby, a jednak robota jéj dziś nie szła, nie sprawiała jéj zwykłéj przyjemności. Biedaczka gorzko sobie wyrzucała, że uległa namowom Małgorzaty, dziwiła się nawet teraz niecierpliwości swojéj, wszak mogła się była dziś obejść bez tych farb i poczekać do jutra; nic nie było nagłego.

Lady Barbara weszła w téj chwili, a Kasia, która jéj się nie spodziewała, mimowolnym ruchem usiłowała zasłonić farby, chociaż ciotka ani myślała na nie patrzeć. Tak to pierszy krok na drodze fałszu i udawania prowadzi niepostrzeżenie do dalszych. Ruch ten i wylęknione spojrzenia Kasi zwróciły uwagę lady Barbary, zbliżyła się więc do stolika, rzuciła okiem na rozłożone album i świeże malowidło i rzekła wzruszając ramionami:

— Cóżeś tak gwałtownie chciała farby kupować, kie. dy, jak widzę, masz ich jeszcze dosyć — i byłaby odeszła najobojętniéj, ale to już było zanadto dla biednéj Kasi. Zerwała się od stolika, wybuchła gwałtownym płaczem i przerywanym głosem mówiła:

— Ja nie miałam farb wyjeżdżając, kupiłam je dziś, pomimo zakazu cioci chodziłam do sklepu z Małgorzatą. Ja wiem, że to źle, bardzo źle, pierwszy raz w życiu kłamałam i oszukiwałam, pierwszy i ostatni, bo nigdy tego więcéj nie zrobię. O, ciociu ja teraz mówię całą prawdę, ja tak żałuję tego, co się stało.

— Pięknych rzeczy się dowiaduję — rzekła lady Barbara tym tonem ostrym i suchym, który przerażał zawsze Kasię więcéj daleko od łajania i gniewu. — Dziewczyna takiego rodu, zniżająca się do kłamstwa i oszustwa! Nigdyż

więc nie zapomnisz nieszczęśliwych wpływów pierwszego wychowania?

— Ciociu, ja nigdy nie kłamałam, nigdy nie oszukiwałam w domu wujaszka doktora. To pierwszy raz w życiu... — tu zatrzymała się, bo przypomniała sobie nagle, że już przedtém chodziła raz do sklepów na prośbę Małgorzaty; postanowiła więc odrazu przyznać się do wszystkiego, zrzucić z siebie cały ciężar tej strasznéj winy i zaczęła opowiadać z wielkim pośpiechem, bez tchu prawie, jak przed kilku dniami uczyniła pierwsze ustępstwo dla Małgorzaty, a dziś znów Małgorzata jéj się za to wywdzięczyła, zachęcając do nieposłuszeństwa.

Lady Barbara wysłuchała jej w milczeniu, groźnie tylko zaciskając usta, nie wiele i późniéj mówiła, ale Kasia po tém wyznaniu uczuła tak ogromną ulgę, że nawet przestrach ją opuścił i krótkie wykrzykniki ciotki, pełne oburzenia, żadnego prawie nie wywarły na niéj wrażenia. Przez cały dzień była wesoła i dobréj myśli, powtarzała lekcye przy ciotce z przykładną uwagą i cierpliwością, wieczorem dopiéro, idąc spać, przypomniała sobie przykrą swoją przygodę. Zadzwoniła, jak zwykle, na Małgorzatę, ażeby ją rozebrała, lecz na miejsce garderobiany księżniczki weszła stara służąca lady Joanny.

— Gdzież to Małgorzata? — zapytała Kasia z niezadowoleniem, bo nie lubiła staréj, gderliwéj Janowéj.

— Małgorzata odeszła i nie powróci — odparła tamta — mylady kazała szukać innéj służącéj dla księżniczki, a tymczasem ja jéj usługiwać będę.

Wiadomość ta wielką przykrość sprawiła Kasi, nie dla tego, żeby miała szczególne przywiązanie do Małgorzaty, ale wyrzucała sobie, że biedna kobieta z jéj przyczyny straciła miejsce, bo domyśliła się od razu, za co Małgorzata została oddaloną. To też tego wieczora poduszeczka jéj cała przesiąknięta była łzami.

XI.

Rozpaczliwe przedsięwzięcie.

Kasia dnia następnego była bledsza niż zwykle, oczy miała podkrążone, zwróciło to uwagę dobréj cioci Joanny, która nic nie wiedziała o wczorajszém zajściu.

— Toby ją dobiło — mówiła dnia poprzedniego lady Barbara, wysłuchawszy wyznania Kasi — dość ona i tak cierpi z twojéj przyczyny.

Biedna Kasia nie miała więc nawet téj pociechy, ażeby się wynurzyć i wypłakać na łonie jedynéj swéj przyjaciółki. Lekcye szły swoim porządkiem, potém nastąpiło głośne czytanie przy ciotce Barbarze, w czasie którego wszedł lekarz domowy, miły bardzo staruszek, odwiedzający prawie codziennie cierpiącą lady Joannę.

— Cóż się tam znowu stało naszéj młodéj księżniczce? — zapytał zbliżając się do Kasi — ej, chyba nic strasznego — dodał z uśmiechem — i lady Joanna darmo się niepokoi. Ale kazała mi koniecznie obejrzeć puls téj panienki i zdać sobie sprawę ze stanu jéj zdrowia, które, jak widzę, nic nie pozostawia do życzenia.

— Biedna Joanna zapomina o własném zdrowiu dla téj dziewczyny — mówiła lady Barbara wzruszając ramionami — a ona wcale nie dba o jéj spokój. Ach, doktorze tyle teraz ciężkich trosk i smutków spada na nas raz po raz, trzebaż jeszcze, ażeby i ten kłopot... — tu urwała nagle, spoglądając na Kasię, jakby sobie dopiéro co przypomniała, że ona słyszy i rozumie gorzkie jéj słowa.

— Czy była jaka świeża wiadomość od pułkownika? — zapytał doktór.

— Ach tak, i bardzo smutna — rzekła lady Barbara, — Biedny Robert był już w drodze z żoną i z synem, wyglądałyśmy go w tych dniach, ale musiał się zatrzymać

w Aleksandryi, w Egipcie, bo synowi znacznie się pogorszyło, nie mógł jechać dalej.

Kasia wiedziała o kim mówiono; pułkownik Robert Hardly był jéj wujem, mężem trzeciéj jéj ciotki, rodzonéj siostry lady Barbary i Joanny. Od lat wielu mieszkał on w Indyi z rodziną; dzieci jego nie mogły znosić zabójczego klimatu tego kraju i wymierały jedno po drugiém, został mu teraz syn ostatni także słabowity, którego pułkownik postanowił przywieźć do Anglii, ale widać, że już było zapóźno, gdyż i ten ciężko zachorował w drodze.

Obie ciotki często rozmawiały o tém wszystkiém w obecności Kasi, ale trzeba przyznać, że dość obojętnie tego słuchała, a zapowiedziane przybycie tych nieznanych krewnych do Anglii wcale jéj nie cieszyło. Ciotkę Emilię wystawiała sobie ciągle bolejącą, smutniejszą jeszcze od mistress Lassy, a pułkownika obawiała się, jak ognia. Lady Barbara nieraz jéj mówiła, zapewne chcąc wzbudzić w niéj wielkie uszanowanie dla tego wuja, że to był człowiek niezmiernie surowych zasad, który nie przepuściłby nigdy najlżejszego przekroczenia przeciw etykiecie, lub zwyczajom wielkiego świata, a jako żołnierz uważał subordynacyą i ślepe posłuszeństwo dla starszych za najpierwszy obowiązek młodzieży.

Kasia miała dobre serce, ale trudno wymagać, aby się zbytecznie zasmuciła chorobą młodego kuzyna, którego nigdy w życiu nie widziała, o którym nawet niewiele słyszała. Nic też dziwnego, że wkrótce zapomniała o téj rozmowie ciotki z doktorem, a natomiast myślała wyłącznie o zbliżającym się dniu imienin Joasi Wardor. Album było już wreszcie zupełnie ukończone, oczekiwana uroczystość miała nastąpić za dwa dni i nasza księżniczka wyobrażała sobie zawczasu radość Joasi na widok pięknego podarunku, a potém różne przyjemności, jakie sobie dnia tego obiecywała, wycieczkę do zoologicznego ogrodu, wesoły podwieczorek i t. d. Żadna wątpliwosć, żadne złe przeczucie nie zamąciło jéj radosnego oczekiwania, nie była tylko pewna, czy ciotka

Barbara pamiętała dobrze, którego dnia przypadało to święto, więc na wszelki wypadek odezwała się:

— Ja, proszę cioci, uprzedziłam już nauczycielkę francuzkiego języka, że we czwartek po południu nie będzie lekcyi.

— A toż dla czego? — zapytała lady Barbara zdziwiona.

— Bo to dzień urodzin Joasi Wardor, ciocia pewnie zapomniała.

— A cóż znów dzień urodzin Joasi ma wspólnego z twojemi lekcyami? — odparła lady Barbara z większém jeszcze zadziwieniem.

— Przyrzekłam Joasi, że przyjdę do niéj zaraz po obiedzie i zostanę aż do samego wieczora — mówiła Kasia trochę zaniepokojona — ciocia przecież sama pozwoliła i ona będzie mnie wyglądała.

— Mogłam pozwolić nie przewidując, że się zmienią okoliczności — rzekła sucho lady Barbara — gdybyś miała nauczycielkę możebym się na to zgodziła, chociaż, co prawda, bardzo jestem rada, że się te stosunki przerwały. Ale sama przecież nie myślisz się wybierać do obcego domu, a nie wyobrażasz sobie zapewne, żebym ja ci miała towarzyszyć.

— Ależ ciociu — wołała Kasia z rozpaczą — ja przyrzekłam i oni czekać będą na mnie, Mogłabym napisać do Joasi, mistress Wardor pewnie najchętniéj po mnie przyjdzie i odprowadzi mnie wieczorem.

— Napisz lepiéj, że nie możesz przyjść, jeżeli ci tak bardzo o to idzie, aby darmo na ciebie nie czekali.

— Ciociu, cóż ja napiszę? chyba całą prawdę, że ciocia wymaga odemnie, zmusza mnie do zerwania wszelkich stosunków z rodziną Wardorów, która mnie obsypywała dobrodziejstwami, gdym była ubogą i opuszczoną. Ależ to niegodnie, ciocia nie zechce, żebym to napisała.

— Byłoby to rzeczywiście bardzo niedorzecznie — mówiła ciotka z największą obojętnością — pocóż zaraz tak dra-

matyczny obrót nadawać rzeczom. Napiszesz po prostu, że nie przyjdziesz, bo masz tego dnia inną wizytę, od któréj się nie możesz wymówić...

— Ja tego nie napiszę! — przerwała Kasia w uniesieniu najwyższém — bo to nieprawda, to fałsz, ja nie chcę kłamać i oszukiwać.

— Widzieliśmy ten wstręt księżniczki Katarzyny do fałszu — rzekła z wyrazem szyderstwa lady Barbara — bardzo proszę powstrzymać się od wszelkich impertynencyi i napisać tak, jak kazałam.

— A ja powtarzam, że podobnego rozkazu nie spełnię, ale napiszę całą prawdę — krzyczała zrozpaczona księżniczka — nie chcę, aby mnie posądzano o dumę i niewdzięczność i nie chcę kłamać.

— Musisz usłuchać, musisz napisać tak, jak podyktowałam, innego listu nie odeślę, nie waż mi się pokazywać na oczy, póki nie spełnisz mego rozkazu.

I wymówiwszy te słowa głosem podniesionym, ale bez najmniejszéj gwałtowności, lady Barbara wyszła z pokoju i zostawiła Kasię samą z okropnémi myślami. A więc to taka była sumienność ciotki Barbary! Raz wyrzucała jéj fałsz, jako skutki gminnego wychowania, a drugi raz znowu sama ją do kłamstwa zmuszała, aby zadosyć uczynić etykiecie wielkiego świata! Nie, ona nie chciała, nie mogła żyć w tym świecie przewrotnym i niegodziwym, niech sobie pułkownik Hardly dziedziczy jéj dobra i tytuł książęcy, ona się usunie, powróci do ubogiego domku, gdzie tak była szczęśliwą, gdzie nikomu nie zawadzała, bo ją wszyscy kochali, powróci do ojczulka, do Marysi, Sylwii i Karolka, oni jéj nie odepchną, przytulą po raz drugi biedną sierotę i nie pozwolą jéj krzywdzić.

Kasia chodziła po pokoju w jakiémś gorączkowém usposobieniu i wszystko to powtarzała sobie półgłosem, z gwałtownemi gestami, jak aktorka na scenie, wkrótce też tak się przejęła swoją rolą ofiary prześladowanéj, że na dobre postanowiła uciekać. Otworzyła szufladę, policzyła pie-

niądze i przekonała się, że jéj wystarczy aż nadto na drogę, nie tracąc więc czasu zaczęła się ubierać. Wzięła najskromniejszą, ciemną sukienkę, duży kapelusz podróżny, wpakowała wszystkie pieniądze do kieszeni, włożyła rękawiczki i cichuteńko wysunęła sie z pokoju.

Była godzina dziesiąta z rana, pierwszy nauczyciel miał nadejść dnia tego dopiero za godzinę, mogła więc liczyć na to, że nie spostrzegą prędko jéj nieobecności, wymknęła się tylnemi drzwiami, nie napotkawszy nikogo ze służących i po chwili znalazła się na ulicy. Tu odetchnęła swobodniéj, ulica była pusta, tylko listonosz przeszedł obok niéj, ale zwrócił się do wielkich drzwi wchodowych. Wkrótce odezwał się dzwonek, a Kasia pomyślała, że musiały przyjść jakieś listy z poczty do ciotek, więc je będą czytały i żadna o nią nie zapyta, ona zaś tymczasem będzie już daleko.

Na rogu ulicy stała dorożka, dziewczynka wskoczyła do niéj śmiało i wymieniła dworzec kolei. Dorożkarz spojrzał na nią bez najmniejszego podejrzenia, nieraz zapewne widział panienki w jéj wieku podróżujące bez opieki starszych, zaciął konie i doróżka potoczyła się szybko po bruku. Kasia zasunęła się w kącik i spuściła woalkę na twarz, chociaż tak mało osób znała w Londynie, że nie miała potrzeby obawiać się, aby ją kto poznał. Ani się spostzegła, jak doróżka zatrzymała się przed dworcem kolei; serce jéj uderzyło gwałtownie, wyskoczyła, zapłaciła za kurs doróżkarzowi i pobiegła prosto do kasy.

— Czy prędko odejdzie pociąg do Oldburga? — zapytała. Tak się nazywała stacya, leżąca o półtory wiorsty od domu doktora Wardora.

— Za kwandrans — odpowiedziano.

— Proszę o bilet pierwszéj klasy — rzekła Kasia, usiłując ukryć radosne wzruszenie. Opatrzność widocznie jéj sprzyjała, za kwandrans pewnie jéj nie odszukają jeszcze, może nawet nie spostrzegą jéj zniknięcia, tém bardziéj, że listy nadeszły z poczty. Lady Barbara zawsze je głośno

czytała siostrze, potém obie rozmawiały o świeżo otrzymanych wiadomościach.

Obawiała się wprawdzie trochę, aby urzędnik, sprzedający bilety, nie zapytał jéj o powód podróży, a spostrzegłszy pomieszanie, którego pewnie ukryć nie potrafi, nie oddał jéj w ręce policyi, ale nic podobnego nie zaszło. Urzędnik podał jéj bilet, nie patrząc na nią wcale i wymieniając tylko cenę, którą natychmiast odliczyła. Kasia odeszła, zaciskając w ręce swój bilet, stanęła przy drzwiach oszklonych, ale nic nie widziała, cała była drżąca i na wpół nieprzytomna; trudno jéj było ustać na miejscu, a obawiała się odejść, aby pociąg nie odjechał bez niéj; usłyszała nakoniec odgłos dzwonka, drzwi się otworzyły, podróżni wybiegli na platformę, ona szła za innymi, spotkała konduktora i w milczeniu pokazała mu swój bilet.

Niech panienka tu siada, to wagon dla niepalących, niéma jeszcze nikogo.

Kasia wskoczyła szybko do wagonu, a on spytał jeszcze, zamykając drzwiczki:

— Żadnych pakunków?

— Żadnych — odpowiedziała i zasunęła się w kącik, a serduszko biło jéj tak silnie, że musiała je przyciskać drżącą dłonią. Po chwili drzwiczki się otworzyły znowu przestrach ogarnął Kasię, była pewna, że ujrzy twarz staréj garderobiany ciotki Joanny, albo ciotkę Barbarę w własnéj osobie, a może wreszcie policyanta, który ją z wielkim wstydem i upokorzeniem odprowadzi do domu, ale to była jakaś obca pani i dwoje dzieci, a konduktor wskazywał im wagon, mówiąc:

— Tu będzie państwu wygodnie, niéma nikogo, tylko jedna mała panienka.

Wsiadajcie, dzieci, wsiadajcie — mówiła ta pani, popychając dzieci przed sobą, tu nam będzie wygodnie i spokojnie.

— Po chwili wszedł znów do wagonu jakiś staruszek, upewniając konduktora, że on nie pali, potém ozwał się drugi dzwonek i trzeci, przeraźliwy gwizd lokomotywy, prze-

szył powietrze i pociąg ruszył, unosząc naszą księżniczkę, która teraz dopiéro odetchnęła, czując się swobodną, jak ptaszek. Osoby jadące z nią, były zupełnie obce, nie potrzebowała się ich obawiać; pani zapytała jéj grzecznie, czy daleko jedzie, ona odpowiedziała bez zająknienia, że do Oldburga, do krewnych, bo to była przecież czysta prawda. Uśmiechała się sama do siebie, myśląc, jakby się ta pani zadziwiła, gdyby mogła odgadnąć, z jaką znakomitą osobą odbywała podróż. Przychodziło jéj nawet do głowy, żeby rozłożyć na widoku chusteczkę do nosa z książęcą koroną, ale zastanowiła się, że w obecném swém położeniu powinna była unikać rozgłosu, bo nużby znów zapytano, dla czego Jéj Książęca Mość podróżuje sama jedna, bez stosownego orszaku?

Uznała więc za właściwe zachować ściśle *incognito* i niczém na siebie nie zwracać uwagi. Godziny szybko mijały, Kasia się trochę zdrzemnęła, bo ruch wagonu zawsze ją do snu usposabiał, przebudziła się, przetarła oczy i chciała zobaczyć która godzina, czy prędko dojedzie na miejsce, gdy pociąg się zatrzymał i usłyszała głos konduktora;

— Oldburg!

O, co za szczęście! Kasia zapomniała o wszystkiém, o troskach swoich, o nadzwyczajnych przygodach, myślała tylko o tém, że za chwil kilka obaczy ukochanych swoich, ojczulka, Marynię, Sylwią, Karolka... potém znów niepokój ją ogarnął; czy tylko wszyscy byli w domu, czy nikt czasem nie był chory, czy im się jakie nieszczęście nie wydarzyło, czy się dom się nie spalił?

Uprzejma pani zapytała jéj czy niéma pakunków do odebrania, czy nie miała nic przy sobie w wagonie, skinęła na konduktora, aby drzwiczki otworzył, podała jéj rękę na pożegnanie, ale Kasia nie mogła słowa wymówić, wysiadła i obejrzała się dokoła, nie wierząc oczom własnym, że naprawdę powróciła do ukochanego swojego *domu*.

XI.

Nieprzewidziane trudności

Uszedłszy kilka kroków, Kasia uczuła wielkie osłabienie, nogi się pod nią uginały, zaledwie iść mogła, w oczach jéj się zamgliło; przypomniała sobie wówczas, że nie jadła obiadu i wszystkie inne myśli ustąpiły przed gwałtowną potrzebą zaspokojenia głodu. Kasia znała doskonale wszystkie zabudowania wiejskie, zaraz téż spostrzegła na końcu ulicy domek piekarza, gdzie zwykle młodzież, wychodząc ze szkoły, kupowała różne smaczne placuszki i obwarzaneczki, skierowała więc tam swoje kroki. W sklepie siedziała jakaś obca dziewczyna, która jéj nie poznała, Kasia wyjęła kilka groszy, kupiła spory zapas ciasta i zaczęła zajadać ze smakiem. Posiliwszy się nieco, spytała, czy już uczniowie wyszli ze szkoły.

— Nie jeszcze, ale pewnie zaraz będą wychodzili — odpowiedziała dziewczyna.

— A czy Karolek Wardor jest w klasie? — zapytała nasza księżniczka z bijącém sercem.

— Albo ja wiem — odrzekła dziewczyna zdziwiona.

— Czy wszyscy zdrowi w domu doktora? — wyrzekła znów Kasia niespokojnie.

— O, pewnie zdrowi; widziałam dziś rano pana doktora, jak przechodził ulicą, a pannę Maryą widziałam wczoraj wieczorem.

Kasia odetchnęła swobodniéj. W tém wielki hałas powstał przed drzwiami, mnóstwo głosów wesołych ozwało się razem, Kasia wybiegła szybko, ale na progu o mało ją nie wywróciła gromada chłopców zgłodniałych, którzy po ukończeniu lekcyj śpieszyli do sklepu piekarza. Dziewczynka krzyknęła lekko i odskoczyła w bok, wytężyła wzrok na

wszystkie strony i wnet znów krzyknęła radośnie. usłyszawszy głos dobrze znany.

— Czy widziałeś mojego nowego pieska, Wiliamie? Przyjdź do mnie dziś wieczorem, to ci pokażę.

Karolek przeszedł tuż obok niéj, wymawiając te słowa i nawet na nią nie spojrzał, ale ona rzuciła mu się na szyję z szalonym okrzykiem.

— Co to jest? Czego panna chcesz? Cóż to znów za napaść? — wołał chłopak, nie poznając jéj i usiłując się wyrwać z jéj uścisków.

— Nie poznajesz mnie Karolku? To ja, ja Kasia!

— Kasia! prawda! to ona w własnéj osobie. Ale zkądżeś ty się tu wzięła? — mówił Karolek, przypatrując jéj się ze zdumieniem, a odwracając się do towarzyszów, dodał krótko:

— To nasza Kasia, wiecie?

Każdy skinął ręką lub głową, na znak, że wie doskonale, a Karolek mówił daléj!

— Gdzież to Sylwia? Czemu nie przyszła z tobą? Czyś dawno przyjechała? Jakże oni mogli cię samą puścić?

— Oni jeszcze nic nie wiedzą, ja przyjechałam przed chwilą z Londynu, idę prosto ze stacyi; o, Karolku, gdybyś ty wiedział! Ciotki także nie wiedzą nic o moim wyjeździe, ja uciekłam...

— Uciekłaś? — rzekł Karolek, patrząc na nią przerażonym wzrokiem — uciekłaś z domu?

— Uciekłam *do domu* — poprawiła Kasia — przyjechałam do ojczulka po pomoc i radę, bo jestem nieszczęśliwa, prześladowana... ale idźmy prędzéj, ja ci wszystko opowiem po drodze — i dziewczynka się uczepiła jego ramienia, a on prowadził ją nic nie mówiąc i rozmyślając nad tą niespodziewaną wiadomością, która mu się w głowie pomieścić nie mogła. Ale Kasia tak była wzruszona i osłabiona, że ledwo nogami suwała.

— Poczekaj — rzekł krótko Karolek — siadaj sobie na tym kamieniu, ja za chwilkę powrócę.

— O, nie odchodź, nie zostawiaj mnie samej — wołała biedna dziewczynka; ona się czuła bezpieczną pod jego opieką, samotność, choćby chwilowa, przerażała ją mimowoli.

— Ale nie bądźżeż dzieckiem — rzekł chłopak — nie możesz się na nogach utrzymać, musiało ci się coś okropnego przytrafić. Pożyczę kucyka od Janka i odwiozę cię do domu.

Po chwili Karolek wyszedł ze stajenki, prowadząc osiodłanego konika i duży szal, posadził dziewczynkę na siodle, okrył troskliwie jéj nóżki pożyczonym szalem, wziął konika za uzdeczkę i ruszyli daléj. Kasia była uszczęśliwiona.

— Powiedzże mi teraz — rzekł Karolek — co ty tam za straszne koleje przechodziłaś? Ja mówiłem odrazu, że te twoje stare ciotki to muszą być dwie okropne czarownice; teraz widzę, że tak jest w rzeczy saméj.

— O, ciocia Joanna jest bardzo dobra, ona mi nic złego nie robiła, ale ciotka Barbara...

— Cóż, biła cię, katowała, zamykała o chlebie i wodzie?

— Nie, tego nie robiła — odrzekła Kasia, trochę zakłopotana i usiłując sobie przypomnieć wszystkie swoje ciężkie krzywdy — ale czyż nie wiesz, że cierpienia moralne są często stokroć dotkliwsze od fizycznych? Wyobraź sobie naprzykład, że ciotka Barbara kazała mi napisać kłamstwo, fałsz okropny, chciała mnie zmusić do obłudy. Tego już było zanadto, nie mogłam znosić dłużéj podobnego prześladowania i dla tego uciekłam, Czy nie miałam słuszności?

— Miałaś słuszność — rzekł Karolek krótko i stanowczo — nikt nie ma prawa wymagać od mężczyzny... ale prawda, że ty nie jesteś mężczyzną... chociaż, co się tyczy poczucia honoru, sądzę, że i kobiety tych samych zasad trzymać się powinny.

— Niezawodnie — mówiła Kasia.

— Stój! stój, Karolku! Kogo tam wieziesz? Czy się co stało? Stójże, powiadam! — tak wołał głos jakiś donośny z daleka.

— Kto to, kto to! — pytała Kasia strwożona, sama nie wiedząc dla czego.

— Czyż nie poznajesz głosu Ryszarda? — odrzekł Karolek spokojnie — miałem czekać na niego u piekarza i zapomniałem spotkawszy się z tobą. Dziś sobota, Ryszard idzie jak zwykle na noc do domu i spędzi niedzielę z nami.

Ryszard tymczasem zbliżył się i poznał małą amazonkę.

— Kasia! — zawołał zdziwiony — ale zkądżeś się tu wzięła tak nagle, czemu nie napisałaś, że przyjedziesz? Nikt się ciebie nie spodziewał.

— Nieszczęśliwa dziewczyna uciekła. Była strasznie prześladowana, niegodziwa ciotka chciała ją zmusić do nikczemnego czynu. Musimy stanąć w jéj obronie Ryszardzie — słowa te patetycznym głosem wymówił Karolek, a Ryszard wykrzyknął z przerażeniem:

— Uciekła? Nie, to być nie może; o, Kasiu, powiedz prędzéj, że to żart, bardzo nierozsądny żart!

— Ależ nie Ryszardzie, to wcale nie żart, Karolek prawdę powiedział — mówiła Kasia dziwnie zaniepokojona — zakosztowałam wielkości tego świata i przekonałam się, że nie wiele są warte, postanowiłam więc powrócić do wiejskiego zacisza i do mierności. Przecież ojczulek nie zamknie drzwi swoich przedemną, przecież...

— Nie o to idzie — przerwał Ryszard — powiedz mi tylko w dwóch słowach, czy to prawda, żeś tu przybyła bez zezwolenia i bez wiedzy ciotek?

— Czyż sądzisz, że byłabym to zezwolenie otrzymała? Musiałam się wymknąć z tego strasznego więzienia, na szczęście nikt się nie spostrzegł; ale gdybyś wiedział.,.

— Dobrze, dobrze, późniéj to wszystko opowiesz — przerwał Ryszard — Karolku, wieź ją czémprędzéj do domu, ja odchodzę, ale przyjdę tam niezadługo.

— Gdzież ty idziesz, Ryszardzie?

— Pobiegnę tylko do telegrafu i dam znać tym biednym staruszkom, że ona tu jest, że jéj się nic nie stało; a toż one tam muszą być w najokropniejszym strachu.

— Co, chcesz uwiadomić ciotkę Barbarę, żeby mnie ztąd zabrała? Chcesz mnie wydać Ryszardzie? — wołała nasza księżniczka, która już teraz na dobre struchlała — Ależ zlituj się, nie wiesz jeszcze o co idzie, co powie ojczulek...

— Oszalałaś dziewczyno, tu niéma chwili do stracenia — rzekł Ryszard i śpiesznie się oddalił, a Kasia do reszty straciła fantazyą, łzy jéj się mimowoli cisnęły do oczu, powitanie ojczulka, Marysi i Sylwii, na które się tak cieszyła przed chwilą, teraz w jakichś odmiennych barwach przedstawiało się jej wyobraźni. Nie gniewała się jednak na Ryszarda, bo przyszła jéj na myśl biedna ciotka Joanna, która tam musiała przebywać najokropniejsze nerwowe ataki, gdy się dowiedziała o zniknięciu synowicy. Darmo sobie powtarzała, że honor jéj był zagrożony, że nie mogła inaczéj postąpić, sumienie mówiło co innego; im bliżéj było do mieszkania doktora, tém większy niepokój ją ogarniał. A jednak, gdy już stanęli przed domem, gdy w półmroku wieczornym ujrzała te ukochane progi i drzewa rozłożyste, ocieniające okna i ganek na którym igrała będąc małém dzieckiem, serce jéj wezbrało dziwném rozrzewnieniem, trwoga się rozwiała, czuła, że *tu* jest bezpieczną i nie potrzebuje myśleć co się z nią stanie, bo jest ktoś, komu może zaufać zupełnie i ten jéj wskaże, co ma czynić.

— Ojczulku! — szeptała biedaczka, wstępując po wschodach na ganek. Cisza panowała w całym domu, ale Kasia wiedziała, że w tém nic nie było nadzwyczajnego. O téj porze zwykle doktór siedział na ławeczce w ogrodzie, Sylwia porządkowała w swoim pokoju, a Marynia przygotowywała do herbaty w pokoju jadalnym, którego okna wychodziły na ogród.

Kasia na palcach przebiegła przedpokój i sypialnią Maryni, uchyliła cichutko drzwi do pokoju Sylwii, ale tu już się dłużéj powstrzymać nie mogła, gdy ujrzała ukochaną swoją siostrzyczkę, odwróconą plecami do drzwi i nie zważającą na nią wcale,

— Sylwio, Sylwio! to ja! — krzyknęła i rzuciła się do niéj, a Sylwia krzyknęła głośniéj jeszcze na jéj widok i znów nastała cisza, słychać było tylko odgłos pocałunków i przytłumione westchnienia i szepty niewyraźne, a gdy weszła Marynia, wołając Sylwią na herbatę, o mało nie upadła na podłogę i w pierwszéj chwili nie wiedziała, co się z nią stało, czuła tylko, że ktoś wskoczył jéj na szyję i dusi ją w szalonych uściskach.

— Kasiu, Kasieńko! — zawołała nareszcie — dziecko drogie, cóż to za szczęście! Ale zkądżeś się ty tu wzięła, mój Boże.

A w tém ozwał się głos z drugiego pokoju;

— Maryniu, chodź do ojca, ma ci coś powiedzieć.

A potém głos inny, głos dobrze znany, dodał z cicha:

— Czy Kasia jest tam z niemi?

Ojczulek pytał o nią, wiedział więc już o wszystkiem od Ryszarda, nie przyszedł jednak natychmiast jéj powitać, tylko wołał Maryni. Kasia pochwyciła rękę Sylwii i zasunęła się z nią w najciemniejszy kącik pokoju, Sylwia nie pojmowała, co się dzieje, ale mimowolny przestrach ją ogarnął.

Przez chwilę obie dziewczynki słyszały przyciszone głosy z drugiego pokoju, ale rozmowy zrozumieć nie mogły, potém drzwi się otworzyły i wszedł doktór Wardor. Kasia z głośnym okrzykiem — Ojczulku! — rzuciła się w jego objęcia. On ją uściskał w milczeniu, w oczach jego malował się smutek i tkliwość wielka.

— Ojczulku, ja powróciłam do ciebie; wszak mnie nie odepchniesz, nieprawdaż?

— Dziecię drogie, uczynimy to, co słuszność nakazuje. Znasz mię, wiesz dobrze, że trzymam się zawsze prostéj drogi i teraz więc nie mogę postąpić inaczéj.

Ale mówiąc to, uściskał ją znowu tak czule, że Kasia uspokoiła się i pełna ufności mówiła.

— Nie opuszczaj mię tylko ojczulku.

— Nie lękaj się, dziecko; mamy czas do namysłu. Cio-

tki twoje wiedzą już, gdzie jesteś, możesz więc przebyć z nami dni kilka; jutro uradzimy, co się dalej zrobi.

— Dni kilka... — biedna Kasia westchnęła, doktór wyszedł z pokoju, a w tejże saméj chwili weszła Marynia zapłakana. Kasia rzuciła się znowu w jéj objęcia, a potém zaraz zwróciła się do Sylwii, która dotąd była jak w rogu i wyjaśniła jéj w kilku słowach rzecz całą.

— O, Kasiu, jakżeś mogła, jak mogłaś tak nierozsądnie postąpić! — mówiła Marynia, ale przytém zalewała się łzami, chociaż ojciec przed chwilą zalecał jéj, aby się nie rozczulała i małego zbiega starała się uspokoić.

— Ale, Maryniu, cóż złego się stało, że Kasia przyjechała do nas? — wołała Sylwia — Ojczulek jakoś na to poradzi, a przynajmniej się na nią napatrzymy.

I Kasia także uspokoiła się tą myślą, że ojczulek jakoś na wszystko poradzi i wesoła poszła na herbatę, uczepiwszy się jedną ręką Maryni, a drugą Sylwii. W jadalnym pokoju spotkano Karolka i Kasia prawie zapomniała o swojém księztwie, o pobycie w Londynie, o wszystkich przygodach swoich, które jéj się wydawały snem przykrym i z całym zapałem oddawała się szczęściu obecnéj chwili.

Przy herbacie doktór poważniejszy był niż zwykle, nie żartował z dziećmi, lecz rozmawiał z Ryszardem o różnych rzeczach, które w dziennikach wyczytał. Po herbacie odszedł zaraz do siebie, powiedziawszy dzieciom dobranoc. Kasia, podając mu czoło do pocałowania po dawnemu, zapytała półgłosem:

— Czy ojczulek nie gniewa się na mnie:

— Nie, moje dziecko, nie gniewam się — odrzekł łagodnie — ale bardzo jestem zmartwiony, bardzo zakłopotany; pomówimy jutro o tém wszystkiém, a dziś pomódl się gorąco i śpij spokojnie.

Ale Kasia nie miała jeszcze najmniejszéj ochoty do spania, więc cała rodzina zgromadziła się przy kominku, na którym ogień rozłożono. Była to noc we Wrześniu, wieczory zaczynały być nieco już krótsze i chłodniejsze. O, cóż to

był za rozkoszny wieczór! Kasia usadowiła się razem z Sylwią w opróżnionym fotelu doktora, Karolek siedział naprzeciwko, na nizkim stołeczku, tuż obok Marynia ze swoją robotą, a przy stoliku Ryszard z książką, od któréj jednak często się odrywał, aby się wmieszać do ogólnéj rozmowy.

Jak łatwo się domyślacie, główną, jedyną treścią téj rozmowy były losy naszéj księżniczki. Kasia z nadzwyczajnym zapałem opowiadała o wielkościach i nędzach swojego życia, w malowniczych barwach kreśliła obraz strasznych prześladowań, jakie się zwaliły na jéj niewinną głowę, wspominając przytém z lekka i o zaszczytach przywiązanych do jéj wysokiego stanowiska w świecie. Opowiadając zapalała się stopniowo, a chociaż wierna swym zasadom nie rozmijała się z prawdą, jednak przyznać trzeba, że przesadzała trochę, tak w ciemnych, jak i w jasnych barwach.

Sylwia i Karolek słuchali z nadzwyczajném zajęciem, wyrażając współczucie, oburzenie lub zdumienie, krótkiemi wykrzyknikami. Karolek parę razy na wzmiankę o lady Barbarze użył tak dosadnych wyrażeń, że Marynia musiała mu nakazać milczenie, a Sylwia powiedziała półgłosem:

— Ja myślałam, że takie dziwne rzeczy tylko się w bajkach wydarzają.

Ryszard pokręcał głową i uśmiechał się, spoglądając na Marynię, która znów wzdychała raz po raz. Nakoniec obie dziewczynki dały się namówić i poszły spać, Karolek odszedł także, a Marynia zbliżyła się do Ryszarda i rzekła ze smutkiem:

— Mój Boże, jakże mi żal tego biednego dziecka. Zupełnie jéj się w głowie przewróciło.

— Bądź spokojna, Maryniu — odrzekł Ryszard — w głowie jéj się przewróciło, to prawda, ale serce pozostało niezepsute, a serce to grunt. Ta ciotka rzeczywiście bardzo nierozsądnie z nią postępowała. Ojciec jednak ma nadzieję, że teraz wszystko to się zmieni; wyczytaliśmy dziś w dziennikach o powrocie do Anglii pułkownika Hardly, wuja Kasi; ojciec go znał kiedyś, ma to być człowiek bar-

dzo zacny i rozumny, równie jak i żona jego. Ona jedna z sióstr nie miała żalu do ojca Kasi i matkę jéj serdecznie kochała, a tyle nieszczęść się na nią zwaliło, że po śmierci brata i bratowéj nie mogła się opiekować sierotą, tém bardziéj, że od lat wielu mieszkała w Indyi. Dobranoc Maryniu, bądź spokojna, ojciec wszystko jaknajlepiéj obmyśli.

XIII.

Smutna konieczność.

Kasia przebudziła się nazajutrz rano z silnym bólem głowy. Marynia przestraszona pobiegła po ojca, ale doktór Wardor obejrzawszy puls choréj powiedział, że niéma się czego obawiać, kazał jednak dziewczynce poleżeć spokojnie i wypocząć, gdyż ból głowy pochodził ze zbytnich wzruszeń dnia poprzedniego.

Marynia spuściła roletę u okna, przyniosła Kasi do łóżka filiżankę herbaty, a gdy wszyscy poszli do kościoła gdyż był to dzień niedzielny, ona została przy choréj, usiadła przy oknie z książką do nabożeństwa i taka cisza zaległa dom cały, że nasza księżniczka usnęła znowu i zbudziła się dopiéro po południu. Ból głowy ustał zupełnie, apetyt miała ogromny i zjadła z wielkim smakiem talerz rosołu i kawałek mięsa kurzego. Potém doktór Wardor pozwolił jéj wstać i mogła nawet pójść na nieszpory z Marynią, któ ra z powodu jéj choroby nie była z rana na nabożeństwie.

Doktór tymczasem wyprawił list do ciotki Barbary, donosząc jéj, że młoda księżniczka była trochę zmęczona podróżą i potrzebowała koniecznie parę dni wypocząć poczém sam towarzyszyć jéj będzie do Londynu i odda w ręce opiekunki. Marynia dodała od siebie kilka słów, prosząc lady Barbarę o pobłażanie dla biednéj dziewczynki, która zawiniła przez brak zastanowienia. Dnia następnego nadeszła

odpowiedź. Lady Barbara przepraszała w osłchych wyrazach doktora i Marynię za kłopot, jaki mieli z powodu szaleństwa księżniczki, dodając, że samaby po nią przyjechała, ale nie mogła odstąpić siostry, choréj w skutek wielkiego familijnego nieszczęścia, jakie spadło na nie przed dwoma dniami.

Kasia przypomniała sobie, że przed kilku dniami, w chwili, gdy niepostrzeżona wymykała się na ulicę, wchodził listonosz do mieszkania ciotki, on też zapewne przyniósł wiadomość o tém familijném nieszczęściu. Darmo jednak łamała sobie głowę nad tém, co to być mogło; nazajutrz dopiéro, gdy przyniesiono gazety, doktór Wardor wyczytał w nich co następuje: „Dnia 17 Września zgasł w Aleksandryi w wiośnie życia Robert Hardly, syn jedyny dzielnego pułkownika Hardly. Osieroceni rodzice odpłyną za dni kilka do Anglii.“

Serce Kasi ścisnęło się na myśl o tych biédnych rodzicach, ale zarazem i przestrach ją ogarnął; ciotka Barbara niezawodnie tém surowiéj ją osądzi, że taką ciężką chwilę wybrała do ucieczki i przydała im tyle kłopotu do straszliwéj boleści. Ale czy ona mogła to odgadnąć?

— Kasiu — rzekł doktór w poniedziałek wieczorem — chodź tu do mnie, musimy się naradzić.

Kasia wiedziała o co idzie, ale nie obawiała się wcale narady z ojczulkiem, choćby miał ją i wyłajać, bo po wyłajaniu musiało zawsze nastąpić przebaczenie i zgoda zobopólna; pobiegła więc natychmiast do jego gabinetu i czekała w milczeniu. On ją wziął na kolana i tak mówił:

— Wiem już o wszystkiém od Maryni, nie potrzebujesz mi więc opowiadać, dla czego się dopuściłaś tak nierozważnego kroku, który nietylko na ciebie, ale i na mnie nie mało ściągnie nieprzyjemności. Nie mówmy już o tém, co się stało, bo przeszłość nie w naszéj mocy; tu idzie o to, co daléj z tobą będzie.

— Ojczulku, drogi ojczulku, czemuż ja nie mogę tu zostać? Mnie tu tak dobrze — szepnęła dziewczynka przez łzy — a potém ojczulku, ja czuję, że nie potrafię być dobrą u ciotki Barbary, ja tam będę coraz gorszą...

— Kasiu — przerwał doktór poważnie — dobre lub złe postępki zależą od nas samych, a nie od tych, którzy nas otaczają. Każdy człowiek ma wolną wolę i głos sumienia; niéma takich okoliczności na świecie, któreby nas mogły przymusić do złego. Jak możesz tak nierozsądnie mówić?

— Ojczulku, ja chciałam powiedzieć, że tu przy tobie, przy Maryni i przy Sylwii nie mam żadnego powodu, żadnéj ochoty do złego, a tam...

— Tém większą zasługę mieć będziesz dzieweczko, jeśli się powstrzymać potrafisz. Pamiętaj, że kiedyś, jak dorośniesz, będziesz wielką i bogatą panią i będziesz miała tysiące sposobności uczynić bardzo dużo dobrego. Ale żebyś tego majątku i wszystkich darów nieba potrafiła użyć na dobre, musisz zawczasu się nauczyć panować nad sobą i walczyć z pokusą do złego. Kasiu, wierzaj mi, przeciwności hartują ducha, wyrabiają siłę woli, a uległość i pokora są to cnoty wielce pożyteczne dla tych, którzy później innym rozkazywać mają.

— Ojczulku, czy to już nie może być inaczéj, czy ja koniecznie muszę powrócić do ciotki Barbary? — zapytała nasza księżniczka nieśmiało, chociaż już pewna była odpowiedzi.

— Nie może być inaczéj, moje dziecko — odrzekł doktór — ale ja ze swojéj strony uczynię co tylko będę mógł, aby twój los osłodzić. Jutro musimy jechać do Londynu.

— Jutro! — żałośnie zawołała Kasia.

— Dłuższe odkładanie na nic się nie zdało.

Kasia wiedziała, że i opieranie się woli ojczulka na nic się także nie zdało, nie odrzekła więc ani słowa i starała się ostatni ten wieczór spędzić jak najweseléj w towarzystwie Sylwii i Karolka.

Łatwo sobie wyobrazić, jak smutne było rozstanie dnia następnego. Nietylko Kasia i Sylwia, ale nawet i Marynia zalewała się łzami; ta ostatnia miała wielką ochotę towarzyszyć także Kasi do Londynu i prosiła o to ojca, ale do-

któr zauważył, że nie wypadało jéj pokazywać się u lady Barbary bez zaproszenia, zresztą był to koszt niepotrzebny.

Ta druga podróż Kasi do Londynu daleko mniéj była przyjemna od pierwszéj. Wtenczas jeszcze marzyła o księstwie swojém, o bogatych strojach, o różnych przyjemnościach wielkiego świata, teraz już zakosztowała tych wszystkich słodyczy i była zupełnie rozczarowana. Kareta księżniczki nie czekała tą razą na dworcu, doktór najął skromną dorożkę i wymienił adres mieszkania lady Barbary.

Kasia w pierwszéj chwili byłaby chciała dojechać jaknajprędzéj, żeby się już raz to wszystko skończyło; potém znów żal miała do dorożkarza, że niewiedzieć poco tak konie popędzał. Ale on nie mógł odgadnąć jéj tajemnych myśli i jechał zupełnie zwyczajnym sposobem, ani zbyt śpiesznie, ani zbyt wolno, w porę téż zatrzymał się przed gankiem wspaniałego mieszkania, które Kasi wydało się tak ciężkiém więzieniem.

Służący wprowadził ich do salonu, nie okazując najmniejszego zdziwienia na widok księżniczki, która spuszczała oczy i radaby była pod ziemię się ukryć, Lady Barbara kazała czekać na siebie kilka minut, weszła nakoniec, Kasia nie odwarzyła się podnieść na nią oczu, ale sam szelest jedwabnéj sukni dostateczny był, aby ją przejąć zgrozą, a cóż dopiéro, gdy usłyszała głos spokojny, zimny, ostry, jak dotknięcie żelaza.

— Dziękuję bardzo, żeś się pan sam trudził — rzekła lady Barbara, nie prosząc nawet siedzieć.

— Moja siostrzenica jest bardzo zawstydzona i mogę upewnić mylady, że szczerze żałuje swego nieroztropnego postępowania — rzekł doktór.

— O tak ciociu, żałuję, bardzo żałuję — odezwała się Kasia, która wiedziała, że pokora jéj i uległość przyjemność sprawi ojczulkowi, o co jéj głównie chodziło.

— Dobrze przynajmniéj, że uznajesz swoją winę — odrzekł ten sam głos ostry i suchy.

— Chciéj pani jéj przebaczyć — mówił znowu doktór

— jestem pewny, że zasłuży na to uległością i poprawą; solennie mi to przyrzekła.

— Przebacz mi ciociu — powtarzała posłusznie biedna księżniczka — przyrzekam szczerze być odtąd posłuszną i łagodną, będę się starała we wszystkiém cioci dogodzić.

— Dobrze już dobrze — rzekła ciotka, trochę udobruchana, widząc że doktór wcale nie zbuntował przeciwko niéj krnąbrnéj synowicy — siadajże pan, panie doktorze, a ty Kasiu pójdź zaraz do ciotki Joanny, która przy tylu innych dotkliwszych smutkach i o ciebie się także niemało niepokoi — a gdy Kasia odbiegła, rada, że pierwsza burza już przeminęła, lady Barbara mówiła daléj do doktora:

— Spodziewam się panie doktorze, że to smutne zdarzenie, które naszemu domowi nie przynosi wcale zaszczytu, pozostanie między nami. Nie zechcesz pan zapewne rozgłaszać tego co się stało;

— Niéma tu co rozgłaszać — odparł doktór — sądzę jednak mylady, że ten wybryk dziecinny nie może mieć wielkiego znaczenia. Znam doskonale usposobienie mojéj siostrzenicy, jest żywa niezmiernie, popędliwa, ale serce ma najlepsze.

— Dziewczyna ta jednak tak dalece zakłóciła nasz spokój domowy, że postanowiłyśmy obie z siostrą zrzec się téj opieki, która nasze siły przechodzi. W obecnéj chwili mamy ciężkie zmartwienie, rzeczy muszą tak jeszcze na czas jakiś pozostać, ale jak się uspokoimy nieco, zbierze się rada familijna i obmyśli, co daléj uczynić wypadnie. Skończy się pewnie na tém, że się urządzi dom osobny, gdzie księżniczka zamieszka pod dozorem osób obcych, a dość energicznych i doświadczonych, aby przełamać wrodzony jéj upor i złe nawyknienia.

— Czy pułkownik Hardly przybył już do Londynu? — zapytał doktór, widząc, że tu niewiele wskóra.

— Nie jeszcze — odpowiedziała lady Barbara — ale go się wkrótce spodziewamy. Liczę właśnie na mego szwagra, że mi w téj trudnéj sprawie dopomoże.

Wtém wbiegła Kasia, która chciała jeszcze zobaczyć swego ojczulka, rozmowa się urwała, a po chwili doktór pożegnał się, przypomniawszy Kasi półgłosem wszystkie obietnice i postanowienia. Rad był bardzo, że lady Barbara zrzekała się opieki nad sierotą; Kasia byłaby się niezawodnie przeraziła okropnie na samą myśl o tych osobach energicznych i doświadczonych, o jakich marzyła ciotka Barbara, ale doktór miał nadzieję, że rzeczy lepszy obrót wezmą; w każdym razie obiecywał sobie napisać do pułkownika i wstawić się za małą księżniczką.

Tymczasém położenie biédnéj naszéj Kasi wcale się na lepsze nie zmieniło, chociaż daleko była teraz cierpliwsza i spokojniejsza. Lady Barbara znalazła nakoniec nauczycielkę, która przybywała na kilka godzin, powtarzała lekcye z Kasią, prowadziła ją na przechadzkę, a potém odchodziła do domu. Była to osoba niemłoda, milcząca, nie taka smutna, jak mistress Lassy, ale za to bardzo surowa i poważna, nigdy się nie uśmiechnęła, nigdy nie przemówiła wesoło; na wyraźne zalecenie lady Barbary, na krok nie odstępowała księżniczki, nigdy jéj nie zostawiała saméj w pokoju na jedną minutę; wkrótce téż Kasia spostrzegła, że jest tak pilnie strzeżona, jak więzień, a ten brak ufności niezmiernie ją upokarzał.

Lady Barbara nie łajała jéj, nie rozwodziła się nad jéj przewinieniem, ale sposób, w jaki o tém wspomniała parę razy, był niezmiernie dotkliwy dla Kasi. Raz naprzykład, gdy ciocia Joanna mówiła o spodziewanym powrocie do Londynu rodziny Powerów, lady Barbara odezwała się, patrząc na Kasię, że dzięki Bogu, wieść o tém okropném zdarzeniu nie może dojść do ich uszu To znów obliczając kiedy przybędzie półkownik z żoną, przypominała siostrze, że wszystkie te przykre przejścia starannie przed niémi ukrywać należało, bo oni i tak aż nadto mieli własnych cierpień.

Smutne to było życie, bardzo smutne i wielki czas był, aby nastąpiło jakieś przesilenie, gdyż nasza księżniczka za-

czynała już znowu knuć w niesfornéj swéj główce różne rozpaczliwe postanowienia i buntownicze zamiary.

XIV.

Nowe znajomości.

Minęło dwa tygodnie, a czas ten wydał się naszéj Kasi dłuższy od roku, gdy dnia pewnego po południu niezwykły ruch w całym domu zwrócił jéj uwagę. Siedziała właśnie nad książką, którą już prawie na pamięć umiała i machinalnie przewracała kartki, słyszała więc doskonale wszystko, co się около niéj mówiło; ciotki, zwyczajem swoim, rozmawiały pomiędzy sobą w jéj obecności, nie odzywając się do niéj, tak zupełnie, jak gdyby jéj nie było w pokoju.

Lady Barbara wspomniała coś o liście, który się spóźnił i uprzedził podróżnych tylko o kilka godzin, potém o pokojach, zamówionych w hotelu miesięcznie. Ciocia Joanna wzdychała i ocierała oczy, zapytała siostry, czy nie możnaby wyjechać na ich spotkanie na dworzec, ale ta odpowiedziała śpiesznie:

— Zlitujże się, czyżbyś ty mogła narażać się na tyle wzruszeń na dworcu? A oni także będą woleli być sami w pierwszéj chwili przybycia. Zostawmy ich dziś, niech trochę odpoczną, jutro przyjadą pewnie na śniadanie.

— Ale czemuż nie chcieli stanąć u nas? — mówiła znów lady Joanna — Emilii tam będzie tak niewygodnie w hotelu.

— Ona biedaczka pewnie teraz nie dba o wygody — odparła lady Barbara — a pułkownik tam będzie swobodniejszy. Uspokój się, uspokój siostrzyczko, jutro ich zobaczémy, zbierz wszystkie siły na przebycie téj ciężkiéj chwili pierwszego powitania.

Kasi serduszko uderzało jak młotém, dla niéj także ta chwila była straszna; miała więc ujrzeć tego srogiego

wuja, którego jéj nieraz w tak groźnych barwach przedstawiano. Przysunęła się cichutko do cioci Joanny i przytuliła się do niéj, jakby szukając ratunku, nawet ciotka Barbara wydała jéj się w téj chwili pożądaną opiekunką i spoglądała na nią przerażonym wzrokiem, błagając ratunku.

Nazajutrz z rana, przed nadejściem nauczycielki, która dopiéro po śniadaniu przychodziła, Kasia, zawsze pilnie strzeżona, na krok nie oddalała się od ciotek, obie siedziały milczące w małym saloniku, nasłuchując i oglądając się niespokojnie na najlżejszy szelest. Zaturkotało na ulicy i powóz zatrzymał się przed domem.

— Proszę cię Joanno nie wstawaj — rzekła lady Barbara — to pewnie ktoś przyjechał do tych państwa z sąsiedniéj kamienicy.

Po chwili dzwonek odezwał się w przedpokoju.

— To zapewne nauczycielka przyszła wcześniéj niż zwykle — rzekła znów lady Barbara, zatrzymując siostrę, która się zerwać chciała; ale Kasia była pewna, że to nie nauczycielka i wnet się drzwi otworzyły, lokaj stanął na progu i wyrzekł:

— Pułkownik Hardly i mistress Hardly.

A w téjże saméj chwili weszli oczekiwani goście, Kasia cofnęła się szybko w najdalszy kąt salonu i spoglądała na nich wystraszonémi oczyma. Ujrzała kobiętę czarno ubraną i wysokiego mężczyznę w mundurze wojskowym, z ogromnemi wąsami, które poważnéj jego twarzy groźny nadawały wyraz,

Ciocia Joanna z głośném łkaniem rzuciła się w objęcia nowoprzybyłéj, pułkownik w milczeniu uściskał rękę lady Barbary i stanął z boku szarpiąc czarne wąsy i marszcząc straszliwie brwi. Głucha cisza zapanowała na chwilę, aż wreszcie nasza księżniczka usłyszała głos basowy.

— Gdziesz jest ta dziewczynka? Emilia spodziewała się tu ją zastać, tak pragnęła ją widzieć.

— Katarzyno — odezwała się lady Barbara — pójdź bliżéj, przywitaj się z ciotką i z wujem.

Kasia cała drżąca postąpiła kilka kroków naprzód i uczuła jak wielka, żylasta ręka dłoń jéj ujęła a straszne, szorstkie wąsy dotknęły jéj twarzy.

— Patrz Emilio, oto ona — rzekł ten sam głos basowy i w téj saméj chwili dwoje ramion pochwyciło ją w objęcia, twarz bardzo smutna, lecz niewymownie słodka pochyliła się nad nią i dziewczynka doznała dziwnego wrażenia. Uścisk téj nieznanéj cioci przywiódł jéj na myśl, sama nie wiedziała dla czego, tę matkę, któréj nie pamiątała.

— O mój Boże, jakżeś ty podobna do ojca, drogie dziecię, jak bardzo podobna — mówiła ciotka Emilia, głosem dźwięcznym, który brzmiał w uszach Kasi, jak muzyka najpiękniejsza — nieprawdaż Ryszardzie? — dodała zwracając się do męża.

— Nadzwyczaj podobna — rzekł pułkownik i znowu groźne wąsy dotknęły czoła Kasi.

— Zdejmijże kapelusz, Emilio — odezwała się lady Barbara i z wielkim żalem Kasi zabrała tę miłą ciocię do swego pokoju, ażeby zdjęła kapelusz i okrycie. Pułkownik usiadł na kanapie obok lady Joanny i zaczął coś mówić, lecz ta nagle zaniosła się płaczem i dostała silnego ataku nerwowego.

— Moje dziecko — rzekł wówczas pułkownik do Kasi — trzebaby tu kogoś poprosić...

Kasia wybiegła i wpadła do pokoju ciotki Barbary wołając:

— Ciocia Joanna mdleje!

— Ach, spodziewałam się tego — rzekła lady Barbara, chwytając buteleczkę z trzeźwiącemi kroplami — każde wzruszenie jest zabójcze dla niéj. Zostań tu na chwilę Emilko, trzeba ją teraz zostawić w spokoju i odprowadzić do łóżka.

Kasia została sama z ciotką Emilią, nie lękała jéj się wcale, przeciwnie zdawało jéj się, że jeszcze nigdy w życiu

nie spotkała tak ujmującéj postaci, nie słyszała tak słodkiego głosu.

— Kasieńko, wszak tak ci na imię, nieprawdaż, kochanko? — zapytała mistress Hardly.

— Tak — odrzekła Kasia — ale tu wszyscy nazywają mnie Katarzyną.

— Pokaż mi swój pokoik Kasiu — mówiła dalej ciotka Emilia — ja mam nadzieję, że się wkrótce poznamy i pokochamy — i wzięła za rękę synowicę, jak gdyby się znały i kochały oddawna. Kasia zaprowadziła ją do swojego pokoju, pokazywała książki, rysunki, opowiadała o swoich zajęciach, od dawna nie czuła się z nikim tak swobodną i szczęśliwą. W tém ukazała się na progu lady Barbara zdyszana i z pewném zakłopotaniem rzekła:

— Nie spodziewałam się, że tu jesteś Emilio, szukałam Katarzyny po całym domu...

Kasia poczerwieniała po same uszy; o, gdybyż tylko ciocia Emilia nie odgadła, że jéj tak dalece nie dowierzano i pilnowano jak więźnia, żeby nie uciekła i wstydu nie narobiła rodzinie.

Dzień cały ukłynął spokojnie, nadeszła nauczycielka i Kasia dopiéro na obiad przyłączyła się do towarzystwa. Przy stole ciotki rozmawiały pomiędzy sobą, pułkownik mało się odzywał, a wzrok jego często zatrzymywał się na naszéj księżniczce, którą wówczas przejmowały dreszcze; wyobrażała robie, że ten szlachetny rycerz wyczyta jéj z oczu wszystkie hańbiące czyny, jakich się dopuściła, wykryje prawdę, którą ukrywano przed nim i obrzuci ją najwyższą pogardą.

Możecie sobie wyobrazić jéj przerażenie, gdy pułkownik zwrócił się do niéj i zapytał głosem, w którym jednak nie było żadnéj niechęci, ale przeciwnie wiele dobroci i życzliwości:

— Jakże się miewa doktór Wardor, wujaszek twój, moje dziecko; czy dawno się z nim widziałaś?

— Dwa tygodnie temu — szepnęła Kasia i cała stanęła w płomieniach.

— Doktór Wardor był niedawno w Londynie, przyjeżdżał tu na czas krótki — wyjaśniła ciotka Barbara, a Kasia chciałaby była pod ziemię się schować, bo czuła, że ciotka chciała tym sposobem ukryć okropną prawdę przed pułkownikiem. Tak ją to wzruszyło i zmieszało, że zupełnie straciła przytomność, chwyciła kromkę chleba i wpakowała ją w zupę, przewróciła kieliszek z winem i byłaby nie wiem co za to dała, żeby mogła była dokończyć obiadu w swoim pokoju; zaszczyt jadania u ogólnego stołu wcale jéj się teraz nie wydawał pożądanym, żałowała dawnych czasów, gdy jadała osobno, jak małe dziecko, w towarzystwie mistress Lassy.

Mistress Hardly musiała spostrzedz jéj zakłopotanie, chociaż powodów jego nie rozumiała, zaczęła z nią rozmawiać, dopytywać się o różne rzeczy, a między innémi, czy często się widuje z kuzynkami swojemi, córkami lorda Powera.

— Widywałyśmy się dość często, gdy tu były w Londynie, ale teraz są jeszcze na wsi — rzekła Kasia słabym głosem, bo znów przypomniała sobie smutną przygodę, przy ostatniém swojém widzeniu z rodziną Powerów i zdanie ciotki, że lady Power nigdyby nie pozwoliła swoim córkom zadawać się z dziewczyną, która uciekała sama jedna z domu, jak zbieg lub przestępca.

— Przed wyjazdem moim do Indyi, — mówiła mistress Hardly jedna Frania była na świecie; miłe to było niezmiernie dziewczątko.

— Wszystkie są miłe i dobrze wychowane rzekła lady Barbara — bardzo dobrze wychowane — powtórzyła, przeszywając Kasię wzrokiem ostrym, jak stal.

Pułkownik z żoną odjechał wcześnie wieczorem, oboje potrzebowali wypocząć. Kasia długo zasnąć nie mogła téj nocy, sama już nie wiadziała, czy miała się cieszyć, czy martwić przybyciem swoich nowych krewnych. Ciotka Emilia odrazu pochwyciła ją za serce, ale pułkownik z temi nastro-

szonemi wąsami budził w niéj zawsze obawę, a przytém dręczyła ją myśl, że oboje mieli o niéj fałszywe wyobrażenie, nie wiedzieli całéj prawdy i prawie za złe miała ciotce Barbarze ukrywanie wszystkich jéj win przed nimi.

Nazajutrz była niedziela, państwo Hardly przybyli po nabożeństwie i pozostali po obiedzie, a Kasia cały czas siedziała w salonie, bo nie miała dziś lekcyi, nauczycielka nie przychodziła w dnie świąteczne. Przy obiedzie nic się nadzwyczajnego nie wydarzyło, tylko pod koniec odezwała się ciotka Emilia:

— Mam prośbę do ciebie, droga Barbaro; jutro mąż. mój ma dużo interesów w mieście do załatwienia, ja sama jedna zostanę w domu, a muszę także trochę uporządkować nasze pakunki. Pozwól mi zabrać Kasię do siebie, wszak może opuścić lekcye na ten jeden dzień.

Kasi serce uderzyło gwałtownie, przez chwilę panowało milczenie, lady Barbara namyślała się.

— Moja Emilio — odezwała się wreszcie — nie znasz jeszcze Katarzyny i nie wiesz, czy jéj towarzystwo nie będzie dla ciebie uciążliwe.

— To już moja rzecz — odparła mistress Hardly z uśmiechem.

— Ale nie wiem sama, jak to urządzić — mówiła lady Barbara zakłopotana — niéma jéj z kim odesłać, ja jutro nie mogę wyjść z domu, nauczycielka przychodzi dopiero około południa, a Joanna z rana obejść się bez służącéj nie może.

— Ja sam przyjdę po nią z rana — odezwał się pułkownik — niech tylko będzie gotowa, żebym nie czekał.

— A któż ją wieczorem odprowadzi? — mówiła lady Barbara — mogłabym posłać powóz, ale proszę was bardzo, nie puszczajcie jéj saméj.

— Ależ ja ją odprowadzę najchętniéj — rzekł pułkownik widocznie zdziwiony. W téj chwili wstano od stołu i rozmowa się przerwała.

Kasia myślała długo przed zaśnięciem o dniu jutrzej-

szym. Nie spodziewała się u ciotki Emilii żadnych rozrywek i przyjemności, ale wśród jednostajności jéj życia każda zmiana była pożądana. Pocieszała ją niemało ta myśl, że pułkownik miał wyjść na cały dzień z domu.

XV.

Wyznanie.

Nazajutrz z rana zaraz po śniadaniu ozwał się dzwonek u drzwi wchodowych i wszedł pułkownik do jadalnéj sali, a Kasia pomieszana przywitała go tak wylęknionèm wejrzeniem, że uśmiechnął się mimowoli.

— Nie spodziewałaś się mnie tak wcześnie, nieprawdaż — rzekł całując ją w czoło.

— Jestem już zupełnie gotowa — odrzekła Kasia i wybiegła po kapelusz i rękawiczki, a gdy śpiesznie wracała wstrzymała ją na progu jéj pokoiku ciotka Barbara i rzekła z naciskiem;

— Pamiętaj Katarzyno, że jeśli roztrzepanie zawsze jest niewłaściwe dla panienki, to podwójnie się staje niewłaściwèm w obec osób dotkniętych ciężkim smutkiem. A jeżeli już nie umiesz dbać o innych, to pomyśl nad tèm, że dla ciebie saméj wiele na tèm zależy, abyś pozyskała przychylność ciotki i wuja, a przynajmniéj zbyt złego wrażenia nie wywarła na nich odrazu. Ja ze swéj strony gotowa jestem na zawsze zamilczeć przed nimi o twych szalonych wybrykach, jeśli szczerą poprawą starać się będziesz dawne winy zagładzić.

Kasia nic nie odpowiedziała, serduszko jéj tak wezbrało, że nie była w stanie słowa wymówić; weszła napowrót do swego pokoiku, pozamykała szufladki, spojrzała w zwierciadło, czy kapelusz niekrzywo włożony, a gdy po chwili zeszła do wujuszka, usłyszała kilka słów, wymówionych przez

ciotkę Barbarę, zapewne na zakończenie jakiejś uwagi niezbyt pochlebnéj dla młodéj księżniczki.

— W każdym razie, gdyby Emilia nie mogła sobie z nią dać rady, niech tylko słówko napisze, a służąca pójdzie po nią natychmiast.

Nie wyobrażam sobie, żeby najnieznośniejsze dziecko mogło dokuczyć Emilii — odrzekł pułkownik ze smutnym uśmiechem, a biédna Kasia o mało się nie rozpłakała, tak żałośnie odbiło się w jéj sercu wyrażenie: „najnieznośniejsze dziecko!"

— On musi być przekonany, że ma do czynienia z jakiémś dzikiem zwierzątkiem — pomyślała z goryczą i nie śmiała oczu podnieść na wuja, idąc przy nim w milczeniu, ze spuszczoną głową.

On także nic nie mówił, ale gdy trzeba było przejść w poprzek ulicy, wziął ją za rękę i przeprowadził ostrożnie, oglądając się, czy jaki powóz nie nadjeżdża. Gdy znów stanęli na chodniku, Kasia chciała uwolnić rękę z jego dłoni, ale uczuła, że dłoń ta zacisnęła się silniéj, usłyszała głębokie westchnienie i na wpół zdziwiona, na wpół przestraszona spojrzała na wuja. Oczy jego wpatrzone były w dal, a brwi dziwnie namarszczone. Kasia nie mogła odgadnąć, że osierocony ten ojciec przypomniał sobie w téj chwili, jak niedawno inna drobna rączka spoczywała tak samo w jego dłoni i wymknęła się z niéj na zawsze.

Przybyli do hotelu, ciocia Emilia powitała synowicę serdecznym uściskiem, zdjęła jéj sama kapelusz, przygładziła włosy, a pułkownik wypocząwszy chwilkę wyszedł, zapowiadając, że wróci dopiéro na obiad.

— A teraz moje dziecko — rzekła mistress Hardly — weźmiemy się do roboty. Muszę rozpakować niektóre rzeczy, któreśmy przywieźli z sobą z Indyi. Czy chcesz mi dopomódz?

— O, dobrze, dobrze ciociu, to taka przyjemna robota — zawołała Kasia, która czuła się swobodniejszą po odejściu pułkownika, jakgdyby jéj ciężar spadł z serca.

Mistress Hardly zadzwoniła i kazała wnieść jakąś pakę do pokoju; Kasia z wielkiem zajęciem spoglądała na drzwi i wnet ukazała się ta paka, a sam widok jéj zewnętrzny zachwycił naszą księżniczkę. Była z pięknego indyjskiego drzewa, jedwabnémi sznurkami obwiązana, a cóż dopiero, gdy się rozpoczęło odpakowywanie skarbów, które ją napełniały.

Było tam kilka prześlicznych pudełek z pachnącego sandałowego drzewa, z ozdobami ze srebra, różne śliczne przedmioty ze słoniowéj kości, między innemi wspaniałe szachy, w których królowie jechali na słoniach, a słonie trzymały w trąbach tygrysów. I królowe jechały także na słoniach, ale bez tygrysów, wieże sterczały na wielbłądach, a reszta szachów składała się z jeźdzców i pieszych żołnierzy z łukami i strzałami.

Na samym spodzie paki było kilka pięknych szalów indyjskich i mnóstwo rozmaitych kosztownych drobnostek. Ciotka Emilia dobywała i rozwijała każdy przedmiot własną ręką i podawała Kasi, wskazując, gdzie go miała postawić.

— Wszystko to są podarunki dla naszych przyjaciół — rzekła mistress Hardly — te szachy przeznaczone są dla lorda Powera.

— O mój Boże — rzekła Kasia — cóżbym dała za to, żebym mogła choć jedną partyę zagrać w takie prześliczne szachy.

— Najchętniéj zagram z tobą sama — rzekła mistress Hardly, ku wielkiemu zdziwieniu Kasi, która się nie spodziewała podobnéj uprzejmości — ale wprzód musimy resztę rzeczy rozpakować. To pudełko do roboty wybrałam dla ciebie Kasieńko.

— Dla mnie, o ciociu droga, takie śliczności? Dotąd nie lubiłam żadnéj roboty, ale przy takiém pudełku pewnie ją polubię. A to drugie, zupełnie podobne, dla kogo będzie, ciociu?

— Dla Frani Power — odpowiedziała mistress Hardly — a teraz ty sama pomóż mi wybrać najstosowniejsze po-

darunki dla twoich dwóch kuzynek, Maryni i Sylwii Wardor.

— Co, Marynia i Sylwia dostaną takie prześliczne rzeczy? — wołała Kasia, składając ręce z najwyższą radością i nie wiele myśląc rzuciła się na szyję ciotki Emilii, która ją serdecznie uściskala.

— Cieszę się bardzo, że ci to przyjemność sprawia — rzekła — chciałam właśnie, ażebyś im te podarunki posłała od siebie, a tém miléj będą przyjęte.

— O ciociu, droga ciociu, cóż to za radość? — wołała Kasia tracąc już głowę po trochu — one nigdy w życiu nie widziały takich śliczności. Najpiérw Marynia musi koniecznie dostać to cudne pudełko do roboty, ona tak ładnie haftuje i taka jest porządna.

— Lepiéj co innego wybierz, moje dziecko — rzekła łagodnie mistress Hardly — bo to pudełko przeznaczone już jest dla Frani, jak ci to mówiłam.

— Ależ ja nie mówię o tamtém pudełku, tylko o tém, które ciocia mnie podarowała. Dla mnie to nawet szkoda takiéj ładnéj rzeczy, jabym to prędko popsuła i połamała, a Marynia tak wszystko szanuje.

— Ależ przed chwilą tak się cieszyłąś swojém pudełeczkiem, a teraz już go się chcesz pozbyć? — rzekła ciotka.

— O, niech ciocia nie mówi, że ja go się chcę pozbyć — wołała Kasia — ono mi się bardzo, bardzo podobało i właśnie dla tego, że takie prześliczne, chciałabym żeby się dostało Maryni.

— To bardzo pięknie z twojéj strony — mówiła mistress Hardly ale tu jest tyle innych rzeczy, z których mogłabyś wybrać coś dla Maryni. Ja sądzę, że ten szal kaszmirowy byłby stosowniejszy dla niéj od pudełka.

— Co, szal kaszmirowy dla Maryni? — wołała Kasia — ale onaby się nigdy w niego nie ubrała; Marynia się tak nie stroi, ona nosi tylko płócienkowe i wełniane sukienki, a szal ma jeden tartanowy i pewno nie chce mieć innego. Gdyby się pokazała na ulicy w miasteczku w takim

wspaniałym i kosztownym szalu, toby się wszyscy za nią oglądali.

— Może ty masz słuszność kochanko — rzekła mistress Hardly — pomyślemy o tém, mamy dość czasu. A teraz, kiedyśmy już rozpakowały i poskładały wszystko, możemy zagrać w szachy; czy chcesz?

— O ciociu, jakaż ciocia jest dobra — i Kasia złożyła ręce w zachwyceniu, bo jéj się zdawało, że to musi być jakaś niesłychana rozkosz grać w takie przepyszne szachy. Przekonała się jednak, że więcéj z tém było kłopotu niż przyjemności, bo trzeba było bardzo ostrożnie przesuwać te wątłe cacka z miejsca na miejsce, aby ich nie uszkodzić.

Mistress Hardly miała trochę sprawunków do załatwienia, wzięła więc Kasię z sobą do sklepów, potém przeszła przez park, gdzie spotkali pułkownika i razem powrócili do domu. Pułkownik przyniósł z sobą różne listy i papiéry, które oboje z żoną przeglądali, nie zwracając zbytniéj uwagi na Kasię, która przez ten czas przeglądała jeszcze wszystkie osobliwości przywiezione z Indyi i wcale się nie czuła zaniedbaną lub opuszczoną, ale przeciwnie po raz piérwszy od wyjazdu swojego od Wardorów, była tak swobodną i szczęśliwą jak w domu. Nawet obecność pułkownika i jego groźnych wąsów nie zawadzała jéj wcale, miły głos cioci Emilii, takie zupełnie wrażenie na niéj wywierał, jak gruchanie gołębi, których w Oldburgu pełno było na dachach.

Zbliżała się pora obiadowa, gdy służący przyniósł list dla ciotki Emilii, odczytała go w milczeniu i rzekła do męża:

— To od téj poczciwéj staruszki, chciałaby się widzieć ze mną, a nie może tu przyjść, bo jest cierpiąca. Muszę koniecznie do niéj pojechać, a wy tu na mnię trochę poczekacie z obiadem.

— Ale czy nie zmęczysz się zanadto? — zapytał pułkownik.

— O nie, mnie ruch wcale nie szkodzi, a biedna ta kobiéta pragnie bardzo mnie zobaczyć. Pojadę zaraz, za go-

dzinę powrócę. Zabrałabym ciebie z sobą Kasieńko, ale ta pani jest chora, obawiam się, aby jéj to przykrości nie sprawiło. Syn jéj jest w Indyach, myśmy, go przed wyjazdem widzieli, więc chciałaby się o niego rozpytać. Obecność twoja mogłaby jéj zawadzać. Czy nie znudzisz się tu sama z wujaszkiem?

Kasia miała wielką ochotę poprosić, aby ją ciocia wzięła z sobą i zostawiła w powozie, ale przypomniała sobie, że ciotka Barbara prosiła pułkownika, aby jéj na krok nie odstępowano i nie zostawiano saméj, więc z sercem ścieśnioném, bo obawiała się bardzo tego sam na sam z pułkownikiem, rzekła:

— Może ciocia pozwoli mi wziąść ćwiartkę listowego papiéru ze swojego biurka i napisać list do Sylwii. Chciałabym jéj donieść o tych pięknych podarunkach.

— Dobrze moje dziecko — odrzekła mistress Hardly — znajdziesz na mojém biurku i pióra i kopertę i marki, a jeśli ci czego zabraknie, to powiesz wujaszkowi.

I wyszła, a Kasia zasiadła do pisania z pod oka spoglądając na pułkownika. Widziała jak usiadł przy oknie i zamyślił się głęboko, zapominając zapewne o jéj obecności; westchnął ciężko, oparł czoło na dłoni, a na twarzy jego wyryła się taka żałość głęboka, że serce Kasi ścisnęło się mimowoli i łzy napełniły jéj oczy. Gdyby była zobaczyła ojczulka Wardora pogrążonego w takim smutku, pobiegłaby do niego, zarzuciłaby mu ręce na szyję i pewnieby się rozpogodził. Do tego srogiego wuja zbliżyć się nie śmiała, więc żal jéj było niezmiernie, że go pocieszyć niczém nie mogła. Maczała pióro, poprawiała papiér, ale pisanie jéj jakoś nie szło.

Wtém drzwi się otworzzły i służący oznajmił lorda Powera. Biurko stało w kącie odalonym, Kasia nie poruszyła się z miejsca i lord Power nie spostrzegł jéj wcale, witając się serdecznie z przyjacielem, którego nie widział od lat wielu. Obaj panowie zaisedli obok siebie, nie zwracając naj-

mniejszéj uwagi na dziewczynkę, która bardzo temu była rada i cichutko sprawowała się w swoim kąciku.

— Drogi Ryszardzie — mówił lord Power — bardzo to dobrze, żeście już powrócili do ziemi rodzinnéj. Jakże się ma twoja żona czemuż jéj tu nie widzę?

— Emilia zdrowa zupełnie — rzekł pułkownik — ona ma tyle mocy nad sobą, przezwycięża się biedaczka, abym ja na duchu nie upadał. Pojechała do biédnéj staruszki, któréj syn leżał w szpitalu w Indyach, będąc raniony niebezpiecznie. Emilia się nim opiekowała i przyrzekła mu, że matkę jego odwiedzi i uspokoi.

— Żeby tylko nie zmęczyła się zanadto, po takiéj podróży powinnaby odpocząć — rzekł lord Power.

— Emilia jest niestrudzona, gdzie idzie o dobre uczynki, ona przez całe życie poświęca się dla drugich — i głos pułkownika rozrzewnił się gdy wymawiał te słowa. Potém obaj przyjaciele rozmawiali coraz serdeczniéj, pułkownik opowiadał o swojem nieszczęściu, o śmierci ukochanego syna, który był jedyną pociechą rodziców, mówił o wielkich zdolnościach, o dobroci tego młodzieńca, o utraconych swych nadziejach, opisywał ostatnie jego chwile; głos jego przycichał czasem, to znów podnosił się z rozdzierającym wyrazem bólu, a Kasia słuchała w milczeniu i czuła łzy spływające cicho po jéj twarzy.

Przyszło jéj potém na myśl, że to było może niedelikatnie z jéj strony słuchać téj rozmowy, bo pułkownik widocznie zapomniał o niéj, a lord Power nie spostrzegł nawet jéj obecności; zastanowiła się jednak, że większą jeszcze niedelikatnością byłoby przerywać te poufne zwierzenia. Zresztą wszakże się nie ukrywała, wuj widział ją siedzącą przy stoliku, sam nawet znalazł jéj pióro i atrament przysunął. Siedziała więc cichuteńko, a rozmowa toczyła się daléj.

— Biédna, biédna Emilia — mówił lord Power — jak ona zdołała to wszystko przenieść. Ale teraz powinienbyś ją przywieźć do nas, żona moja tak pragnie ją widzieć, jesz-

kilka tygodni zabawimy na wsi, będziemy was wyglądali, przyjedziecie, nieprawdaż?

— Mój drogi — odrzekł pułkownik — wasz dom gwarny i wesoły, szczebiot waszéj dziatwy rozdzierałby nasze serca, daruj, lecz my teraz potrzebujemy ciszy i spokoju. Późniéj może, gdy czas tę straszną ranę zabliźni, zajrzymy i do was. Teraz sami jeszcze nie wiemy, gdzie się osiedlimy; w każdym razie musimy pozostać dłużéj w Londynie, z powodu różnych interesów. Wypadnie także zająć się losem téj dziewczynki, Emilia niezmiernie sobie wyrzuca, że dotąd tak mało mogła uczynić dla téj sierotki, a to przecież dziecię rodzonego jéj brata, ostatnia latorośl starego rodu.

Kasia wytężyła słuch i oddech powstrzymała w piersi, teraz to już o niéj była mowa.

— Czy widywałeś często to dziecko drogi przyjacielu? — pytał pułkownik — co sądzisz o niéj?

— Roztropna bardzo dziewczyna i moja młodzież pokochała ją szczerze, aleśmy jéj nie mogli często widywać, a w końcu nawet stosunki przerwały się zupełnie; nie zasłużyliśmy widocznie na zaufanie lady Barbary.

— Dziwna rzecz — mówił pułkownik i umilkł na chwilę, a potém mówił daléj — Ja sądziłem, że dawne uprzedzenia, których moja żona nie podzielała nigdy, ustały zupełnie i że lady Barbara przywiąże się do téj sierotki, wziąwszy ją pod swoją opiekę. Tymczasem spostrzegłem, że jéj wyraźnie niechęć okazuje, biedne dziecko musi być prześladowane i gnębione. Czy uwierzysz naprzykład, że ta dziewczynka jest strzeżona na każdym kroku, jak więzień stanu. To jest oburzające.

Tego już było zanadto, sumienie Kasi nie pozwoliło jéj słuchać téj rozmowy; wyskoczyła jak z procy ze swojego kącika i ku wielkiemu zdziwieniu obu panów stanęła nagle przed nimi cała rozogniona i ze łzami w oczach.

— Nie, nie wujaszku — wołała dziewczynka — nie trzeba winić cioci Barbary, ona nie czyni tego przez niechęć, ja nie zasłużyłam na zaufanie, uciekłam bez pozwolenia...

Ciotka Barbara chciała to ukryć przed całym światem, bo mówiła, że wujaszek i ciocia Emilia straciliby serce dla mnie, gdyby się o tém dowiedzieli, a lord Power nie pozwoliłby mi nigdy zbliżyć się do swoich córek — I mówiąc to zakryła sobie oczy, a ciche, urywane szlochanie wyrwało się z jéj piersi. Lecz w tejże saméj chwili uczuła się w objęciu pułkownika, który ją podniósł i posadził na kolanach.

— Jakżeś ty mogła uwierzyć, dzieweczko, że ciotka Emilia straci serce dla ciebie? — mówił głosem serdecznym tkliwym prawie — Powiedz mi całą prawdę, jak to było, a może wolisz poczekać na ciocię?

— Nie, nie, powiem wszystko wujaszkowi. A jak to dobrze, że tu jest lord Power, bo wolę, żeby wiedział całą prawdę, choćby miał zabronić córkom widywać się ze mną. Jabym się nie odważyła przemówić do nich z tą myślą, że oszukuję ich rodziców.

— Ależ moje dziecko — rzekł pułkownik — cóż ty mogłaś tak okropnego zrobić?

— Uciekłam do domu... to jest do Oldborga, do ojczulka... nie, do wujaszka Wardora.

— I cóż cię skłoniło do tego? Uspokój się moje dziecię, mów śmiało wszystko.

— Rozgniewałam się na ciotkę Barbarę, bo mi kazała napisać w liście nieprawdę. O, ja wiem teraz, bo mi to wujaszek Wardor wytłómaczył, że źle bardzo zrobiłam, powinnam była być cierpliwą, bez uniesienia prosić cioci, aby mię uwolniła od tego. Byłabym ją z pewnością ubłagała, ale ja się zniecierpliwiłam i... pojechałam sama jedna, bez wiedzy niczyjéj na dworzec kolei, kupiłam bilet i odjechałam. Wujaszku ja doprawdy nie wiedziałam, że to taka wielka była wina. Myślałam, że wujaszek Wardor mnie przyjmie i będę tam szczęśliwa i swobodna.

I Kasia znowu ukryła twarz w dłoniach, tak była zawstydzona tém wyznaniem, że nie śmiała w oczy spojrzeć ani wujowi, ani lordowi; możecie sobie wyobrazić jéj zdumienie, gdy usłyszała te słowa wymówione półgłosem:

— Jabym tygodnia nie wytrzymał z ciocią Barbarą, uciekłbym na drugi dzień,

— No no, cicho, któż widział młodzież buntować — odezwał się głos pułkownika, a gdyby Kasia była w téj chwili podniosła oczy, byłaby spostrzegła pierwszy cień uśmiechu, który ten żart lorda Powera wywołał na smutnéj twarzy jéj wuja.

— A ty dzieweczko nie słuchaj tego pana, bo to wielkie nic dobrego — dodał pułkownik i groźne wąsy z ojcowską czułością dotknęły zarumienionéj twarzyczki. Ani się spodziewała na początku téj rozmowy, że wszystko tak dobrze skończy. Po chwili milczenia pułkownik rzekł znowu:

— Wszystko to zapewne stało się dla tego, żeś nie mogła przywiązać się do ciotki Barbary, nieprawdaż? Jak sądzisz Kasieńko, czy pokochałabyś ciocię Emilię, gdybyś zamieszkała u niéj? Ja wiem, że ona ciebie kocha, gdybyś tylko chciała, mogłabyś się stać pociechą dla niéj, a ja byłbym ci bardzo, bardzo wdzięczny za to. Cóż ty na to dzieweczko?

— O, wujaszku — zawołała Kasia i ze zwykłą sobie żywością zarzuciła ramiona na szyję pułkownika, którego się tak obawiała przed chwilą — ja już teraz kocham ciocię Emilię i byłabym taka szczęśliwa, gdybym mogła przynieść choć trochę pociechy cioci i... i... wujaszkowi — Niespodziewana dobroć tego ponurego wuja tak pochwyciła za serce dziewczynkę, że w téj chwili droższym jéj był nawet od téj cioci, która ją tak ujęła słodyczą swoją.

On nic nie odpowiedział, tylko westchnął głęboko; zapewne pomyślał, że nic już w życiu nie zdoła go pocieszyć po stracie ukochanego syna. A w sercu Kasi westchnienie to zbudziło gorętszą jeszcze żądzę zasłużenia na miłość wuja i postanowiła wszystko uczynić, co tylko było w jéj mocy dla dopięcia tego celu.

XVI.

Zmiana w losach księżniczki.

Nic ważnego nie zaszło przez resztę wieczoru. Mistress Hardly spóźniła się trochę na obiad, ale nikt tego nie spostrzegł nawet, a gdy Kasia zasiadła do stołu pomiędzy ciocią Emilią a pułkownikiem, czuła się tak swobodna i szczęśliwą, jak gdyby była w Oldburgu, w domu ukochanego ojczulka Wardora. Starsi rozmawiali pomiędzy sobą, nie zajmując się nią zbytecznie, często jednak zwracano się do niéj z jakiemś uprzejmem słówkiem, nie traktowano jéj wcale jak gościa, ale jak domową, a jéj z tém bardzo było dobrze.

Pułkownik parę razy w czasie obiadu przemówił do Kasi, a chociaż twarz jego zawsze była poważna i smutna, jednak, gdy mówił do niéj, głos stawał się miękki, prawie czuły. Sprawiało to wielką przyjemność naszéj księżniczce, a i pułkownikowa patrzała z widoczném zadowoleniem na męża, gdy ten pieszczotliwie położył rękę na ramieniu dziewczynki, dolewając jéj wina czerwonego do wody.

Po obiedzie i czarnéj kawie wszyscy zasiedli przy kominku, mistress Hardly, która od lat wielu nie widziała krewnego swego, lorda Powera, rozmawiała z nim o dawnych czasach, o wspólnych znajomych, a wszystkie te przedmioty wiązały się ze wspomnieniami o utraconych dzieciach; biedna matka nie unikała wcale wzmianki o nich, przeciwnie, miała ciągle na ustach ich imiona; żal jéj zanadto był głęboki, aby mogła zapomniéć o nim choć na jedną chwilę, nie rozczulała się więc na nowo mówiąc o dzieciach, nie zalewała się łzami, bo ona myślała o nich nieustannie, a boleścią swoją nie chciała innych zasmucać.

Kasia nie należała do téj rozmowy, ale nie usunęła się do osobnego kącika, nie przyszło jéj na myśl, żeby mogła komu przeszkadzać, więc postawiła sobie nizki stołeczek

obok fotelu pułkownika i oparła główkę na jego kolanach, spoglądając na rozżarzone węgle. Pułkownik milczał, wzrok jego błądził także wśród blasków płonącego ogniska, a ręka od czasu do czasu bezmyślnie dotykała warkoczy lub ramion dziewczynki i wtenczas spoglądał na nią, a twarz jego pogodniejszy przybierała wyraz.

Kasia niemiłego bardzo doznała wrażenia, gdy wszedł służący i oznajmił, że przybyła kareta księżniczki. Pułkownik wstał natychmiast, a żona jego zabrała Kasię do swego pokoju, ażeby jéj włożyć płaszczyk i kapelusz. Gdy ją ubrała, wzięła dziewczynkę w objęcia i rzekła z czułością:

— Kasieńko droga, tyś podobno zdobyła już serce wujaszka; o, gdyby on mógł ciebie pokochać, gdybyś ty się stała pociechą jego, jakżebym cię błogosławiła dzieweczko miła.

I Kasia uczuła łzy jéj gorące na swéj twarzy, a niewymowna jakaś radość zalała jéj serce. Niedawno wujaszek powiedział jéj prawie toż samo; więc ona w rzeczy saméj mogła być pociechą dla nich obojga, ona, którą ciotka Barbara uważała za ciężar nieznośny, za plagę prawdziwą w domu.

Pułkownik czekał na nią u drzwi salonu, lord Power pożegnał ją serdecznie, przyrzekł pozdrowić od niéj swoje córeczki, a nasza księżniczka dopiéro usiadłszy z wujaszkiem w karecie przypomniała sobie, że powraca do ciotki Barbary i ciche westchnienie wyrwało się z jéj piersi.

— Czy chcesz, żebym dziś jeszcze pomówił z ciotką Barbarą? — rzekł pułkownik, jakgdyby myśli jéj odgadywał — radbym, ażebyś się jaknajprędzéj do nas przeniosła; cóż ty na to Kasiu?

— O, wujaszku, jak najprędzéj, jak najprędzéj — mówiła dziewczynka, tuląc się do niego.

Powóz potoczył się szybko i po chwili Kasia wchodziła z wujem do salonu ciotki Barbary, która ich powitała niespokojném zapytaniem:

Życzenie to jednogłośnie było potwierdzone, a wuj Filip tak daléj mówił:

— Niewiele sobie przypominam szczegółów téj podróży, oprócz tego jednego, że matka chciała mnie koniecznie umieścić pomiędzy kobietami, pod szczególną opieką służącéj, posługującéj damom, lecz ja sprzeciwiłem się temu z najwyższém oburzeniem. Byłoby to w rzeczy saméj straszne upokorzenie dla chłopaka w moim wieku; miałem już wówczas lat trzynaście. Matka jednak uważała mnie zawsze za małe dziecko. nie mogące w niczém dać sobie rady. Sprawa zakończyła się z zadowoleniem mojém, umieszczono mnie między mężczyznami. Następnie rozpoczęły się dla mnie najokropniejsze męczarnie pierwszéj morskiéj żeglugi. Przez trzy dni doświadczałem nieustannych nudności, nic jeść nie mogłem, leżałem nieprzytomny prawie w swoim kąciku, narzekając w duszy na ciężkie losy, które mnie wygnały z rodzinnego ogniska.

Nakoniec lżéj mi się trochę zrobiło, zacząłem więc nad tém przemyśliwać, jakby się dowiedzieć od towarzyszów podróży, w jakiej części świata znajdował się nasz statek, gdyż dręczyła mię obawa niemała, czy téż nie dostaliśmy się przez ten czas przynajmniéj na sam środek Atlantyku. Bo téż w tych czasach, jakkolwiek przemyśliwałem często nad bohaterstwem i bohaterami, sam byłem chłopakiem bardzo bojaźliwym.

— O wujaszku! — odezwało się pare zdziwionych głosów, a nawet trochę zgorszonych. Ale wuj Filip powtórzył dobitniéj jeszcze, że tak było, nieinaczéj. Zdawał się nawet tém pysznić, iż siłą woli przekształcił do tego stopnia wrodzone usposobienie.

— Późnym wieczorem — mówił daléj — wysunąłem się na pokład i zbliżyłem się nieśmiało do sternika. Nic nie mogłem dojrzeć wśród zmroku, tém bardziéj, że mgła gęsta zaległa w powietrzu. Zdawało się, że statek przeciska się przez chmurę i ulatuje w obłoki. Przypuszczałem, że mo-

gliśmy już być niedaleko od wybrzeży amerykańskich, czas przebyty na statku wydawał mi się tak nieskończenie długi. Zimno też było, chociaż wypłynęliśmy na morze wśród lata; zacząłem więc myśleć, żeśmy już może dotarli aż do koła biegunowego, a więc może lada chwila spotkamy pływające góry lodowe, jak o tém czytałem właśnie niedawno w jakimś opisie podróży. Geograficzne moje wiadomości, a nawet wszelkie pojęcia w ogóle, były w téj chwili troszkę poplątane i niejasne. Ale też trzeba wiedzieć, że wychowanie moje było nieco zaniedbane, dotąd nie byłem w żadnéj szkole, a w domu nie wiele się uczyłem pomiędzy dziewczętami, bez żadnéj emulacyi, bo nie miałem ani brata, ani towarzyszów swojego wieku, Dodajmy do tego, że przez trzy dni cierpiałem na morską chorobę, co także nie mogło się przyczynić do rozjaśnienia moich pojęć.

Nie mogłem sobie z głowy wybić tych gór lodowych, a gdy po chwili mgła się trochę rozeszła, widok, który się oczom moim przedstawił, potwierdził moje obawy. Coś ogromnego, szarego, zamglonego, wynurzało się z wody i zdawało się płynąć prosto na nas, a wzrok mój przerażony nie mógł w żaden sposób rozróżnić tego przedmiotu. Spojrzałem na sternika, ale on nie okazywał najmniejszéj obawy, stał najspokojniéj na stanowisku, widziałem najdokładniéj przy świetle okrętowéj latarni twarz jego ogorzałą, silne ramiona i kark potężny, na którym się rozkładał kołnierz marynarski. Postać tego człowieka przez czas długi potém prześladowała mnie, jak zmora. Ile razy przebrałem miarę przy wieczerzy, jak to się czasem chłopcom zdarza, czego się im wcale nie chwali, zaraz mi się zjawiał we śnie ten sternik, prowadzący mnie razem ze statkiem na olbrzymią górę lodową.

Spojrzałem tedy na sternika, potém na tą zamgloną masę, sterczącą nad powierzchnią morza, potém na pokład okrętowy, na którym oprócz nas dwóch nie było nikogo, nakoniec znów na sternika. Trwoga moja rosła wśród tych ciemności i ciszy panującéj do koła. Zebrałem wreszcie ca-

łą odwagę i przysuwając się bliziutko do niego, szepnąłem półgłosem:

— Proszę pana...

Ale sternik stał nieporuszony, jakby był z kamienia, nie zważał na mnie wcale. Prawdopodobnie nie widział mnie, ani słyszał, poczciwiec zanadto był zajęty swoim obowiązkiem. Ja zaś nie pojmowałem tego, że ten człowiek zapatrzony w morze, silną ręką poruszający ster, to w jedną, to w drugą stronę, kierował tym wielkim okrętem i czuwał nad bezpieczeństwem wszystkich pasażerów.

Na chwilę postać ta przybrała w moich oczach fantastyczne kształty, tém bardziéj, że niedawno czytałem poemat o tajemniczym statku, na którym widma marynarzy składały załogę okrętową. Na ten raz chciałem udawać zucha i postanowiłem bądź co bądź przekonać się, czy mam do czynienia z widmem lub marą. Zbliżyłem sie więc do sternika i śmiało chwyciłem go za rękaw. Okazało się, że to był rękaw rzeczywisty, a i ramię, które przyodziewał, było także niewątpliwie z krwi i kości, pociągnąłem więc raz i drugi, aż się obejrzał.

— Na bok! — odezwał się głos basowy i sternik widocznie zdumiony widokiem drobnéj istoty, która mu przeszkadzała w ważnych jego czynnościach, odepchnął mię lekko z taką miną, jakgdybym był jakimś małym mopsikiem, lubiącym wszędzie bez pozwolenia wścibiać nosa. Potém znowu powrócił do swojego steru.

Ale ja byłem z natury uparty, przytém obraziło mię trochę takie lekceważenie mojéj osoby, więc po raz drugi dotknąłem jego ramienia i głośniéj go zagadnąłem:

— Panie marynarzu...

— A co tam?

— Gdzie to my jesteśmy, panie marynarzu, proszę pana — zapytałem hardo — i co tam widać takiego ogromnego?

— Jesteśmy niedaleko przystani, a tam widać brzegi Szkocyi.

Wyrzekłszy to niezbyt uprzejmym tonem, odwrócił się i nie miałem już odwagi wyciągać go na rozmowę, a w duszy pomyślałem sobie, że to jakiś stary grubijanin. Późniéj dopiéro, gdym był starszy i rozsądniejszy, zrozumiałem, że to moje natręctwo było w téj chwili niewłaściwe. Nigdy bowiem nie należy przeszkadzać ludziom, którzy ster trzymają w swym ręku, czy to w znaczeniu dosłownem, czy w przenośném. Ster domu, ster rodziny lub młodzieży, jest zawsze ważném i trudném zadaniem. Pamiętajcież chłopcy, nie dręczcie nigdy drobnostkami rodziców, nauczycieli, opiekunów, kierowników waszych, stosujcie się zawsze w życiu do tego prawidła, które na każdym okręcie wypisane jest wielkiemi literami w najwidoczniejszém miejscu: „*Nie przeszkadzać sternikowi.*"

Usunąłem się z pomostu, poszedłem do swojego kącika i smacznie zasnąłem, pierwszy raz tak spokojnie i bez żadnych cierpień, od kiedy byłem na okręcie. Nie wyspałem się jednak do woli, zbudził mnie jakiś niezwykły hałas i świst pary, którą wypuszczano z kotła. Usłyszałem donośne wołanie; „Greenock! Greenock!" i przypomniałem sobie, że matka tak właśnie nazwała przystań, gdzie miał na mnie czekać mój stryjaszek. Zerwałem się szybko, zacząłem się ubierać i pakować swoje rzeczy, potém wybiegłem na pomost.

— Dziwna rzecz — mówił wuj Filip, jakby w nawiasie — że najdrobniejsze szczegóły téj podróży, pierwszéj ważniejszéj przygody mojego życia, wyryły się z taką dokładnością w méj pamięci. Wszystkie te wspomnienia stanęły tak żywo w méj wyobraźni... a jednak ileż to lat minęło od téj pory! Tém lepiéj dla was kochani słuchacze.

Jak już wspomniałem wyżéj, nigdy w życiu nie widziałem mojego stryja, niewiele nawet słyszałem o nim, zdaje się, że było dawniéj jakieś nieporozumienie pomiędzy nim, a moim ojcem; w téj chwili w pomieszaniu mojém zapomniałem nawet jego nazwiska, tém bardziej, że miało nawet brzmienie cudzoziemskie; stryj był Szkotém, nierodzonym

bratem mego ojca. Ciężkaż to była chwila w mojém życiu, gdy rozespany, drżący od zimna, przeciskałem się przez pomost wśród tłumu pasażerów i tragarzy. Była dopiéro czwarta godzina z rana, jeszcze się dobrze nie rozwidniło, wśród gwaru, hałasu, czułem się strasznie osamotniony, opuszczony, ani jednego znajomego nie miałem na statku i gdy usiadłem na wielkim zwoju sznurów, trzymając przy sobie tłómoczek, zaczęło mi się na płacz zbierać, byłbym wybuchnął, gdybym sobie w porę nie przypomniał, że dopuścić się czegoś podobnego w trzynastym roku życia w obec tylu świadków, byłoby hańbą niezmazaną.

A w tem wśród krzyków, nawoływań, ozwał się głos dźwięczny, miły, chociaż raził mię w nim odrębny, szkocki akcent. Nigdy nie zapomnę, jak niezwykłe wrażenie wywarł na mnie głos ten; tyle w nim było mocy, stanowczości, a zarazem słodyczy. W sercu mojém zbudziło się dziwne uczucie wielkiego poszanowania, lecz i ufności zarazem. Głos ten górował ponad hałasem panującym na pokładzie i usłyszałem wyraźnie te słowa:

— Czy tu niema pomiędzy pasażerami chłopca nazwskiem Filip Karwen?

Poskoczyłem z bijącém sercem i z radością serdeczną rzuciłem się w objęcia stryja. On mię uściskał po ojcowsku, nie było czasu na dłuższe czułości, stryjaszek wziął jedną ręką niewielki mój pakunek, drugą mnie podał i po chwili byliśmy już na brzegu.

Teraz dopiéro zacząłem się uważniéj przypatrywać mo, jemu towarzyszowi. Był to mężczyzna słusznego wzrostu rysów twarzy wyrazistych, ogorzały jak wieśniak; wiatr poranny rozwiewał na wszystkie strony długie jego włosy, już dobrze przypruszone siwizną. Z pierwszego wejrzenia stryjaszek wyglądał groźnie, zwłaszcza w oczach nieśmiałego chłopczyny, jakim byłem wówczas. Ale gdy zaczął mówić, w głosie jego, w uśmiechu było tyle dobroci, serdeczności, tak łagodnie na mnie spoglądał, że nabrałem odwagi.

— Podnieś głowę chłopcze, niech ci się przypatrzę.

I patrzał na mnie długo, uważnie, potém nagle się odwrócił. Późniéj dopiéro odgadłem jego myśli w téj chwili. Dawniéj kiedyś dwaj bracia przyrodni w młodzieńczéj popędliwości posprzeczali się z sobą i rozeszli się i nie spotkali się więcéj w życiu. Wszyscy utrzymywali, że byłem bardzo podobny do mego ojca. Widok mój musiał żałosne wspomnienie zbudzić w duszy stryja.

— Normanie! — zawołał stryjaszek, gdyśmy się zbliżyli do skromnéj gospody, a w téj chwili ukazał się na jéj progu chłopak mojego wzrostu, który poskoczył do nas na to wezwanie.

— Uściskajcie się chłopcy. Filipie, to jest brat twój stryjeczny, Norman Mak Hroy — to więc było dziwne nazwisko szkockie, które mi wyszło z pamięci — kochajcie się tak, jak ojcowie wasi niegdyś się kochali; a nie kłóćcie się, nigdy w życiu się nie kłóćcie, dzieci!

Mówiąc to stryjaszek szybko się oddalił i zostawił nas obu razem przed gospodą. Spojrzałem z wielką ciekawością na mego stryjecznego braciszka; nigdy nie zapomnę tego pierwszego wrażenia.

Był to chłopak szczupły, delikatny i niezbyt piękny (ja uchodziłem powszechnie za przystojnego i wiedziałem o tém). Rysy jego przedstawiały najczystszy typ szkocki, policzki miał wydatne, brodę śpiczastą, a włosy tak jasne, że w szkole londyńskiéj byliby go koledzy z pewnością przezwali marchewką, chociaż bujne te kędziory nie były wcale żółtego koloru marchwi, były raczéj płowe, ale z jakimś ciepłym słonecznym odcieniem. Miał na sobie cały garnitur, to jest kurteczkę i spodnie z kratkowanego materyału, który mi przypominał ciepły szal mojéj matki w kraty czarne z białém, a na głowie czapkę dziwnego kształtu bez daszka. Dowiedziałem się późniéj, że to była narodowa szkocka czapeczka.

Staliśmy więc naprzeciwko siebie, podejrzliwie nieco spoglądając jeden na drugiego, Anglik na Szkota, a Szkot na Anglika, aż w końcu obu nam razem przyszło do głowy,

żeśmy musieli bardzo zabawnie wyglądać w téj chwili i jednomyślném wiedzeni uczuciem, obaj parsknęliśmy śmiechem.

— A to paradne, braciszku — rzekł Norman — teraz już pewny jestem, że się pokochamy.

Nie sądźcie jednak, żeśmy sobie zaraz zaprzysięgli wieczną przyjaźń, chłopcy w ogóle nie są skłonni do takich objawów czułości, ale zaczęliśmy poufale rozmawiać, a gdy nadszedł stryj, zastał nas siedzących obok siebie na ławeczce przed gospodą. Opowiadałem Normanowi wszystkie szczegóły méj podróży, on zaś w zamian udzielał mi ciekawych wiadomości o szkockiéj krainie, którą teraz oglądać miałem.

Zauważyłem, że i on, tak samo jak jego ojciec, miał dziwny sposób mówienia, przeciągał zgłoski wyrazów, jakby śpiewając. Zrazu nie mogłem zrozumieć téj mowy i wydawała mi się śmieszną, zrozumiałem jednak, że to jest poprostu akcent szkocki i pyszniłem się w duszy wyższością mojej czysto londyńskiéj angielszczyzny.

— No, chłopcy, co tam porabiacie? — rzekł stryjaszek i wyjmując zegarek z kieszeni dodał:

— Dopiero piąta godzina, najpierwszy statek rzeczny, którym mamy odpłynąć do domu, wychodzi ztąd o ósméj; mamy więc jeszcze trzy godziny przed sobą. Czy chcesz co przejeść Filipie, czy poczekasz na śniadanie, które tam stryjenka dla nas przygotuje?

Nie byłem wprawdzie bardzo głodny, ale nie miałem nic przeciw takiéj przekąsce, stryjaszek musiał to z moich oczu wyczytać i rzekł:

— Chodźcie chłopcy, usiądziemy sobie tam nad rzeką, na téj wielkiéj kłodzie. Ja tu mam z sobą podróżne zapasy, posilicie się i spojrzycie na świat Boży; ztamtąd roztacza się bardzo piękny widok.

Mówiąc to stryj wydobył z kieszeni parę placków, dał jeden mnie, drugi Normanowi i poszliśmy wolnym krokiem na brzeg rzeki. Cudnyż to był widok w rzeczy saméj. Z jednéj strony bezbrzeżne morze, z drugiéj sina wstęga rzeki, wijąca się w głębokiéj kotlinie, a daléj pasmo gór wyniosłych,

Nigdy nie zapomnę tego pięknego poranku. Pierwszy raz w życiu widziałem wschodzące słońce, gdyż zwyczajnie, jak każdy pieszczony jedynak, lubiłem długo wylegiwać się w łóżku. Nie miałem więc wyobrażenia, jak wygląda świat Boży o godzinie czwartéj lub piątéj zrana i zachwycił mię ten wspaniały szkocki krajobraz. Zdaje mi się, że widzę tę cichą, samotną przystań, okręty kołyszące się na morzu, jakgdyby drzemały wśród ciszy, lekkie obłoczki różowe i złociste rozwieszone na wschodzie, wzgórza oddalone, ciemną zielenią pokryte, a w dole rzekę przejrzystą, w któréj odbijały się i mieniły przeróżne barwy otaczających przedmiotów. Nigdy już potém żaden widok nie wydał mi się tak zachwycającym, chociaż tyle ich w życiu widziałem. Od téj pory nawykłem wstawać wcześnie.

Norman starał się mnie zabawić i na ciężkie próby wystawiał geograficzne moje wiadomości, opisując mi swoją ziemię rodzinną. Wyliczał mi nazwy gór, wspominał o najwyższych szczytach, których ztąd dojrzeć nie było można, a które, jak mówił i ja przecież musiałem znać z nazwiska. Przypomniałem sobie wszystko, czego kiedykolwiek uczyłem się o górach, ażeby i nie skłamać i nie wstydzić się przed stryjecznym bratem. Do niektórych okolic przywiązane były podania historyczne, te najlepiéj mi były znane, bo niedawno czytałem z wielkim zapałem powieści Walter-Scotta.

— O tak, wiem, to był wielki bohater — rzekłem, gdy wspomniał nazwisko jakiegoś wodza szkockiego, którego ballady opiewają, a gdym wymawiał ten wyraz *bohater*, naraz przypomniałem sobie, co mi matka mówiła przed wyjazdem, że jeden z moich stryjecznych braci uchodził za prawdziwego bohatera. Nie mógł to być przecież Norman, taki mały, szczupły, spokojny chłopak, w kratkowanym garniturku. Bohater, przynajmniéj w mojém przekonaniu, nie powinien był tak wyglądać.

— Ilu masz braci? — zapytałem.

— Jest nas pięciu, ja jestem najstarszy.

— Tyś najstarszy! — zawołałem ze zdziwieniem i lekkiem rozczarowaniem, bo zaczynałem tracić już nadzieję napotkania wymarzonego bohatera pomiędzy synami mego stryja — A reszta wszystko dziatwa?

— Nie koniecznie — odparł Norman z uśmiechem — ja wyglądam młodszy niż jestem w rzeczywistości, z powodu niewielkiego mego wzrostu. Brat mój Hektor przerósł mnie znacznie, chociaż o rok jestem starszy od niego.

A więc to ten być musiał! Tak, niewątpliwie, bohaterem był Hektor, imiennik wielkiego obrońcy Troi! Dzieje te były mi dobrze znane, niedawno bowiem przechodziłem już drugą księgę Eneidy. To co innego, teraz zrozumiałem, że matka musiała mieć na myśli owego Hektora, wspominając o tym nieznanym bohaterze. Możecie sobie wyobrazić, jak niecierpliwie wyglądałem chwili, gdy go obaczę nareszcie na własne oczy.

Oczekiwanie to tak mnie całkowicie zajęło, że o niczém inném nie myślałem i dla tego téż nie pamiętam już zupełnie dalszych zdarzeń, wiem tylko, że mały statek parowy przewiózł nas bardzo prędko do miejsca zamieszkania rodziny mego stryja, żeśmy wysiedli na brzeg wysoki i stromy, na który z wielkim utrudzeniem wstępowałem. Stanęliśmy w końcu u drzwi domu stryjaszka.

Wprowadzono mię odrazu do jadalnego pokoju, gdzie siedziała u stołu nakrytego do śniadania stryjenka. Obaczywszy nas, wstała i uściskała nas czule, wydała mi się dobrą i miłą, ale nie bardzo jej się przypatrywałem, z upragnieniem czekałem na ukazanie się bohatera. W pokoju było tylko trzech małych chłopczyków, prawdziwych dzieciaków, aż mi się lżéj zrobiło, gdy stryj mój zapytał:

— Gdzie jest Hektor?

— Hektor w łóżku, on taki leniuch — rzekł któryś z malców.

— Hektor zmęczył się wczoraj — odezwał się Normam

— wiosłował prawie przez cały czas, gdyśmy się łódką wozili.

— Miał przecież czas odpocząć — rzekł stryj, marszcząc czoło — pójdźcie mi go zaraz rozbudzić, a ty, Filipie, idź, pomóż chłopcom wyciągnąć go z łóżka.

I znów mię mimowoli ogarnęło lekkie rozczarowanie; żal się Boże takiego bohatera.

Hektor był to chłopak dużego wzrostu, daleko większy od Normana, przystojniejszy także, chociaż w piewszéj chwili, gdy go ujrzałem rozespanego, przeciągającego się niedbale w łóżku, nie wyglądał zbyt korzystnie, ani bohatersko. Ale gdy się umył i ubrał, daleko lepiéj mi się wydał, a nawet mię za serce pochwycil, taki miał ujmujący wyraz twarzy, głos taki dźwięczny, miły i serdeczny. Zacząłem też z coraz większém poszanowaniem na niego spoglądać, a chociaż nie miał na sobie zbroi, ani tarczy, lecz przyszedł na śniadanie w kratkowanym garniturku, takim zupełnie, jak Normana, powróciłem przecież znowu do przekonania, że on chyba musiał być owym domniemanym bohaterem.

Na młodszych styjecznych braciszków spoglądałem z góry, zwyczajnie jak na małe dzieci. Była tam także i dziewczynka.

Tu wuj Filip umilkł i po chwili dopiéro mówił daléj:

Najstarsi z pomiędzy was pamiętają zapewne ciocię Gracyą, która spędziła kiedyś całe lato u waszéj babci, a potém umarła, siedm lat temu, przed moim wyjazdem do Indyj.

Chłopcy spojrzeli na siebie i spoważnieli nagle. Doszło bowiem do ich uszu, że ta młoda ich ciocia miała być żoną wuja Filipa, który po jéj śmierci dotąd pocieszyć się nie mógł i postanowił zostać starym kawalerem. Po téj krótkiéj przerwie wuj mówił dalej:

Norman wniósł na ręku małą siostrzyczkę, bo była wówczas chora na nożki i nie mogła chodzić sama. Gracya była od dzieciństwa bardzo wątła i chorowita, ale tak wdzięcznie się uśmiechała, tak mile dziękowała Normanowi, gdy

ją posadził ostrożnie u stołu, że nie znać było na niéj choroby. Była to jedna z tych istot, które umieją znosić cierpienia z taką słodyczą i cierpliwością, że patrząc na nie, przypominamy sobie aniołów.

Głos wuja Filipa, gdy wymawiał te słowa, stał się cichszy i dziwnie wzruszony; chciał opowiadać daléj siostrzeńcom o tém pierwszém śniadaniu w domu stryja, w Szkocyi, ale mu widocznie sił zabrakło, więc spojrzał na zegarek i mówiąc, że już pora iść spać, odłożył dalszy ciąg swojéj powieści do następnego wieczora.

II.

— Nie wyobrażajcie sobie, chłopcy — mówił wuj Filip — ażebym miał wam opowiadać z najdrobniejszemi szczegółami wszystko, cośmy dzień po dniu porabiali w domu mojego stryja, ja i bracia moi stryjeczni. Byłoby to najpierw niepodobne do spamiętania, a potém niezbyt zajmujące. Gdy myślą przebiegamy młode nasze lata, stają nam w pamięci niektóre tylko zdarzenia, pewne ważniejsze dni, godziny, lub chwile, i te widzimy wyraźnie oczyma wyobraźni, jak owe cząstki krajobrazu, które nam się ukazują w szkle teleskopu z największą dokładnością, chociaż po za ich granicami nic już dojrzeć nie możemy.

Tak więc i ja opisać wam mogę pewne ustępy z mego życia w wioseczce Dunoon, które silniejsze na mnie wywarły wrażenie, resztę dopowiedźcie sobie sami, z pomocą własnéj wyobraźni.

A najpierw przypominam sobie dobrze pierwszy wieczór po mojém przybyciu, dzień bowiem prawie cały przespałem, gdyż troskliwa o moje zdrowie stryjenka zaraz po śniadaniu zapakowała mnie do łóżka. Wypocząwszy więc należycie, przed wieczorem dopiéro wstałem i spoglądałem przez okno na rzekę wspaniałą, którą ztąd doskonale było widać. W rodzinnéj mojéj wiosce był tylko niewielkl stru-

myk, a ja po raz piérwszy w życiu zakosztowałem żeglugi, gdy puściłem się w podróż do Szkocyi. Ach, nieszczęsna ta żegluga bardzo niemiłe pozostawiła mi wspomnienia. Powiedziałem nawet Normanowi, że sam widok wody dostatecznym był, ażeby mi humor popsuć Zmieniłem jednak zdanie, gdym spojrzał na piękną rzekę Klydę.

Norman stał przy mnie, wskazywał mi pasmo gór oddalonych, które nakształt ciemnych obłoków rysowały sie na widnokręgu i wyliczał nazwy znaczniejszych szczytów.

— Nie łatwa to sprawa dostać się na wierzchołek takiéj wysokiéj góry — mówił mój stryjeczny braciszek — ale ojciec powiada, że moglibyśmy juz poprobować i przyrzekł pójść z nami niezadługo na górę Goatfell. Widzisz ją ztąd, jest to wysoka skała granitowa. Czy chodziłeś kiedy na góry, Filipie?

Wyznałem ze wstydem. że do dnia dzisiejszego gór nawet nie widziałem; dodałem téż zaraz, że widok ten mnie rozczarował.

— Zupełnie inaczéj wyobrażałem sobie góry — rzekłem — sądziłem, że są daleko większe, a jakieś dzikie i straszne. Ale te wzgórza, które ztąd widać, to wcale nic osobliwego, jabym zaraz wyszedł na sam szczyt każdéj z nich, bez najmniejszéj trudności.

— Tak sądzisz, mój chłopcze? — odezwał się styjaszek, który się zbliżył do nas niepostrzeżenie — nie dziwię ci się wcale, wszyscy za młodu mamy podobne wyobrażenia o życiu i świecie. Roimy o nadzwyczajnych jakichś górach, a potém widzimy w nich tylko pagórki, lecz gdy wstąpić na nie chcemy, spostrzegamy, że to są jednak góry prawdziwe. Ba, jak ci lat trochę przybędzie, Filipie, inaczéj na świat patrzeć będziesz.

Nie zrozumiałem wówczas znaczenia tych słów stryja, ale je sobie wytłómaczyłem późniéj.

Przerwało nam w téj chwili donośne wołanie Hektora, który był na dole w ogrodzie.

— Do wioseł! Normanie, Filipie, prędzéj, do wioseł!

— Czy umiesz robić wiosłem? — zapytał mię Norman.

Musiałem wyznać, że nigdy w życiu wiosła nie miałem w ręku, a łódki widywałem wprawdzie nieraz, ale tylko z daleka. Upokarzające to wyznanie uczyniłem w obec Hektora, gdyż na wezwanie jego zbiegliśmy obaj z Normanem na dół; wesoły chłopak wybuchnął szalonym śmiechem, chociaż brat starszy go powstrzymywał, tłómacząc, że byłem jedynakiem i wychowanym przez matkę. Po chwili jednak, gdy obaj chłopcy, zabrawszy mnie z sobą, wskoczyli do łódki i zręcznie nią kierowali, wymijając sterczące wśród rzeki skały, nie zważając na fale, które wiatr gwałtownie podnosił ku wielkiemu mojemu przerażeniu, patrzałem na nich, i zacząłem podejrzywać, że wychowanie moje, pod względem ćwiczeń właściwych dla chłopca mojego wieku, było bardzo zaniedbane.*)

W domu, obok siostrzyczek, uchodziłem za dzielnego chłopaka i niezłe o sobie miałem wyobrażenie, lecz tu, przy stryjecznych braciach, wyglądałem na dzieciaka. Siedziałem cichutko w łódce, spoglądając na nich z uwielbieniem i zazdroszcząc im trochę w duszy.

— Woda jest dziś trochę niespokojna — mówił Norman.

— Ale dajże pokój, co tam na to uważać — odrzekł Hektor — płyńmy daléj, a żwawo, ot tak, żeby się łódka dobrze kołysała, to najprzyjemniéj — a mówiąc to, pochylał się nad wiosłem i z całéj siły pośpieszał, łódka zaczęła tańczyć po wodzie i podskakiwać.

— Hektorze, ostrożnie! — zawołał Norman.

— Co to ostrożnie, ja nie jestem takim jak ty...

Jestem pewny, że chciał powiedzieć tchórzem, ale się

---

*) Anglicy, którzy są narodem żeglarzy, dbają o to niezmiernie, aby młodzież oswajała się zawczasu z wodnym żywiołem. Każdy młodzieniec musi się uczyć robić wiosłami, tak samo, jak jeździć konno, strzelać do celu, gimnastykować się i fechtować.

nagle powstrzymał, a Norman powtórzył cicho, lecz dobitnie;

— Hektorze, ostrożnie.

I ku wielkiemu mojemu zdziwieniu, Hektor usłuchał tym razem i zaczął wolniéj robić wiosłem. A jednak, chociaż wyznaję, że struchlałem, gdy łódka gwałtownie się zakołysała na wodzie, z większem daleko uwielbieniem patrzałem w téj chwili na nieustraszonego Hektora, aniżeli na rozważnego jego brata. Ani wątp łem teraz, że to on musiał być bohaterem.

Tak żeglowaliśmy wesoło, a ja coraz więcéj zazdrościłem stryjecznym moim braciom umiejętności robienia wiosłami; chłopcy w tym wieku zwykle bardzo wysoko cenią siłę fizyczną i zręczność. Wiem, że w szkołach więcéj miałem poważania dla kolegów, którym nie mogłem dorównać w ćwiczeniach tego rodzaju, aniżeli dla tych, którzy mnie prześcigali w nauce. Obecnie zmieniłem przekonanie pod tym względem.

— Filipku, możebyś wiosłował na mojém miejscu? — zawołał Hektor, zapewne chcąc sobie pożartować ze mnie.

Miałem wielką ochotę spróbować, przypatrywałem się uważnie, jak obaj chłopcy trzymali wiosła i zdawało mi się, że możebym i ja to potrafił, ale nie miałem odwagi; szczególnie obawiałem się, aby się nie śmiano ze mnie, a wyczytałem z oczu Hektora, że pewnieby mnie nie pożałował.

— Chciałbym bardzo nauczyć się robić wiosłem — rzekłem nieśmiało — ale...

— Ale się boisz, nieprawdaż? I nie dziwię ci się wcale, biedny chłopczyno — odparł Hektor z tym wyrazem dumy i wyższości, z którym zazwyczaj siłacze traktują malców daleko słabszych od siebie. Mocno tém byłem urażony, ale nic nie odpowiedziałem, a on tymczasem rozmawiał z bratem wesoło, nie zważając wcale na moję kwaśną minę; zwrócił się potém i do mnie, jakgdyby zapomniał o wszystkiém, a taki był dowcipny i miły, że nie mogłem mieć żalu do niego.

Łódka wpłynęła do małéj zatoki, gdzie woda była znacznie spokojniejsza.

— A teraz — rzekł Norman, zwracając się do mnie — przysuń się tu, Filipku, ja ci pokażę, jak się robi wiosłem. Musimy z ciebie zrobić porządnego żeglarza co się zowie, nim odjedziesz do domu. Na, masz wiosło, uważajże dobrze.

Zachwyciła mnie ta uprzejmość poczciwego chłopca, przysunąłam się żwawo do niego i zabrałem się ochoczo do dzieła, nie zważając na pogardliwe wzruszenie ramionami Hektora. Śmiało pochwyciłem za wiosło, bo mi się zdawało, że się dobrze przypatrzyłem, jak się z niém obaj chłopcy obchodzili i... nie lepiéj mi się udało, jak każdemu wioślarzowi, gdy po raz pierwszy rozpoczyna naukę swego rzemiosła, choćby miał być późniéj najdoskonalszym marynarzem. Tłukłem wiosłem o czółno, nabiłem sobie guza na skroni, oblałem się wodą, jedném słowém, wyglądałem, jak ostatni niezgrabiarz, a moi towarzysze, patrząc na mnie, pokładali się od śmiechu, bo i Norman nie mógł się powstrzymać. Lecz gdy spostrzegł łzy w moich oczach, bo muszę wyznać, że miałem dużo miłości własnéj, natychmiast przestał się śmiać.

— Tylko się nie zrażaj — rzekł tym swoim poczciwym, serdecznym głosem — widzę, że masz dobre zacięcie, będziesz doskonale wiosłował z czasem, ale śpieszysz się zanadto; powoli, braciszku, powoli, z zimną krwią.

Wziął sam wiosło do ręki, pokazał mi raz i drugi, jak trzeba było robić, a ja przekonałem się, że i w tém, tak samo, jak w wielu innych sprawach, pośpiech więcéj szkody przynosi, niż korzyści. Zaczynałem pojmować, na czém zależała ta sztuka, starałem się naśladować go we wszystkiém i szło mi coraz lepiéj.

— Ależ to nudna rzecz, po co mamy darmo czas tracić — mruknął parę razy Hektor niechętnie, ale brat nie zważał na to i wiosłowaliśmy daléj na przemiany.

Nieraz w późniejszém życiu doznawałem różnych przy-

jemnych wzruszeń, nie brakło mi nawet prawdziwych tryumfów, które pochlebiały bardzo mojéj miłości własnéj, lecz nie pamiętam, abym kiedykolwiek uczuł się tak dumnym, jak w chwili, gdym po raz pierwszy zaczął naprawdę wiosłować. Dziwne to było uczucie zwycięztwa, samodzielności, siły, uczucie prawdziwie rozkoszne. Aleksander Macedoński, po opanowaniu połowy świata, nie był pewnie dumniejszy i szczęśliwszy odemnie, gdym opanował fale Klydy, gdym sobie poymślał, że ta wspaniała rzeka jest w mojéj mocy, bylem miał tylko małe czółenko i wiosło w ręku.

Wiele zawdzięczam w życiu mojemu bratu stryjecznemu, Normanowi — mówił z uśmiechem wuj Filip — niemałe mi téż wyświadczył dobrodziejstwo, wyuczając mię robić wiosłem. Od téj pory było to dla mnie zawsze i jest dotąd najprzyjemniejszą rozrywką. Wierzajcie mi, dzieci, nigdy nie czuję się tak swobodnym, tak wolnym od wszelkiéj troski, jak wtedy, gdy bujam sobie w łódce po szerokiéj wodzie, patrzę na fale srebrzyste, pluskające dokoła i na błękit nieba, który się w nich przegląda, gdy na tych falach pomykam z chyżością ptaka.

W tém miejscu kapitan Karwen odetchnął głęboko z uczuciem wewnętrznego zadowolenia, a po krótkiéj przerwie, tak dalej mówił:

— Od téj pory takem się rozmiłował w wodzie, że stryj przezwał mię stworzeniem ziemnowodném. W pierwszym liście, pisanym do domu, takie cuda rozpowiadałém o moich świetnych żeglarskich powodzeniach, że matka musiała się zatrwożyć wielce o bezpieczeństwo swojego jedynaka. Nie zapominajcie, że to się działo przed wynalezieniem marek pocztowych, więc niezbyt często przesyłałem jéj te przerażające wieści.

Prowadziliśmy życie bardzo wesołe i swobodne w domu mego stryja; zapomniałem wam powiedzieć, że to była pora wakacyj, a rodzina stryjaszka spędzała je na letniém mieszkaniu; stałém miejscem jéj pobytu, było miasto Glasgow, gdzie stryj miał posadę nauczyciela.

Był to człowiek uczony i rozumny, zawsze powtarzał, że praca powinna być pracą, a zabawa zabawą, to też w czasie wakacyj dawał swoim chłopcom najzupełniejszą swobodę, a nawet sam czasem bawił się z nimi, jak gdyby sam był małym chłopakiem. Prawda, że to się nie zdarzało zbyt często, a zawsze przytém umiał zachować należytą powagę i znać było w nim władzcę pewnego siebie, który z lekka tylko, kiedyniekiedy odstępuje od zwykłego rygoru, nie przypuszczając, aby podwładni mogli tego nadużyć. Nie rozumiałem wówczas dobrze jego postępowania i czułem czasem pewną obawę w jego obecności, lecz dziś pojmuję, że stryj Mak Ilroy był wzorowym nauczycielem i najlepszym ojcem rodziny. Miał on w charakterze wiele stanowczości, wola jego była niewzruszona, a rozkazy musiały być ściśle spełnione. Jeśli powiedział *tak* lub *nie*, to już nikt nie miał prawa się temu sprzeciwić. Ale w każdém jego słowie, w każdym czynie, tyle było prawości, takie poczucie słuszności i prawdy, że kto tylko zbliżył się do niego, musiał go szanować, a nawet kochać.

Zapoznawszy się bliżéj ze stryjem, zrozumiałem dopiéro, jak wielkiém nieszczęściem było dla mnie, że tak wcześnie straciłem ojca. O stryjence nie wiele mam do powiedzenia; zacna ta kobieta godną była ze wszechmiar towarzyszką zacnego swego małżonka. Stryjenka żyje jeszcze i pewny jestem, że gdyby te słowa moje słyszała, byłaby z téj pochwały zupełnie zadowolniona.

Spodziewam się, kochane chłopaki, że was te szczegóły zbytecznie nie nudzą, chociaż uwagi, które do nich dodaję, nie są już wspomnieniem lat dziecinnych, lecz owocem późniejszego doświadczenia. Może powiecie, że niepotrzebnie opowiadam o starszych osobach, bo to was zająć nie może; ale i wy przecież nie zawsze będziecie dziećmi; czas szybko mija, uczcież się zawczasu, jakimi powinniście być, gdy dorośniecie i sami staniecie się ojcami rodzin.

Tu z kilku - stron ozwały się przytłumione śmiechy; ustały jednak zaraz, gdy młodzież napotkała poważne wej-

rzenie wuja Filipa, bo on zawsze ze szczególném namaszczeniem mówił o takich przedmiotach, jak życie rodzinne, obowiązki ojca rodziny, chociaż sam był starym kawalerem.

III.

— Wujaszku, wujaszku! proszęż nam dziś opowiedzieć o jakich przygodach; tam przecież, na tém letniém mieszkaniu w Szkocyi, musiały się wujaszkowi wydarzać różne przygody, nieprawdaż?

Wuj Filip, który właśnie miał rozpocząć opowiadanie, spojrzał z uśmiechem na siostrzeńców.

— Ba! — rzekł w końcu — gdybym wam opowiadał o moim pobycie w Indyach, toby się zapewne znalazło niemało przygód zajmujących, jak naprzykład: napady krajowców, walki z tygrysami w sitowiach, przeprawy przez rzeki w czasie nagłego wylewu wód i tym podobne niespodzianki, na których mi tam nie zbywało.

Chłopcy zaczęli się śmiać, upewniając wujaszka, że poprzestaną na przygodach mniej dramatycznych, byle były troszkę nadzwyczajne, troszkę niebezpieczne, a nadewszystko prawdziwe.

— Czy wolicie przygody lądowe, czy wodne? — zapytał wuj Filip.

Zdania przez chwilkę były podzielone, lecz większość głosów wołała o przygody wodne.

— Zgoda — rzekł wuj Filip — przypominam sobie właśnie taką przygodę. A najpierw, chłopcy, dajcie mi tu mapę szczegółową Szkocyi. Patrząc na nią, odległość od wioski Dunoon do morskiej przystani Greenock wydaje się bardzo małą, a jednak upewniam was, że ta odległość wynosi dobrych dziewięć lub dziesięć mil angielskich. Była to więc podróż prawdziwa, odważyliśmy się jednak na nią sami, w naszéj małéj łódce.

Nie pamiętam już dobrze, kto pierwszy podał myśl téj

wycieczki dnia pewnego, gdy stryj wyjechał do Glasgowa i wieczorem dopiero miał powrócić. Gdyby był w domu, nie pozwoliłby może na to. Pomysł tak świetny przyjęty był z zachwyceniem przez całą naszę gromadkę, nawet roztropny Norman nie mógł się oprzeć tak ponętnéj pokusie.

Wszystkim nam jednak głównie szło o to, żeby dogodzić małéj Gracyi; dziewczynka, pomimo wątłego swego złożenia, była odważna i nadzwyczaj lubiła żeglugę, tém bardziej, że, jak już wspomniałem, nie mogła chodzić biedaczka, bo ją nóżki bolały i pozbawiona była pieszych przechadzek... Woziliśmy ją też codziennie w naszym baciku, siadała sobie wygodnie na poduszkach i pysznie wyglądała, jak mówił Norman: zupełnie jak królowa Kleopatra, żeglująca po rzece Cydnus.

Gracyi chciało się bardzo popłynąć aż do Greenocku, a żeśmy wszyscy małą Gracyą kochali i pieścili, więc stanęło na tém, że popłynie z nami.

Pamiętam dobrze ten dzień. Wstaliśmy wcześnie, a o ósméj godzinie z rana byliśmy już gotowi do drogi. Lekka mgła unosiła się nad rzeką, ale na deszcz lub burzę nie zanosiło się wcale, pogoda była piękna i wkrótce słońce zajaśniało wspaniale. Załoga nasza składała się z dzielnych marynarzy, młodszéj dziatwy nie chcieliśmy zabierać, ażeby nam nie przeszkadzała, więc wsiedli tylko do łodzi Norman, Hektor i Janek, trzeci ich braciszek, bardzo rostropny malec, który już umiał się obejść z wiosłem, a taki był zabawny, że główniesmy go po to wzięli z sobą, ażeby nas rozweselał w drodze swojemi konceptami. Nakoniec i ja już wtenczas niezgorszym byłem wioślarzem. Z pasażerów nie mieliśmy nikogo, oprócz małéj Gracyi.

Dziewczynka chciała nam koniecznie obmyślić jakiś piękny i osobliwy strój marynarski, więc nim wyruszyliśmy w drogę, przypięła każdemu z nas gałązkę ostodrzewu do kapelusza. Jéj to wielką pociechę sprawiało, a my znów dogadzaliśmy jéj we wszystkiem z radością.

Odbiliśmy wreszcie od brzegu, ku wielkiemu zdumieniu

kilku starych majtków, którzy pokiwali głowami, gdyśmy im z dumą oznajmili, że płyniemy aż do Greenocku i dziwnym jakimś tonem życzyli nam szczęśliwego powrotu. Ale my nie stchórzyliśmy i wesoło wyruszyliśmy daléj.

Jednegośmy się tylko obawiali; mianowicie spotkania z parowcem, a już wtenczas statki, i towarowe, i pasażerskie, żeglowały po rzece, chociaż nie w takiéj ilości, jak teraz.

Postanowiliśmy więc nie płynąć środkiem rzeki, ale trzymać się o ile możności brzegów.

Łódka pomknęła jak strzała z prądem rzeki, Gracya uszczęśliwiona zanuciła piosenkę. Dziewczynka miała głosik prześliczny, śpiew jéj dziwne na mnie zawsze wywierał wrażenie.

Te ostatnie słowa wuj Filip wymówił ciszéj, głosem wzruszonym, jak zwykle, gdy rzecz szła o małą Gracyą. Pomimo to nie unikał wzmianki o niéj, przeciwnie, imię ukochanego dziewczątka powtarzało się często w opowiadaniach jego. Chłopcy przy każdéj takiéj wzmiance porozumiewali się oczyma w milczeniu i starali się przybrać minki poważne.

— Żegluga nasza nie długo trwała — mówił wuj Filip — gdy nam się wydarzyła przygoda, która nas przekonała, że w każdém przedsięwzięciu zbiorowém ktoś jeden musi przewodzić, ażeby był porządek. W jedném miejscu, niedaleko od brzegu, wynurzał się z wody szereg skał; dla małéj naszéj łódki rzeka była spławna po obu stronach tego skalistego wału. Otóż wynikła sprzeczka pomiędzy naszymi żeglarzami; mały Janek, który się strasznie obawiał spotkania z parowcem, chciał koniecznie płynąć węższym kanałem, od strony brzegu, ale Hektor, zawsze udający śmiałka, upierał się, aby łódka okrążyła skały środkiem rzeki. Janek siedział u steru, my dwaj z Hektorem robiliśmy wiosłami; uparty malec całą siłą starał się skierować łódkę na prawo, a my znów obaj chcieliśmy ją koniecznie zwrócić na lewo. Podwójne te usiłowania taki miały skutek, że łódka się zatrzymała i stała na miejscu, podczas gdy myśmy się pocili nadaremnie.

Gracya przestała śpiewać, niesforne nasze krzyki zagłuszyły miły jéj głosik. Spojrzała na Normana, wzywając jego pomocy, on siedział z założonemi rękami, czekał, ażebyśmy się choć trochę uciszyli; nakoniec odezwał się w te słowa:

— Chłopcy, czy chcecie dziś stanąć w Greenocku?

— Ależ rozumie się — odparł Janek.

— Nie widzę jednak możności, ażebyśmy się ruszyli z tego miejsca, jeżeli zechcecie dłużéj tak pracować wiosłami i językiem. Osądźcie sami, czy nie lepiéj wziąć się na inny sposób?

Ta uwaga tak rozsądna, wypowiedziana wesoło, na wpół żartem, wszystkich do śmiechu pobudziła. Janek i Hektor zaczęli rozkładać skargi przed starszym bratem. Zdaje mi się, że go widzę, jak siedzi z powagą sędziego i przesłuchuje obie strony, a przytém jednak uśmiecha się żartobliwie, i nas zwaśnionych pobudzając do śmiechu. Bo i ja także gorliwie stawałem po stronie Hektora; zdawało mi się, że toby dla nas był wstyd i hańba, żebyśmy przez tchórzostwo, przeciskali się jakiemiś bocznemi kanałami.

— A wiecie, co ja wam powiem?— rzekł nakoniec Norman — przypomnijcie sobie, co ojciec nieraz powtarzał, że tak, jak państwo musi mieć swego naczelnika, królestwo króla, a nawet rzeczpospolita prezydenta, tak i w każdém stowarzyszeniu być powinno. W wycieczce naprzykład potrzebny jest koniecznie przewodnik, a na okręcie kapitan. Otóż nasz statek nie ma kapitana i dla tego jesteśmy teraz wszyscy w kłopocie.

Wszyscy przyklasnęli téj rozsądnéj mowie, ale tu nowa trudność powstała, z któréj gorsza jeszcze mogła wyniknąć sprzeczka. Kto miał być kapitanem?

Janek jako najmłodszy nie mógł rościć praw do tego zaszczytnego urzędu, ale my obaj z Hektorem wystąpiliśmy do współzawodnictwa i żaden ustąpić nie chciał. Hektor przedstawił, że on jest największy, najsilniejszy i najodważniejszy z całéj naszéj gromadki, lecz mała Gracya zauważy-

ła, ze swéj strony, iż dla dowódzcy roztropność więcéj jeszcze znaczy aniżeli siła i odwaga, a ponieważ według jéj zdania, ja byłem roztropniejszy, więc za mną głosowała. Dziwna rzecz; nikomu nie przyszło na myśl w téj chwili, że żaden z nas nie był zdolniejszym do objęcia władzy, nie miał większych praw do tego stanowiska, jak ten cichy, spokojny chłopak, który w milczeniu słuchał głośnych naszych sporów.

Wtém nagle wśród największéj wrzawy podniósł się głos Normana, z taką siłą, że odrazu wziął górę nad niesfornemi naszemi krzykami.

— Baczność, szalone dzieciaki! Patrzcie na lewo!

Było na co patrzeć. Podczas gdyśmy o Bożym świecie zapomnieli, kłócąc się ząb za ząb, parowiec pędził prosto na nas i za chwilę mógł nas zmiażdżyć do szczętu.

Janek krzyknął przeraźliwie i ster z rąk wypuścił; mała Gracya, jakkolwiek przerażona, miała jednak tyle przytomności umysłu, że go w drobne rączęta pochwyciła.

— Do wiosła, Hektorze! zawołałem truchlejąc— do wiosła, bo zginiemy!

Ale Hektor zbladł jak chusta, a ręce mu drżały i opadły bezwładnie, zamiast wiosłować silniéj, on tylko lekko wodę poruszał.

— Siedź spokojnie, Janku!— krzyknął w téj chwili Norman głosem tak silnym i stanowczym, jakim nigdy jeszcze nie przemawiał do nas — a ty, Gracyo, kochanie, trzymaj ster z całéj siły! Hektorze, oddaj mi wiosło, a teraz, Filipie, wiosłuj żwawo, zwracaj łódź na lewo, wymijaj skały, prędzéj na środek rzeki!

Janek krzyknął znowu jak szalony, że wpadniemy prosto na parowiec.

— Cicho bądź, dzieciaku; czyż nie pojmujesz, że już niéma czasu okrążyć skał: parowiec płynie na jednéj linii z nami, w mgnieniu oka zejdziemy mu z drogi. Żwawo, w imię Boże!

Wyznaję, że byłem strwożony i drżałem na całém ciele; ale ta zimna krew Normana, ta stanowczość jego, od razu natchnęły mnie odwagą i sił mi dodały. Obaj robiliśmy wiosłami w milczeniu, Hektor siedział obok Janka, stracił zupełnie fantazyą, Gracya, śmiertelnie blada ale spokojna, trzymała ster z oczyma wlepionemi w twarz Normana. Tak upłynęło trzy minuty; odpłynęliśmy daleko z drogi parowca, zbliżyliśmy się do przeciwnego brzegu. Te trzy minuty wydały mi się wiekiem.

— A teraz, chłopcy — rzekł Norman, gdyśmy odetchęli po przebytém niebezpieczeństwie — pomyślcie tylko, jakie nieszczęście nas spotkać mogło. Wyście się rozkrzyczeli, ja się zagawroniłem na was, i o mało, żeśmy niezginęli.

— Nie sądzę, aby niebezpieczeństwo było tak wielkie— odezwał się Hektor, podnosząc znów głowę — parowce zazwyczaj schodzą z drogi najmniejszym nawet łódkom; niepotrzebnie, Normanie, robisz z tego taką ważną sprawę.

— Patrzcie, jaki teraz odważny! zawołał Janek oburzony.

— Alboż nie widziałeś, że parowiec pędził, jak strzała, prosto na nas? byliby nas nawet nie spostrzegli. Nigdy już więcéj nie popłynę z Hektorem. O Boże! czy my wrócimy dziś szczęśliwie do domu?

Biedna malutka Gracya trzymała się dobrze, i najmniejszego nam kłopotu nie przyczyniała, póki trwało niebezpieczeństwo, ale teraz siły ją opuściły i na wpół omdlona pochyliła główkę na ramię Normana. Musieliśmy jéj bryznąć trochę wody na twarzyczkę i dać się napić parę kropel wina, które roztropny Norman zabrał z sobą, a gdy przyszła do siebie, chcieliśmy zaraz zawrócić do domu, ale dobra Gracya sama się temu sprzeciwiła, z czego byliśmy wszyscy bardzo radzi. Przyjęliśmy też jednogłośnie jéj wniosek, ażeby Norman mianowany był dowódzcą z władzą nieograniczoną na resztę podróży.

Nie łatwe to było jednak zadanie dowodzić tak niesforną załogą. Ster pozostał w rączkach Gracyi, która z dumą i radością spełniała rozkazy starszego brata, ale od czasu

do czasu Hektor i Janek gwałtem narzucali się jéj z pomocą i wtenczas zaraz zaczynał się nieporządek, bo pierwszy chciał koniecznie kierować łódkę na środek rzeki, a drugi trzymać ją przy samym brzegu. Tym sposobem płynęliśmy prawie ciągle w zygzak, co znacznie przedłużało naszę drogę.

Nic już nadzwyczajnego nam się nie wydarzyło przez resztę podróży, raz tyłko o małośmy nie zatonęli z powodu nagłego przestrachu Janka; wyobraziło mu się, że parostatek się zbliża i narobił krzyku, żebyśmy jak najśpieszniej płynęli w bok, do brzegu, a gdy Hektor się temu opierał, usiłował sam łódkę popchnąć i przechylił ją gwałtownie na jeden bok. Byłaby się niezawodnie przewróciła, gdyby Norman nie pochwycił malca za kołnierz i silną ręką nie przytrzymał go na dnie łódki.

— Oto macie dowód — rzekł Norman — że tchórze są zawsze w największém niebezpieczeństwie.

A jednak pomimo tych wszystkich ciężkich przejść i chwil śmiertelnéj trwogi, wycieczka ta pozostała jedném z najmilszych wspomnień mojéj młodości. Dziś jeszcze, gdy przymknę oczy, zdaje mi się, że widzę przezroczyste nurty Klydy rozlane szeroko, i odbite w nich jasne słońca promienie, i zielone wybrzeża, i wzgórza oddalone, siną mgłą zasnute; od czasu do czasu ukazuje się lekki obłoczek dymu, to statek parowy płynie szybko, jak lotna mewa, zostawiając za sobą długą smugę fal poruszonych, a czółenko nasze, uniknąwszy szczęśliwie niebezpiecznego spotkania, śmiało szybuje po tym szlaku. Wtenczas już Janek nawet przestaje się obawiać, dokoła cisza, słychać tylko plusk wody i miarowe uderzenia wioseł, a od brzegów dolatują jakieś niewyraźne, przygłuszone szmery. Rozkoszna to była żegluga!

— I nic się już nie stało? i szczęśliwie łódka dopłynęła do Greenocku? — pytali słuchacze, gdy wuj Filip umilkł na chwilę i pogrążył się w myślach, jak gdyby te wspomnienia dni dawno minionych całkowicie go pochłonęły.

spotkać może, to, że się trochę obłocimy lub obedrzemy; ale ubranie nasze już i tak niezbyt świeżo wygląda.

Spojrzeliśmy na obuwie i spodnie, a przekonawszy się, że jedno i drugie było w opłakanym stanie, przytwierdziliśmy skinieniem głowy.

— Pośpieszajmy, nim noc zapadnie— rzekł Norman.

— Ale kiedy ja wstać nie mogę — mówił Janek, szlochając.— Nogi mnie bolą, jeść mi się chce strasznie i pić. Nic a nic nie najadłem się temi orzechami.

— Ty, dudku nieznośny— krzyknął Hektor zniecierpliwiony — czy myślisz, że nam się nie chce jeść i pić? ale porządny człowiek wstydziłby się płakać dla tego. Wstawaj prędzéj, smarkaczu i nie marudź.

— Poczekajno, Hektorze—odezwał się Norman i położył łagodnie rękę na ramieniu malca, który znowu rozpaczliwym zaniósł się płaczem. Potem wyjął z kieszeni kilka kawałków chleba. Pamiętajcie, wspomniałem przecież, że on jeden pozwolił matce ten zapas żywności włożyć do swojéj kieszeni. Suchy to był chleb tylko i w innych okolicznościach nie byłby nam pewnie smakował, ale teraz, gdy poczciwy Norman podał każdemu z nas sporą kromkę, pochwyciliśmy ten skromny posiłek, jakby największy przysmak. Żaden nawet nie podziękował, a Hektor, spożywszy swoję porcyą w mgnieniu oka, zapytał, czy niema więcéj.

Zapas był wyczerpany, niemniéj jednak zaspokoiliśmy przynajmniéj najdotkliwszy głód.

— A teraz trzeba się postarać o wodę— rzekł Norman.

— Niepodobna, żeby tu nie było gdzieś blizko strumyka lub źródełka, tylko się uciszcie.

I zaczęliśmy się przysłuchiwać uważnie. W rzeczy saméj, w krótce do uszu naszych doleciał szmer wody; zdawało się, że krople spadają jedna po drugiéj z wysoka, można je było policzyć.

— Wiwat! mamy i wodę — zawołał Hektor — chodź za mną, Filipku, zobaczysz źródło górskie.

Nigdy jeszcze nie widziałem podobnego zdroju. Idąc za odgłosem spadających kropel, spostrzegliśmy coś nakształt niteczki, wypływającéj z pod głazu, mchem obrośniętego; kryształowa niteczka zaciekała pomiędzy zarośla wrzosów i tylko cichy szmer zdradzał przejście niewidzialnego strumyczka. Szliśmy daléj za tym śladem i w końcu ujrzeliśmy w szczelinie skały wytryskujące źródełko świeżéj, przejrzystéj wody.

O, z jakąż rozkoszą napiliśmy się wszyscy, przyklękając przy szczelinie i chwytając ustami ten zdrój malutki. Woda miała lekki smak żelazny, gdyż w górach Szkockich są wszędzie rudy tego metalu; ale smakowała nam wybornie a ja zacząłem z pewném poszanowaniem spoglądać na Normana, który tak ważnego odkrycia dokonał.

Posiliwszy się i zaspokoiwszy pragnienie, wyruszyliśmy w dalszą podróż pod wodzą Normana. A podróż to była pełna przygód przeróżnych. Najpierw pochyłość wzgórza wynosiła prawie czterdzieści pięć stopni wysokości. Wy chłopcy, obeznani z geometryą, rozumiecie co to znaczy.

Potém co krok napotykaliśmy, to cierniste zarośla, to, moczary, jeden zaczepiał się na gałęzi, drugi wpadał po kolana w błoto, raz po raz słychać było wykrzykniki zmieszane z pustym śmiechem. Jeden Janek tylko ciągle lamentował i powtarzał, że nie zajdzie nigdy do domu.

— I cóż nam się stać może— pocieszał Hektor—gdybyśmy nawet przenocować mieli na dworze. Czy takie przygody przebywał Robinson Kruzoe, a jakoś wyszedł z nich cało.

Ale Janek nie miał teraz ochoty iść w ślady Robinsona i znowu płakać zaczął, a Hektor, który w gruncie miał dobre serce i kochał młodszego braciszka, wziął go za rękę i jak mógł dodawał mu odwagi.

— Wiwat!—zawołał Norman, który szedl ciągle naprzód.

— Teraz już nie zbłądzimy. Doszliśmy do strumienia, który wszycy pewnie poznacie. To jest strumyczek wpadający do Klydy tuż pod naszym domem. Ręczę, że Janek pozna go od razu; patrz Janku.

To odwołanie się do niego, pochlebiło malcowi i uspokoiło go trochę. Przestał płakać, a rozejrzawszy się, zawołał, że był tu nieraz i strumyk poznaje.

— A co, czy nie mówiłem? — rzekł Norman z dobrocią.— Janek jest bardzo rostropny chłopak. Ale wiecie co, żeby już nie zmylić drogi, radzę zdjąć obuwie i iść dalej wprost korytem rzeczki, przy samym brzegu; czy zgoda?

Wszyscyśmy chętnie na to przystali i reszta podróży odbyła się bardzo pomyślnie. Jedyną przygodą w czasie tej wodnej przeprawy było spotkanie jakichś pań, przechadzających się nad brzegiem rzeczki. Pamiętam, że nie chciałem za nic pokazać się im boso i w stroju więcej niż zaniedbanym; namówiłem więc towarzyszy, ażebyśmy się schowali w cieniu drzew nadbrzeżnych, póki panie te nie odejdą. Zgodzili się, ale później żartować ze mnie zaczęli, że jestem wstydliwy, jak panienka, dla tego, że się między panienkami wychowałem. Obraziłem się w końcu i podobno nawet wygrażałem pięściami żartującym, chcąc dowieść, że nie jestem wcale do panienki podobny.

Doszliśmy nareszcie do domu. Mała Gracya siedziała w oknie, wyglądając niecierpliwie naszego powrotu. Stryjenka była trochę niespokojna, ale ujrzawszy nas powracających bez szwanku odeszła do swoich zajęć, bo miała mnóstwo roboty, pakowała się do wyjazdu, a my byliśmy radzi, że nie dopytywała się o nasze przygody i postanowiliśmy o nich zamilczeć, na dziś przynamniej. Spożyliśmy z wielkim apetytem obiad, który stryjenka nam zostawiła, a gdy mała Gracya zapytała, czy nie bardzośmy się zmęczyli przechadzką, czy przewieziemy się trochę łódką i czy weźmiemy ją z sobą ten raz ostatni — nie mieliśmy serca odmówić.

Wieczór był jasny i pogodny, księżyc w pełni prześlicznie świecił, Gracya zanuciła piosenkę marynarską, Norman ją wziął na ręce i wyniósł na ganek. Stryjenka sprzeciwiała się trochę, bo już było po ósmej, ale przyrzekliśmy, że wrócimy niezadługo, a przyrzekliśmy z wielką ochotą, bo byliśmy bardzo zmęczeni.

Nigdy w życiu nie zapomnę téj żeglugi. Jasno było prawie jak w dzień, cisza w powietrzu, cisza na ziemi, łódka nasza posuwała się lekko po spokojnéj powierzchni wody. Gracya śpiewała ciągle i głosik jéj brzmiał donośnie wśród cichéj nocy. Dziwna rzecz, zkąd w tym delikatnym gardziołku brało się tyle siły?

Czworo nas tylko było w łódce, Norman, Hektor, Gracya i ja; Janek spał od godziny po trudach pieszéj wycieczki. Wiosłowaliśmy w milczeniu, słuchając śpiewu dziewczynki, a po każdéj zwrotce przyłączaliśmy chórem nasze głosy, i słuchaliśmy potém, jak echo, odbite od skał nadbrzeżnych, powtarzało ostatnie głoski piosenki.

W tém nagle Gracya ucichła i wylęknionym głosem spytała, czy to nie parowiec widać w oddali?

— Nie sądzę — odrzekł Norman — już jest zapóźno na parowiec... a jednak, masz słuszność, siostrzyczko, tak, to parowiec i prosto w tę stronę płynie. Hektorze, Filipie, wiosłujcie żwawo, trzeba mu zejść z drogi.

— Dajże pokój — zawołał Hektor, niema najmniejszéj obawy, statek nas wyminie, a chciałbym bardzo obaczyć z blizka wielkie fale, co się tak ślicznie podnoszą i piętrzą na rzece po przejściu statku.

— O dobrze, dobrze! — wołała mała Gracya, składając rączki — niech one nas trochę pokołyszą, te piękne fale. A toż już dziś ostatni raz łódką się wozimy.

Norman nie chciał się sprzeciwić siostrzyczce, nie przyszło mu do głowy, ażeby te fale mogły być niebezpieczne. Zresztą nie było już czasu do namysłu, parowiec chyżo przemknął przed nami, a był to statek daleko większy, niż nam się zdawało, wśród nocy nie dostrzegliśmy jego rozmiarów... Przez chwilę powierzchnia wody kołysała się lekko, a potém widzieliśmy jak fala olbrzymia, jak góra, podniosła się powoli, poza nią otworzyła się przepaść ciemna, niezgłębiona i straszna fala biegła prosto na nas, promienie księżyca zaigrały w niéj, zamigotały....

— Do wioseł! — krzyknął Norman i pochwycił za ster. Hektor i ja machinalnie wzięliśmy w ręce wiosła, mnie dreszcz zimny przeszedł od stóp do głowy.

— Jaka śliczna fala, jaka duża!—mówiła mała Gracya spokojnie, nie przeczuwając nawet niebezpieczeństwa.

Tak, w rzeczy samėj, fale były wielkie i piękne, postrzegłem to pomimo trwogi, która mnie ogarnęła. Pierwszy raz widziałem z blizka takie fale, a słyszałem nieraz od Normana, że niema niebezpieczeństwa dla łódki, jeśli fale podnoszą się jednostajnie, jak wały, ale gdy się miotają niespokojnie i pianą pokrywają po wierzchu, wtenczas uderzają wściekle o wszystko, co napotkają po drodze.

— A teraz stójcie!—zawołał znów Norman, pewnym i donośnym głosem—wiosła do łodzi! — sam zaś skierował przód łódki prosto ku nadpływającėj fali. I spojrzeliśmy sobie obaj oko w oko. My dwaj, my tylko dwaj zrozumieliśmy, że ta chwila mogła być dla nas ostatnią, że łódka, pochylająca się gwałtownie pod naciskiem fali, mogła pójść na dno, jak kamień. Hektor spełniał rozkazy brata z roztargnieniem, jak zwykle czynił, gdy Norman głos podnosił, ale nic nie spostrzegł, nic nie widział.

Chłopcy! straszna to była chwila, dziś jeszcze stoi mi wszystko przed oczyma; jak fala przypływała z głuchym szumem, jak łódka przechylała się, coraz niżėj, coraz niżėj... Norman objął wpół małą Gracyą i trzymał ją silnie, powstrzymując oddech, a ona się uśmiechała biedaczka, jak aniołek. Tak, straszna to była chwila!

Przeminęła przecież, łódka do połowy zanurzyła się w wodzie i znów się podniosła. Byliśmy uratowani! Nowe fale nadpływały, lecz coraz słabsze, coraz mniejsze, aż wreszcie wszystko się uciszyło.

— Śliczny był widok, naprawdę — rzekł Hektor, lecz spojrzawszy na nas dwóch, urwał nagle i zdziwiony zapytał:

— A wam co się stało? Normanie, Filipku?

— Nic, dzięki Bogu — odrzekł Norman spokojnie,—ale byliśmy o włos tylko od śmierci, a teraz jesteśmy uratowani. Dzięki Bogu.

A ja nie pomyślałem o dziękczynieniu dla Tego, który nas uchronił od zguby i uczułem w téj chwili, że Norman był nietylko rozsądniejszy ale i lepszy odemnie.

— A teraz do domu, żwawo, bo już późno—rzekł jeszcze Norman, tuląc drżącą siostrzyczkę w objęciu. I po kilku uderzeniach wioseł, byliśmy u brzegu. W milczeniu powróciliśmy do mieszkania.

VI.

Cóż, chłopcy, czy nie znudziło was moje opowiadanie? Ciągnie bo się tak długo, jak ongi powieści księżniczki Szeherazady w Tysiącu i jednéj nocy. Nie będziecie jednak mniéj cierpliwi od sułtana i spodziewam się, że żaden przecież głowy mi zciąć nie każe.

Ta uwaga wuja Filipa rozweseliła niezmiernie słuchaczy, głośne śmiechy zewsząd się ozwały i młodzież jednogłośnie upewniała, że gotowa jest słuchać choćby i dłużéj, niż „Tysiąc i jednę noc.” Więc wuj tak mówił daléj:

Nie usłyszycie już więcéj o wycieczkach na lądzie i morzu, gdyż nazajutrz po owéj przeprawie z łódką wyjechaliśmy do Glasgowa. I dobrze się stało, bo Hektor i ja za jego przykładem zaczęliśmy tak dokazywać, tak się popisywać odwagą, a raczéj nierozwagą jeden przed drugim, że któryś z nas byłby niezawodnie kark skręcił, gdybyśmy byli jeszcze dłużéj takiéj swobody używali.

Oj, żal nam było odjeżdżać z tego miłego wiejskiego zacisza. My obaj z Hektorem gderaliśmy nieustannie przez cały czas żeglugi po rzece, gdyż odpłynęliśmy statkiem parowym do Glazgowa. Norman nie miał czasu się dąsać, bo nie odstępował młodszéj dziatwy, która zawsze tak chętnie garnęła się do niego, żeśmy go czasem *niańką* przezywali. Ale jego to nie obrażało wcale.

I wzdychając wysiadaliśmy na ląd w przystani, i myśleliśmy z żalem na widok kamienic miejskich, że rozkoszne dni wakacyj już się skończyły na cały rok.

— Patrz — mówił Hektor, wskazując na rzekę, która jest w tém miejscu pod Glazgowem nadzwyczaj mętna—patrz, jaka to przyjemna będzie żegluga po tém błotku. A nie zapomnij, że nie wolno będzie odpływać daleko, tylko z jednego brzegu na drugi się przeprawiać. Miła rzecz!

— Miła rzecz! — powtórzyłem, wzruszając ramionami pogardliwie.

Przybyliśmy do Glazgowa w sobotę wieczorem, w poniedziałek chłopcy mieli iść do szkoły. Nic a nic nie pamiętam, co się działo w niedzielę u nas w domu, (nawykłem mimowoli nazywać mieszkanie stryja domem), przypominam sobie tylko, że wieczorem, gdyśmy wszyscy trzéj byli w łóżkach, Norman, Hektor i ja w jednym pokoju, słuchałem z ciekawością rozmowy stryjecznych moich braci, zupełnie niezrozumiałéj dla mnie, rozmowy, w któréj co chwila powtarzały się różne tajemnicze wyrazy, jak: piątka, dwójka, ściął się, wyrwie, nie wyrwie i t. d. Wszystko to plątało mi się po głowie, coraz mniéj wyraźnie, aż wkońcu usnąłem na dobre.

Pzebudziłem się nagle na odgłos dzwonka, zerwałem się i usiadłem na łóżku, przecierając oczy na wpół przez sen. Norman wyskoczył odrazu z łóżka i zaczął budzić Hektora, który miał sen twardszy odemnie.

— Żwawo, chłopcy — wołał Norman — wstawajcie, nie marudźcie! O szóstéj wztawać, o wpół do siódméj pacierz, o siódméj śniadanie, a przed ósmą trzeba już być w klasie. Tak ojciec rozporządził, a to się tyczy i ciebie także, Filipku.

W pierwszéj chwili uczułem się trochę urażonym tym despotyzmem stryja; pomyślałem, że mógłby się przecież oględniéj nieco obchodzić z gościem, ale buntownicze te myśli prędko mi z głowy wywietrzały, gdy usłyszałem głos stryja na korytarzu. A głos ten brzmiał jakoś całkiem inaczéj, i w postawie stryjaszka, gdy drzwi otworzył i stanął na progu naszego pokoiku, spostrzegłem wielką zmianę. Poufałość, do któréj nawykłem w czasie wakacyj, na letniém

mieszkaniu, znikła zupełnie, miejsce jéj zajęła powaga nauczycielska. Poznałem też na pierwszy rzut oka, że teraz ze stryjem nie będzie żartów i gdy wyrzekł spokojnym lecz stanowczym głosem: „No, chłopcy, nie marudzić.” Zerwałem się na równe nogi i szybko zacząłem się umywać zimną wodą.

Po śniadaniu, Norman i Hektor zabrali się do porządkowania książek i kajetów, które mieli zabierać do szkoły, a stryj skinął na mnie i kazał mi iść za sobą do swojego gabinetu. Był to prawdziwy przybytek nauki, w szafach, na stolikach i półkach pełno wszędzie było książek, a papierów taka masa, że nawet podłoga cała prawie była niemi usypana.

Chodźno Filipku — rzekł stryjaszek — tylko się nie bój. (Musiałem wyglądać okrutnie zastraszony). — Czy chodziłeś już kiedy do szkoły?

— Jeszcze nie.. stryju... to jest.. — odparłem jąkając się, gdyż dotąd uczyłem się przy matce, a trzeba wam wiedzieć, chłopcy, że wasza babcia jest bardzo uczona i wcale nie byłem zaniedbanym w naukach na swój wiek.

— A czy uczyłeś się już cokolwiek po łacinie? — zapytał stryj po chwili milczenia.

— Trochę.

— Cóż przeszedłeś? czy wiesz, kto to był Wirgiliusz?

— Uczyłem się Wirgiliusza — odpowiedziałem znacznie śmieléj — mama lubi niezmiernie Wirgiliusza.

— O ho! zobaczymy, co to za Wirgiliusz — mówił stryj z jakimś dziwnym uśmiechem, zdejmując z półki starożytne wydanie Eneidy, w skórę oprawne. Musiała to być drogocenna księga, ale zupełnie nie tak wyglądała, jak mój Wirgiliusz, z którego czerpałem łacinę i to mnie trochę zaniepokoiło. Zacząłem jednak dosyć odważnie.

„Arma virumque cano,”

— O nie tak, nie tak, źle wymawiasz, chłopcze — przerwał stryj i zaczął sam deklamować:

Arma virumque cano, Trojae qui primus ab ortis Italiam, fato profugus, Laoinia venit. Littora.”

— No, czytaj teraz, Filipku i uważaj.

— Czytałem coraz śmieléj; a chociaż stryj poprawiał mię jeszcze kilka razy, musiał jednak egzamin nieźle wypaść, gdyż w końcu, zamykając książkę, rzekł:

— No, możesz iść do klasy, dasz sobie jakoś rady, a wieczorem ja sam będę ci dawał korepetycye. Nie potrzebujesz zdawać formalnego egzaminu, nie wiem, czy będziesz tu długo do szkoły uczęszczał, więc pozostaniesz wolnym słuchaczem.

— Pogładził mnie po głowie i wyszedł jednemi drzwiami, podczas gdy ja zmierzałem do drugich, w dziwném rozdwojeniu umysłu. Z jednéj strony pochlebiało mi to, że miałem chodzić do szkoły, jak mężczyzna, z drugiéj jednak żal mi było, że wszystkie moje projekta upadały tym sposobem bezpowrotnie. Układaliśmy sobie z Gracyą, że jak „chłopcy" będą chodzić do klasy, my będziemy się razem bawili. Mieliśmy dziś właśnie malować farbami, zakupionemi w sklepiku, a tu niespodzianie zapadło to rozporządzenie stryja!

— Ze szkołą możnaby przecież parę dni poczekać — myślałem sobie, powracając do pokoju, gdzie zastałem chłopców już gotowych do wyjścia.

— No, wybierajże się, Filipku — rzekł Norman—idziemy razem.

Przeszliśmy kilka ulic, a gdyśmy się zbliżyli do wysokiego budynku, w którym instynktem domyśliłem się szkoły, Norman powiedział jeszcze:

— Tu się musimy rozejść; ty wejdziesz tamtemi drzwiami, bo ojciec mówił, że masz chodzić do trzeciéj klasy, a my z Hektorem już jesteśmy w czwartéj. Ale ty jeszcze nie umiesz tyle łaciny. My teraz będziemy mieli lekcyą profesora Knoksa, a ty idziesz na wykład ojca.

I obaj oddalili się szybko, a ja z bijącém sercem patrzałem na drzwi wskazane, wejść nie miałem odwagi; wyobraźcie sobie, że poraz pierwszy w życiu przestąpić miałem próg szkoły, a przecież nie byłem już małém dzieckiem.

Przybliżyłem się na palcach do drzwi, odchyliłem je ostrożnie i zajrzałem do środka. W sali było prawie pusto, kilku chłopczyków kręciło się pomiędzy ławkami, widocznie było jeszcze zawcześnie na lekcyą. Chłopcy ci spojrzeli na mnie z taką ciekawością, jakby zobaczyli jakieś nieznane zwierzątko, ja się cofnąłem do sieni, postałem pode drzwiami, a po chwili znów probowałem je otworzyć. Nie wiem, czy byłbym się odważył wejść do klasy, gdyby nie pomoc, która się ukazała w osobie stryja. A trzeba wiedzieć, że kochany stryjaszek niezmiernie lubił w uczniach punktualność. Opóźnienie na lekcyą uważał za wielkie wykroczenie.

— Oho! to ty, Filipku — zawołał — przyszedłeś wcześniéj od innych; tó dobry początek, a dobry początek zwykle prowadzi do dobrego końca. To ci się chwali, chłopcze, no, chodźmy razem.

I mówiąc to otworzył drzwi, ale ja spojrzałem na niego tak wystraszonym wzrokiem, że się zatrzymał na progu i zapytał:

— No, cóż tam, czy ci się co stało?

— Nie... stryju... — jąkałem z zakłopotaniem — tylko, że ja... nigdy jeszcze w klasie nie byłem i... nie wiem jak to...

— Biedny chłopiec — rzekł stryj i wyglądał przytém taki zasmucony, jak gdyby rzeczywiście bardzo nademną ubolewał; późniéj dopiero zrozumiałem, że patrząc na mnie, musiał sobie przypomnieć mego ojca, do którego byłem podobny. — Biedny chłopiec — powtórzył i biorąc mnie za rękę dodał:— No, chodźże, chodź ze mną, nie bądź dzieckiem.

I weszliśmy razem do klasy, stryj mnie posadził na ławce, sam poszedł daléj, przez chwil kilka przechadzał się po sali pod oknami, potém ukazał się na katedrze w poważnéj i uroczystéj postawie.

Nie wyobrażam sobie, aby mógł być na całym świecie lepszy nauczyciel od stryja Mak-Ilroya. Nie był on wcale surowy, nigdy uczniów nie łajał, rzadko ich nawet łagodnie strofował, bo też nie miał do tego sposobności. Cała klasa była dla niego z takiém uszanowaniem, że na skinienie speł-

niała wszystkie jego rozkazy. Czém się to działo, nie mogłem wówczas pojąć, ale teraz rozumiem; stryj dla tego tak doskonale umiał panować nad nami, że przedewszystkiém nad sobą panował w każdéj chwili. Każde jego słowo, każdy ruch i spojrzenie, pełne były powagi i umiarkowania, a cała powierzchowność, wyraz twarzy, postawa, nacechowane stałością i pewnością siebie. Nie wątpię, ze stryj potrafiiłby tak doskonale rządzić krajem i narodem, jak rządził klasą niesfornych chłopaków.

Ponieważ w dziecinnéj mojéj wyobraźni wymarzony bohater przedstawiał się zawsze w postaci potężnego władcy, przed którym drżą zastępy wojowników, więc nieraz przychodziło mi do głowy, czy czasem stryj sam nie zasługiwał na tę zaszczytną nazwę bohatera. Nie przestawałem bowiem rozmyślać nad tym przedmiotem.

Pierwsza ta lekcya odbyła się z zupełném mojém zadowoleniem, zadanie było bardzo łatwe, przyszedłem więc odrazu do przekonania, że się ze szkolném życiem pogodzić potrafię. Powróciłem do domu w tak wesołém usposobieniu, jak gdybym spędził godziny poranne na jakiéj przyjemnéj rozrywce. Miałem jeszcze nie mało czasu na zabawę z Gracyą.

Gdy wieczorem bracia moi stryjeczni zasiedli do roboty, a ja swoję wcześniéj daleko skończyłem, uczułem coś nakształt nudów i żałowałem, że stryj tak mało zadał na ten raz, i nie kazał mi chodzić do czwartéj klasy.

VII.

Nie sądźcie jednak, że szkolne moje życie upływało dzień po dniu tak spokojnie i mile. Takiego zupełnego spokoju nigdzie na tym świecie niema. Pierwszy kłopot spotkał mnie dnia trzeciego. Z początku zaraz po ukończeniu lekcyj odchodziłem do domu, ale dnia tego przyszło mi na myśl, że na dziedzińcu szkolnym mogę się pobawić z kolegami

i udałem się tam. Wychodząc z klasy, nie spodziewałem się, że mnie czeka zabawa niezbyt przyjemna, coś nakształt polowania na zająca, w czém, notabene, musiałem odegrać rolę zwierzyny.

Rzecz się tak miała: przed wyjazdem moim do Szkocyi matka sprawiła mi kapelusz męzki, cylinder, bo u nas w Anglii takie kapelusze są we zwyczaju dla młodych chłopaków. Pamiętam, z jaką dumą mierzyłem go w sklepie, jak matka z rozrzewnieniem mi się przypatrywała i mówiła, że w tym stroju podobniejszy jeszcze jestem do ojca. Nie spodziewaliśmy się, ani ja, ani ona, że ten nieszczęsny cylinder stanie się powodem wypowiedzenia wojny, prawdziwém *casus belli*.

Stryjeczni moi bracia dawali mi wprawdzie przyjacielską radę, zaraz po przybyciu do Głasgowa, abym zarzucił pyszne nakrycie głowy i przywdział skromną szkocką czapeczkę, bo tu nikt nie widział młodego chłopca w cylindrze i gotowi mię wyśmiewać po ulicach, ale jabym to był uważał za największe upokorzenie. Chciałem właśnie zaimponować w Szkocyi moim pięknym męzkim kapeluszem i wyróżnić się nim w szkole.

Niestety! owego pamiętnego dnia doznałem strasznego prześladowania z tego powodu. Jak tylko się ukazałem na podwórzu, zaraz kilkanaście rąk się podniosło, rzucając na mnie piaskiem, który osiadał na rondzie mojego kapelusza. Jeden chłopak zaszedł mnie z tyłu i uderzył pięścią w denko tak silnie, że je niemiłosiernie spłaszczył. Drugi zerwał mi z głowy kapelusz, „ażeby go trochę przewietrzyć,” jak mówił, wyrywano go sobie z rąk do rąk, potém któryś z moich prześladowców włożył nieszczęsny cylinder na koniec długiego kija i obnosił go dokoła, a wszyscy biegli za nim i krzyczeli w niebogłosy, nakoniec rzucono go na ziemię i zaczęto nogami podrzucać, śmiejąc się ciągle i szydząc.

Co się zemną działo, tego opisać nie potrafię; wściekałem się ze złości, a tu nie mogłem się ruszyć, bo jeden z największych chłopaków trzymał mi obie ręce skrzyżowane na plecach.

— Co to jest, co wy tu robicie z moim stryjecznym bratem? — ozwał się głos Hektora i w téj saméj chwili rozpaczliwym ruchem wyrwałem się z rąk, które mię więziły; stanąłem obok mego obrońcy.

— Hektorze! — wołałem—patrz, co ci niegodziwi chłopcy zrobili z moim kapeluszem; zniszczyli go na nic, ja muszę się poskarżyć, pójdę do dyrektora...

— Ho, ho! co to, na szpiega się kierujesz?— zakrzyczano mnie jednogłośnie. Odwaga mnie zupełnie opuściła, témbardziéj, że i Hektor, słysząc nierozważne moje słowa, odsunął się odemnie i zmieszał się z tłumem moich prześladowców. A wtém spostrzegłem Normana i znowu zacząłem narzekać płaczliwie:

— Mój biedny kapelusz! Przepadł zupełnie! A tak drogo za niego matka zapłaciła.

Tu znów wybuchły śmiechy szalone; posypały się żarciki złośliwe, pytano, ile kosztowało to pyszne okrycie głowy; zaczęto mnie przedrzeźniać i szydzić z mojéj mamusi, która swojego gagatka tak pięknie przystroiła, a jeden zwrócił się do Hektora, zapytując coś o *„ciotunię.“*

Tego już Hektor darować nie mógł, duma rodzinna się w nim odezwała.

— Słuchajcie no, wy jacyś — odezwał się, pokazując pięści — jak mi zaraz nie przestaniecie, to ja tu się wezmę do was. Kto chce zmierzyć się ze mną? jestem na usługi.

Zdaje mi się, że Hektorowi o to tylko szło, aby mieć powód do zaczepki, bo słynął pomiędzy kolegami z niepospolitéj zręczności w szermierce na kułaki *). Bardzo mię to rozczuliło, że Hektor chciał wystąpić czynnie w mojéj obronie; Norman probował przywrócić zgodę, ale widząc, że go nikt nie słucha, stanął z boku pomiędzy widzami.

Najpierw wystąpił jeden z największych chłopaków, ale Hektor, niemniéj dzielny od trojańskiego swego imiennika, powalił go na ziemię, kilku zręcznemi razami. W téj chwili

*) W Anglii tego rodzaju szermierka jest we zwyczaju, nietylko pomędzy gminem i nie uważa się za coś poniżającego.

byłem głęboko przekonany, że widzę przed sobą prawdziwego bohatera. Wyszedł potém na plac boju drugi, mniejszy, lecz zwinniejszy, i ten znów pokonał Hektora. Trzeci był pokonany z kolei i tak z rozmaitém powodzeniem przeciągnęła się walka, która z czasem utraciła zupełnie charakter nieprzyjazny i zamieniła się w rodzaj turnieju, popisu siły i zręczności. Uczniowie stanęli dokoła i wszyscy przypatrywali się z zajęciem tym zapasom, ja sam nie myślałem w téj chwili o swojéj przygodzie i spoglądałem na to widowisko, jak gdybym był obojętnym świadkiem. Jabłko niezgody, to jest nieszczęsny mój kapelusz, leżał w kącie dziedzińca, wszyscy o nim zupełnie zapomnieli. Tak to podobno bywa nieraz i w innych wojnach poważniejszych.

Nakoniec i walczący i widzowie przypomnieli sobie, że się zbliża pora obiadowa; chłopcy zaczęli się wymykać jeden po drugim z dziedzińca szkolnego. Drobny deszczyk puścił się w téj chwili i znaglił wszystkich do pośpiechu.

— Jakże ty teraz pójdziesz do domu z gołą głową?— rzekł Norman, zwracając się do mnie.

— Bierz moję czapkę! — zawołał Hektor z prawdziwie bohaterską wspaniałomyślnością. — Cóż Filipku, nieprawdaż, że dzielnie stanąłem w twojéj obronie?

Ścisnąłem go za rękę, nie wziąłem jednak ofiarowanéj czapki, podniosłem swój kapelusz i chciałem go przyprowadzić do znośnego stanu, przekonałem się jednak, że to było niepodobieństwem, pozostały z niego już tylko szczątki kapelusza.

— Daj pokój — rzekł Norman — nic z tego nie będzie. Bierz czapkę Hektora, kiedy ci ją daje, a nie idź z odkrytą głową przez ulicę, bo cię będą palcami pokazywali.

— Ach, to prawda!—zawołał nagle Hektor— nie pomyślałem o tém. Przepraszam cię, mój drogi— dodał,— zwracając się do mnie — nie mogę ci oddać czapki, bo nie chcę być pośmiewiskiem uliczników.

I mówiąc to, nasunął czapeczkę na własną głowę i szybko się oddalił. Deszcz padał coraz silniejszy, a mnie już na płacz się zbierało.

— No no, nie martw się Filipku—rzekł Norman— ja się nie łatwo zakatarzam i mogę śmiało iść bez czapki. O uliczników nie dbam, zresztą starszy jestem od ciebie; bierz, bierz.

A gdy ja za nic nie chciałem przyjąć czapki, gwałtem prawie włożył mi ją na głowę, a sam pobiegł tak prędko, że mi znikł z oczu. Ja także pośpieszałem, bo mi już głód zaczynał dokuczać; wkrótce na zakręcie ulicy spotkałem Hektora i szliśmy razem, daléj spotkaliśmy i Normana.

Szedł z głową pochyloną, włosy miał zupełnie przemoczone, za nim biegła gromadka małych uliczników, z krzykiem i śmiechem; wskazywali nań palcami i przezywali: zmokłą kurą, cyganem i różnemi złośliwemi wyrazami. A poczciwy Norman nie miał wcale wojowniczego usposobienia swego brata, więc znosił wszystko cierpliwie, ale pewny jestem, że go to okropnie musiało drażnić.

Podbiegliśmy do niego obaj z Hektorem, ja chciałem koniecznie, żeby włożył czapkę, a Hektor odgrażał się, że zaraz w puch rozbije tych nędzników. Lecz zapał jego powstrzymała niespodziewana okoliczność, na szczęście czy nieszczęście, tego już nie wiem. Tuż za nami zjawił się w téj chwili stryj Mak-Ilroy we własnéj osobie.

— Co to wszystko znaczy — mówił — powiedźcie prawdę.— Opowiedzieliśmy rzecz całą, a muszę oddać sprawiedliwość Hektorowi, że pierwszy wspomniał o wspaniałomyślném postępowaniu brata, chociaż tém samém potępił siebie.

Stryj wysłuchał w milczeniu, wziął Normana pod rękę i szedł z nim razem, aż do drzwi mieszkania; tu przystanął i powiedział poważnie:

— Rad jestem, chłopcze, że widzę w tobie prawdziwą *moralną odwagę*.

Zdaje mi się, że widzę Normana w téj chwili; zarumienił się, jak panienka, a oczy mu radością zabłysły. Stryj nie skory był do pochwał, niedziw, że Norman uczuł się dumny i szczęśliwy.

VIII.

Nie żądacie zapewne odemnie, chłopcy, abym wam dokładnie opowiadał, dzień po dniu, cośmy robili w domu stryja. Zresztą, życie nasze upływało tak jednostajnie, że wszystkie dni zupełnie były do siebie podobne. Wstawaliśmy o siódméj, potém, zawsze tym samym porządkiem, następowało śniadanie, lekcye, obiad, zabawa, a téj ostatniéj, według mojego ówczesnego wyobrażenia, było trochę za mało. Najprzyjemniejsze wspomnienia pozostawiły mi chwile wieczorne, gdyśmy sobie rozmawiali wesoło i swawolili, leżąc już w łóżkach. Tak upłynęło kilka miesięcy, zbliżał się koniec roku szkolnego.

Ja, jak wam wiadomo, byłem tylko wolnym słuchaczem w trzeciéj klasie, wiedziałem jednak wybornie o wszystkiem, co się działo w czwartéj, a losy czwartoklaśników najgoręcéj mnie obchodziły. Pierwsze miejsce zajmował tam od początku roku Andrzéj Ward, chłopak wielkich zdolności, wielce poważany w całéj szkole, nikt nie wątpił, że ten *prymus* utrzyma się na téj godności do końca roku. Zaraz po nim szli moi dwaj bracia stryjeczni, Norman i Hektor. Ten ostatni był zdolniejszy od starszego brata, ale nie tak pracowity i Norman go wyprzedził, zaraz w pierwszych miesiącach szkolnego roku zasiadł na drugiém miejscu. Ale Hektor tak się jakoś rozpróżnował, że nie utrzymał się nawet i na trzeciém miejscu, ale je musiał ustąpić Jankowi Gordonowi, który zawsze dotąd siedział niżéj od niego. Tak więc ci czteréj uczniowie stanowili czoło czwartéj klasy i nie było najmniejszéj wątpliwości, że oni tylko mogli się ubiegać o nagrody. Żaden z pozostałych uczniów nie marzył już nawet o tém.

Otóż wieczorami o niczém inném nie było mowy w naszym sypialnym pokoju, tylko o tych nagrodach, a chociaż to, co tak gorąco obchodziło moich stryjecznych braci, i dla mnie nie mogło być obojętném, czasem mi się jednak przy-

— To prawda!— zawołał Hektor z zapałem—musiał ten młodszy to zrozumieć, gdy urósł, i musiał także kochać i uwielbiać tego brata, który mu życie uratował swoją odwagą i przytomnością umysłu.

— Powinienby to zrozumieć i zawsze o tém pamiętać— mówiła stryjenka z dziwnym naciskiem, spoglądając przytém znacząco na obu starszych synów. Norman jeden nie powiedział ani słowa, oczy miał spuszczone, obracał w palcach koniec fartuszka małego Wilusia; gdy spotkał wzrok matki poczerwieniał cały, jak ogień. Gracya najpierwsza odgadła, co to wszystko znaczyło.

— Mamo — zawołała — wszak to powiastka prawdziwa, a ja wiem, kto byli ci dwaj chłopczyki.

I łkając ze wzruszenia, rzuciła się na szyję Normana. Wtenczas dopiero i nam zasłona spadła z oczu, a Hektor zerwał się na równe nogi. Bladł i rumienił się na przemiany, łzy zabłysły mu w oczach:

— Mamo, czemuż ja dotąd o tém nie wiedziałem?— rzekł przytłumnionym głosem.

— Postanowiliśmy z ojcem nie mówić wam tego, aż póki nie będziecie starsi — rzekła stryjenka — zdaje mi się, że teraz jest już na to pora. Powinieneś wiedzieć, Hektorze, że brat twój Norman ocalił ci życie, mając zaledwie cztery lata.

— Norman ocalił mi życie — powtarzał Hektor wzruszony, a Norman wstał także i ze zwykłym swym poczciwym uśmiechem zbliżył się do brata, położył dłoń na jego ramieniu, i rzekł wesoło:

— Czy to taka rzecz dziwna, że cię kochałem, braciszku? A na to Hektor rozpłakał się, jak małe dziecko, rzucił się w jego objęcia i obaj uściskali się serdecznie. Gdy usypiałem tego wieczora, jak zwykle snuły mi się po głowie różne myśli, przyszło mi na raz do głowy, że jeśli Norman nie odpowiadał jeszcze całkowicie ówczesnym moim wyobrażeniom, o bohaterstwie, miał jednak w sobie coś takiego, co się do tego bardzo zbliżało. A wy, jak sądzicie, chłopcy?

X.

Zbliżał się coraz więcéj ów dzień uroczysty, który miał stanowić o nagrodach. Ja miałem niewiele lekcyj i wcześnie wróciłem ze szkoły, zastałem Gracyą trochę chorą, stryjenka posłała mię do apteki, a zawsze z największą gorliwością spełniałem jéj zlecenia. Lekarstwo przyniosło niejaką ulgę dziewczynce, usnęła na sofie, stryjenka kazała mi przy niéj posiedzieć, sama wyszła na chwilę, a ja, patrząc na bladą twarzyczkę Gracyi, zapomniałem zupełnie o nagrodach.

Przypomniałem je sobie dopiero, gdy się zbliżyła pora obiadowa i spojrzawszy w okno, obaczyłem chłopców powracających ze szkoły. Dość mi było rzucić okiem na Hektora, aby się domyślić wszystkiego. Ostatnie zdania z łaciny miały rozstrzygnąć sprawę; niestety! nie musiały wypaść pomyślnie, z miny Hektora, poznałem odrazu, że wszystko było stracone. Janek Gordon musiał stanowczo zwyciężyć. O, jakże go serdecznie nienawidziłem w téj chwili!

Normān szedł także z głową spuszczoną, i taki przygnębiony, jak gdyby i jego jakieś wielkie nieszczęście spotkało. Nie wybiegłem na przeciw nim, aby nie drażnić Hektora, znałem jego naturę, ale po chwili Norman wszedł na palcach do pokoju, żeby się dowiedzieć o zdrowiu Gracyi. Hektor poszedł prosto do siebie.

— Cóż tam, Normanie — szepnąłem półgłosem, żeby nie przebudzić śpiącéj dziewczynki — przepadła nagroda?

On westchnął i nic nie odpowiedział.

— A twoja?—pytałem daléj —ty przecież dostaniesz nagrodę?

— O, nie ma o co się troszczyć,—ja zawsze zostanę przy swojéj — rzekł Norman i machnął ręką, jak gdyby się czuł zawstydzony, że on dostanie nagrodę, gdy brata spotkało takie upokorzenie.

Stryjenka powróciła w téj chwili, a my poszliśmy obaj do naszego pokoju. Chłopcy! od téj pory widziałem nie ma-

ło nieszczęść prawdziwych, a jednak do dziś pamiętam, jak bolesnego doznałem wrażenia, patrząc na rozpacz Hektora. Był on usposobienia nadzwyczaj gwałtownego i tak żywo ten zawód swój wziął do serca, że można to nazwać prawdziwą rozpaczą.

— Niech mi się nikt nie waży wchodzić do pokoju!— zawołał, gdym ja drzwi odchylił— niech mi się nikt nie nawija na oczy; bo w łeb dostanie tą książką! czy słyszysz?

I wrzeczy saméj, rzucił z całéj siły wielką książkę w skórę oprawną, która na szczęście żadnego z nas nie trafiła, tylko uderzyła o ścianę i spadła na podłogę.

— Zmiłuj się, Hektorku— rzekłem, stojąc ostrożnie przy progu — czy to warto sobie tyle krwi napsuć o taką rzecz, która się już naprawić nie da? Jabym na twojém miejscu plunął na to i kwita.

— Alboż ty myślisz, że ja nie pluję na to wszystko? — wrzasnął Hektor — i na tę przeklętą nagrodę, i na Janka Gordona, i na profesora Knoksa; niech licho porwie, co mi tam!

W ciągu tego roku nawykłem już po trochę do różnych wybryków uczniowskich, bo na nieszczęście młodzież szkolna wszędzie i zawsze lubi pleść niedorzeczności i nawet sobie wyobraża, że to jéj daje patent na dojrzałość; jednakże ta nieprzyzwoita mowa Hektora przeraziła mnie niezmiernie, wnosiłem z niéj o nadzwyczajném wzburzeniu umysłu Hektora.

— Zmiłuj się, Hektorku — zacząłem znów, jak mogłem najłagodniéj — uspokój się, wszak jeszcze i za rok możesz dostać nagrodę.

— Nie chcę nagrody! — krzyknął Hektor, padając na łóżko, jakby w przystępie szaleństwa — nie chcę nic, porzucę szkołę, ucieknę z domu, zaciągnę się do marynarki, pójdę na kraj świata!..

— Idźcie na obiad — odezwał się u drzwi spokojny głosik Wilusia.

Była to tak zabawna odpowiedź na rozpaczliwe wykrzy-

kniki Hektora, że innym razem bylibyśmy wszyscy parsknęli śmiechem, ale teraz nie do śmiechu nam było.

— Nie chcę obiadu! zawołał w pierwszéj chwili, a potém dodał — otóż nie; pójdę i będę jadł, jak gdyby nic nie było. Pokażę całemu światu, że niedbam o tę głupią nagrodę!

Tego dnia jednak tak się jakoś złożyło, że nie miał komu pokazać tego, bo stryj był na proszonym obiedzie u dyrektora, a stryjenka nie odstępowała choréj Gracyi. My więc tylko z Normanem i młodszą dziatwą byliśmy świadkami niepospolitego apetytu Hektora, który zmiatał ogromne porcye w milczeniu; ale widziałem jednak, że i łzy połykał zarazem, nadrabiając fantazyą. Nawet Wiluś i Dik rozumieli, że Hektorowi się coś stało, nikt się do niego nie odzywał, a ponieważ rodzeństwo niezmiernie go kochało, mógłby był z pewnością wybić nas wszystkich bezkarnie dnia tego, gdyby mu to ulgę przynieść miało.

Po obiedzie Hektor odszedł spokojnie do swego pokoju i drzwi na klucz za sobą zamknął. Mnie to zaniepokoiło okropnie. Obawiałem się, aby rozpacz niedoprowadziła go do jakiego szalonego kroku. Co on mógł tam robić, w tym zamkniętym pokoju, tego sam nie wiedziałem, ale dreszcze mię przechodziły i co chwila przysuwałem się na palcach do drzwi, zaglądając przez dziurkę od klucza.

Z początku chodził wielkiemi krokami po pokoju, potém wszystko ucichło nagle i mój niepokój się zwiększył. A nuż on tam list pożegnalny pisze do rodziców, a potém otworzy okno, uwiąże doń prześcieradło i spuści się na ulicę, i pójdzie na kraj świata, zostanie majtkiem okrętowym, popłynie do Australii, Zelandyi, Otahiti!.. To znów przychodziła rozwaga; pocóżby miał przez okno uciekać, kiedy nikt przecież drzwi nie pilnował?

Na domiar złego, nie miałem nawet kogo na pomoc wezwać w téj trwodze, bo Norman znikł gdzieś zaraz po obiedzie i nie wracał. Przyszło mi nawet na myśl, jak dziś pamiętam, że to nie ładnie było z jego strony, opuścić brata w takiéj chwili. Chodziłem więc ciągle jak zwarzony i pod-

słuchiwałem pod edrzwiami. Już się i ściemniać zaczynało, Hektor wciąż nie dawał znaku życia, w końcu zdało mi się, że słyszę jakiś odgłos w jego pokoju, coś nakształt przytłumionego sapania, jakiś oddech ciężki, straszny... nagle wyobraźnia przedstawiła mi Hektora w gorączce; czy to raz ludzie chorowali i umierali z wielkiego zmartwienia? Chciałem już biedz do stryjenki po ratunek, gdy w przedpokoju natknąłem się na Normana.

— Dzięki Bogu, żeś powrócił! — zawołałem z radością — nie wiem, co się Hektorowi stało; może on tam zachorował; zamknął się w pokoju i nie odzywa się wcale, tylko coś słychać przez drzwi, coś okropnego...

Norman poszedł wraz zemną, przyłożył ucho do dziurki od klucza i rozśmiał się.

— Śpi — rzekł poczciwy chłopak — chwała Bogu, że zasnął i trochę się uspokoił. Ale musimy go teraz przebudzić, bo mam dla niego dobre wiadomości.

— Hektorze! Hektorze! — wołał głośniéj — otwieraj, coś ci powiem ciekawego, coś dobrego!

Usłyszeliśmy poruszenie na łóżku, potém stąpanie nóg nieobutych, drzwi się otworzyły i na progu ukazał się Hektor z rozczochranemi włosami, bez butów, wyraźnie prosto ze snu przebudzony.

— Słuchaj — mówił Norman — chodziłem do profesora Knoksa i powiedział mi...

— O, jeżeli masz mi psuć głowę takiemi rzeczami, to się wynoś — krzyknął Hektor z gniewem — nie chcę słyszeć o starym Knoksie i o szkole.

— Jeżeli nie chcesz, to niéma co — rzekł Norman, trochę urażony — myślałem przecież, że kiedy ja robię co mogę w twoim interesie, ty mógłbyś mnie przynajmniéj wysłuchać.

— Ależ ja gotów jestem słuchać — mówił Hektor łagodniéj — tylko że mi to wszystko już tak obrzydło.

— A czy obrzydłaby ci i nagroda, gdybyś ją mógł dostać? — rzekł Norman z uśmiechem.

— Gdybym ciebie nie znał, myślałbym, że szydzisz—powiedział tamten drżącym głosem — wszak wszystko stracone, wiesz dobrze.

— Otóż właśnie, że nie. Czyż myślisz, że ja darmo chodziłem do profesora? Zapomnieśliśmy o tém wszyscy, że na pozyskanie nagrody najwięcéj wpływa dobre wypracowanie łacińskie. Otóż Janek ma zdania lepsze od twoich, ale wypracowanie jego jest słabe. Wiem, że i twoje nie tęgie, ty jednak, gdybyś tylko chciał... bo poleniłeś się, Hektorku, sam to wiesz najlepiéj. Czy wiesz, co profesor Knoks powiedział? Tak mi żal waszego ojca, który się niczego nie domyśla, że nie wiem, cobym dał za to, aby Hektor dostał choć trzecią nagrodę. Wszak jeszcze ma parę dni czasu, niech tylko zabierze się do roboty, a ręczę, że takie nam wykończy wypracowanie łacińskie, jakie się żadnemu nie uda. A już ja w tém, że jak tylko jego wypracowanie będzie lepsze od innych, to i nagroda jemu się dostanie. No, cóż ty na to, Hektorku?

— Jeżeli on to powiedział! — zawołał Hektor, przechodząc odrazu z rozpaczy do radości — jeżeli on to powiedział, to nagroda moja. Choćbym miał się na śmierć zapracować.. Filipku, podajno mi drugi but, zabieram się zaraz do roboty.

— A ja ci pomogę, Hektorku — rzekł dobry Norman— wstaniemy jutro o parę godzin wcześniéj, położymy się póżniéj i wszystko się jeszcze naprawi, zobaczysz.

— Dzięki Bogu — dodałem ze swojéj strony.

I wnet w pokoiku naszym nastała wielka cisza, dwaj bracia zasiedli przy stoliku, Hektor pisał, wymawiając półgłosem łacińskie wyrazy, Norman poprawiał, podpowiadał, a ja, siedząc w kąciku, słuchałem w uroczystém milczeniu, wzywając cieniów Wirgiliusza, aby natchnęły bohaterskiego Hektora i wśpierały go w tém wielkiém przedsięwzięciu.

XI.

Wypracowanie Hektora było ukończone i jak zaręczał Norman znakomicie mu się udało, jeden tylko prymus mógł się pochwalić podobném, a i to nie było zapewne lepsze. Dziwna rzecz, że nikomu nawet na myśl nie przyszło wspomnieć o wypracowaniu Normana?

— No, chłopcy, pojutrze popis i rozdanie nagród; czy już złożyliście wasze wypracowania łacińskie w kancelaryi szkolnéj? Wiem, że Hektor w tym roku we wszystkiém się opuścił, nie pytam więc już o nic; jak sobie pościele, tak się wyśpi. Ale twoje wypracowanie, Normanie, widziałem parę dni temu na twoim stoliku. Mogę ci zawczasu powinszować, ręczę, że takiego nie będzie drugiego w całéj klasie. Musiałeś bardzo nad niém pracować, bo jest wyborne i taka piękna kaligrafia, a to także coś znaczy.

Spojrzałem na Normana z takiem podziwieniem, jak gdybym nie wiedział nawet o tém, że i on przecież musiał pisać wypracowanie. Zarumienił się, jak panienka, słuchając słów stryja i spuścił oczy, a stryj obrócił się do żony i mówił daléj:

— Ten z pewnością dostanie nagrodę; ale mu się też słusznie należy, tak pilnie pracował, a tak téj nagrody pragnął. No, no, nie uciekaj, chłopcze, widzisz, jak ja to odgadłem. Bądź spokojny, z takiém wypracowaniem nagroda cię nie minie.

Wszystko to były niespodzianki dla mnie, więc Norman także pragnął bardzo nagrody, chociaż nigdy o tém nie mówił? i miał takie wyborne wypracowanie, a i o tém nikt w domu nie wiedział, tylko stryj je obaczył przypadkiem. Zauważyłem także, iż Hektor nagle posmutniał, ukradkiem spoglądał na brata; dziwne myśli zaczęły mi się plątać po głowie.

Rozdanie nagród miało nastąpić nazajutrz, wychodziłem z klasy i nie pamiętam już po co wstąpiłem do kancelaryi

szkolnéj. Zastałem tam Normana, który rozmawiał z jednym z dozorców szkolnych. Był to młody człowiek bardzo poufały z uczniami, bardzo uprzejmy, od niego dowiadywano się zawsze o wszystkich tajemnicach i ważniejszych sprawach szkolnych.

— Tak, tak, Normanie, ja się znam na tém — mówił — teraz możesz być pewny nagrody, chociaż, gdyby nie to wypracowanie, byłby cię pokonał stanowczo Janek Gordon. Co do Hektora, przykro mi bardzo, ale nic nie pomoże, będzie czwartym z kolei, a o włos tylko niżéj stoi od Gordona; gdyby nie twoje wypracowanie, byłby Janek podskoczył na drugie miejsce, a on na trzecie. Ale to prawdziwe arcydzieło, przejrzałem je, a za godzinę sesya profesorska, tam twoję pracę należycie ocenią. Winszuję ci, chłopcze.

Norman słuchał w milczeniu, potém nagle obrócił się do mnie i rzekł tak szorstko, jak nigdy jeszcze do mnie nie przemawiał:

— Czego ty tu chcesz? szedłbyś już do domu.

— A czemuż ty nie idziesz ze mną?— odparłem urażony tym tonem.

— Bo mam interes, co tobie do tego — a widząc, że nie myślę wychodzić, rzekł do dozorcy:

— Niechże mi pan da to wypracowanie, bo muszę koniecznie poprawić w jedném miejscu i proszę także o atrament.

Nie wiem, czy mi się wydało, że miał głos zmieniony, ale dobrze pamiętam, jak dziwnie wyglądał, gdy brał wypracowanie swoje z rąk dozorcy. Musiał zapomnieć zupełnie o mojéj obecności, gdy rozwiązywał niebieską wstążeczkę, którą kajecik był związany, widziałem dobrze, jak mu ręce drżały, a w oczach miał jakiś wyraz żalu, boleści prawie; usta zacisnął, brwi zmarszczył, potém nagle z gorączkowym pośpiechem, chwycił butelkę z atramentem na stoliku i zaczął ją odkorkowywać.

— Ostrożnie, ostrożnie, butelka pełna, żebyś nie wylał atramentu — wołał dozorca, a w téj saméj chwili usłysze-

liśmy brzęk, butelka upadła na podłogę i... w oczach mi się zaćmiło, widziałem niewyraźnie Normana, jak się pochylił do ziemi, chwytał coś, podnosił i wkońcu ujrzałem, że trzymał w ręku i otrzepywał ostrożnie nieszczęsne wypracowanie, całkowicie zlane atramentem.

— Ach, cóż za niezgrabiasz!—wołał dozorca—zniszczyłeś własną swoję pracę. I co ty poczniesz teraz? na przepisanie niéma już czasu, sesya za godzinę, gdzietam, za trzy kwadranse. Wszystko przepadło! szalony chłopiec!

Norman stał, jak winowajca, łzy miał w oczach, rzucił zniszczony kajecik do wielkiego kosza z papierami, stojącego w kącie kancelaryi.

— Przepraszam pana— rzekł—to przy... —Chciał zapewne powiedzieć *przypadkiem*, ale nie dokończył; poczciwy chłopak nie umiał kłamać. Ja patrzałem na to, jakby w osłupieniu, nie wątpiłem ani na chwilę, że on to zrobił naumyślnie. Nie wiedziałem i dziś nie wiem, czy to było dobrze, czy źle, dość, że on to zrobił.

— A toż dopiéro los cię sprześladował!—mówił dozorca—miałeś już prawie w ręku nagrodę, a teraz Gordon weźmie drugą, a Hektor trzecią, ani chybił.

— O Normanie, Normanie! — zawołałem, zbliżając się do niego — coś ty zrobił?

Musiał po oczach moich poznać, że odgadłem wszystko.

— Cicho — rzekł przytłumnionym głosem, chwytając mnie za obie ręce i cisnąc je gorączkowo w swoich dłoniach — ani słowa, bo zobaczysz...

Nie wiem, czém on mi chciał grozić, musiał być trochę nieprzytomny, pociągnął mnie za sobą i obaj wybiegliśmy na podwórze szkolne. Tu było cicho i pusto, uczniowie rozeszli się wszyscy do domów, usiedliśmy obaj na wschodach i — nie śmiejcie się, chłopcy, nie byliśmy już dziećmi, aleśmy się rozpłakali, jak małe dzieci. Norman kazał mi przyrzec solennie, że nie wydam nigdy jego tajemnicy; ja też milczałem wiernie, dziś poraz pierwszy go zdradziłem; ale to już tak dawno, tak dawno... mam chyba prawo do tego.

No, chłopcy, mógłbym na tém zakończyć opowiadanie. Czy mam jeszcze mówić o dniu popisu? a może już dosyć téj gawędy?

XII.

Zakrzyczano wujaszka ze wszystkich stron. Kiedyż mogło być dosyć tak miłego opowiadania? Więc wuj Filip mówił daléj następnego wieczora:

Wspaniale wyglądała sala szkolna w dzień popisu. Uczniowie stali szeregami po jednéj stronie sali, każda klasa osobno, po drugiéj ustawiono liczne krzesła, i zaproszeni goście zasiedli na nich. Ja nie należałem do grona uczniów, więc jako świadek przybyłem ze stryjenką, z Gracyą i dwoma malcami, Wilusiem i Dikiem, bo i oni poszli na popis. Wywoływano uczniów, profesorowie zadawali im pytania, potém uczniowie deklamowali po łacinie, po grecku i po angielsku. Rozpoczęło się wreszcie rozdawanie nagród. Nie pamiętam nic, co tam było z innemi klasami, ale gdy przyszło do trzeciéj, wystąpił najpierw prymus i otrzymał pierwszą nagrodę z rąk lorda burmistrza, a ja spojrzałem na moich stryjecznych braci, stojących w szeregu. Hektor promieniał, Norman wyglądał, jak zwykle. Od téj chwili nie spuściłem z niego oczu, wrok mój był jakby przykuty do tego poczciwego, spokojnego oblicza.

Słyszałem jak przez sen, że wywołano Jana Gordona, a potém Hektora Mak-Ilroy, słyszałem także, jak wszyscy dokoła winszowali stryjence, która się rozpłakała; nie wiem dla czego wszystkie mamy płaczą, gdy są uradowane powodzeniem swoich dzieci. Ale ja wciąż wpatrzony byłem w Normana, który stał nieporuszony na swojém miejscu. Jemu nikt nie winszował, nikt się nie cieszył jego tryumfami; ja jeden tylko, o! z jakąż dumą myślałem to w duszy, ja jeden w pośród tego tłumu, zgromadzonego w sali, wiedziałem wszystko, wiedziałem całą prawdę! I w téj chwili,

chłopcy, uczułem, jak gdyby mi się oczy otworzyły, na koniec, odkryłem... zgadnijcie...

— Bohatera! — zawołali chórem młodzi słuchacze—Norman był bohaterem! tak, tak!

Wuj Filip oparł głowę na dłoni i zamyślił się głęboko, ale wkrótce się ocknął z zadumy i rzekł:

— Chłopcy dobrzeście powiedzieli. To był prawdziwy bohater. Dziś wszyscy moi bracia stryjeczni są dojrzałymi ludźmi, tak, jak i ja. Hektor został marynarzem, ale dopiéro po ukończeniu nauk i obecnie jest kapitanem okrętu. Nie dawno pisał do mnie z przylądka Horn. Janek jest profesorem w Kalkucie, mały Wiluś wyszedł na astronoma, a Dik niedawno się ożenił i gospodaruje na roli. Gracya, mała Gracya, przeniosła się do lepszego świata.

I znów wuj Filip umilkł na chwilę, lecz otrząsając się ze smutku, kończył w te słowa:

— Ale, jeżeli chcecie poznać człowieka zacnego pomiędzy zacnymi, wzorowego męża i ojca, jak synem i bratem był wzorowym.... Oho! poznacie go za chwilę, bo oto powóz zajeżdża przed bramę — rzekł, spoglądając w okno. —Wszak przyrzekł, że mnie odwiedzi w wigilią Nowego Roku, a Norman zawsze dotrzymuje słowa. Chłopcy! uroczysta to chwila w waszém życiu; obaczycie tego, którego wujaszek wasz kocha i ceni nad wszystkich ludzi na téj ziemi. Ale cicho, sza, nie wygadajcie się czasem przed nim, że ja mu nadałem to szczytne miano, na które nikt więcéj od niego nie zasługuje, miano, *Bohatera*!